O.E. BRETON, O.M.I.

KOWAL BOŻY



KOWAL BOŻY + O.E. BRETON, O.M.I.

1961

KOWAL BOŻY

O. E. BRETON, O. M. I.

KOWAL BOŻY

Przełożyła z francuskiego
MIRA MAŁACHOWSKA



WYDAWNICTWO OJCÓW OBLATÓW
PROWINCJI MATKI BOŻEJ WNIEBOWZIĘTEJ
KANADA

Salvis decretis Urbani VIII

Imprimi potest:
Fr. Remigius Steczkowski, O.F.M.
Superior Provincialis

Nihil obstat:
Alfred L. Abramowicz J.C.D.
Censor Deputatus

Imprimatur:
† Martin D. McNamara D.D.
Episcopus Joliettensis
in Illinois
June 5, 1961

Printed in England

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2.

SŁOWO WSTĘPNE

W czasie kiedy w Marsylii odbywały się uroczystości związane z setną rocznicą śmierci Ks. Biskupa Eugeniusza de Mazenod, Założyciela Zgromadzenia OO. Oblatów, w Rzymie, w bazylice św. Piotra Ojciec św. konsekrował dnia 21 maja 1961 roku drugiego biskupa czarnego. „Zgromadzenie to, podkreślił Ojciec Święty, stało się obecnie potężnym drzewem, którego gałęzie rozpościerają się na dwa kontynenty, dostosowując się czy to do klimatu mroźnych okolic podbiegunowych, czy też do upałów podzwrotnikowych."

Brat Antoni Kowalczyk jest właśnie jednym z najlepszych owoców tego drzewa; a dla nas Polaków bez wątpienia najlepszym.

Dopiero dziesięć lat upłynęło od jego śmierci, a już jego proces beatyfikacyjny jest w toku. Polak z krwi i kości; chociaż prawie całe życie spędził na emigracji, nigdy nie zapomniał swego języka, nigdy się nie wstydził swego polskiego pochodzenia i swych ojczystych zwyczajów. Przeciwnie: swą wytrwałą i ofiarną pracą w warsztacie ślusarsko-kowalskim, swą pełnią wewnętrznego życia, swą szlachetnością i miłością wzbu-

dzał podziw dla tej Polski katolickiej, której on był wówczas jednym z najlepszych synów.

Jak wielu wówczas Polaków, Antoni Kowalczyk musiał opuścić swój rodzinny Dzierżanów (5 km od Krotoszyna w województwie poznańskim) w poszukiwaniu pracy zagranicą. Miał zaledwie 20 lat. Tam zrodziło się u niego powołanie do życia zakonnego. Po wstąpieniu do OO. Oblatów w St. Gerlach, na własną prośbę zostaje wysłany na misje do lodowatej północnej Kanady. Przy pracy w tartaku doznał zmiażdżenia prawej ręki, którą musiano mu amputować: a miał on wówczas zaledwie 30 lat. Odtąd, przez 50 lat, będzie zwanym „Brat Mańkut" lub „Brat Ave Maria". To ostatnie imię zasłużył sobie przez swe ogromne nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Korony Polskiej.

W październiku 1911 roku, brat Antoni otrzymał obediencję do junioratu oblackiego w Edmonton. Powierzono mu, chociaż kalece, kierownictwo nad gospodarstwem domowym: praca w ogrodzie, praca w świniarni, kurniku, nad krowami, końmi — wszędzie trzeba było ręki przyłożyć, albo przynajmniej doglądnąć i wydać odpowiednie zarządzenia. Ilu naszych emigrantów podobny żywot prowadzi? Czymże więc sobie brat Kowalczyk zasłużył na takie wyróżnienie, na imię świętego już za życia? — „Byłem świadkiem, zeznaje jeden z ówczesnych juniorów, pobożnego i usłużnego życia Brata Kowalczyka.

Podziwiałem jego pracowitość w zajęciach domowych i jego pobożność w kaplicy.” Te młode dusze — dzisiaj wielu z nich jest dzielnymi misjonarzami — lgnęły naprawdę do brata Kowalczyka: czy to trzeba było naprawić zegarek, zlutować oprawy od okularów, przybić gwóźdź, zawsze brat „mańkut” był do ich dyspozycji. Ale to nie wszystko: brat Kowalczyk był czymś więcej dla tych dzielnych chłopców. Jak dobry Ojciec pocieszał strapionych, wyszukiwał płaczących po kątach, stroskanych za rodzicami... umacniał chwiejące się powołania: „Vous prier, prier la sainte Vierge; avoir confiance. Vous devenir prêtre un jour... grand, grand... un autre Jésus...”

W ten sposób Brat Kowalczyk był rzeczywiście kowalem Bożym, kując i wyciosując powołania kapłańskie. Sędziwy wiek i dobroduszny uśmiech pozwalały bratu Antoniemu wywierać głębokie wrażenia na młodych, szczególnie na młodych Polaków. „Ty musisz wrócić po wakacjach, mówił do jednego z nich przy odjeździe na letnie wakacje, Niepokalana cię przyprowadzi. Ona potrzebuje ciebie, Ona uczyni z ciebie dobrego misjonarza.”

Wielkość i świętość brata Antoniego Kowalczyka, przezwanego kowalem Bożym, nie polegała na ekstazach lub objawieniach, na postach lub umartwieniach nadzwyczajnych, ale na sumiennym, wytrwałym i heroicznym spełnianiu obowiązków zwykłego robotnika i szarego zakonnika

pod niebiańską opieką Niepokalanej. Jeśli więc Kościół święty wyniesie go kiedyś na ołtarze, będzie to nowy święty, na wskroś polski, wzór do naśladowania dla robotników-emigrantów i ich naturalny patron.

Jako Opiekun Emigracji polskiej dziękuję wydawcom tego krótkiego życiorysu brata Kowalczyka, że uprzystępnili szerokim masom wychodźstwa polskiego poznanie tak szlachetnej sylwetki jakim jest sługa Boży, brat Antoni Kowalczyk; oraz wyrażam z całego serca życzenie, aby ta książka dotarła do każdego domu polskiego zagranicą.

+ Józef Gawlina
Arcybiskup Madytu

Rzym, 15 sierpnia 1961 r.

OD WYDAWNICTWA

EMIGRANT WZOREM I NATCHNIENIEM DLA EMIGRANTÓW

Pragnąłbym, aby ta krótka przedmowa zadzierzgnęła ciasny węzeł między Tobą, Drogi Czytelniku, a niniejszą książką o Bracie Antonim, którego znałem osobiście.

Gdy w roku 1924 wstąpiłem do junioratu św. Jana w Edmonton, poznałem tam Brata Antoniego, kalekę bez ręki. Brat Antoni zawsze otaczał życzliwą pomocą wszystkich uczniów junioratu, ale ze szczególną życzliwością odnosił się do polskich chłopców. Ilekroć potrzebował pomocy w ogrodzie lub gdzie indziej, prosił o polskich uczniów. A i my chętnie garnęliśmy się do niego, bo praca z nim była przyjemnością. Z jego świątobliwej twarzy, z każdego ruchu i słowa promieniowała głęboka pokora, prostota ducha i oddanie się służbie Bożej. Postać jego wraziła się w mą pamięć i jeszcze dziś, po latach, widzę we wspomnieniach, jak klęczy pod filarem w kaplicy. Oczy ma zamknięte, uśmiech na ustach, w lewej ręce trzyma różaniec. Gdym patrzył na niego, zawsze mi się zdawało, że on tylko ciałem prze-

bywa na ziemi, a dusza jego z Bogiem i Najświętszą Panną, którą miłował gorąco! Codziennie dawał niezliczone dowody tej miłości.

Brat Antoni Kowalczyk był pierwszym polskim oblatem w Kanadzie. Jako emigrant, borykał się z tymi samymi trudnościami, które napotyka każdy nowoprzybyły. Obcy kraj, praca robotnika, tęsknota za rodziną i ziemią ojczystą, nieznajomość języka i obyczaju, a stąd ciągła samotność. Czyż to nie Twój los, Emigrancie polski? Wszystko to przeżył Brat Antoni, podobnie jak dziś tysiące Polaków, których wojna wyrzuciła z ojczyzny, z tą jednak różnicą, że Brat Antoni całą tę niedolę przyjął dobrowolnie z miłości dla Boga. „Tak Bóg chce."

Dla emigracji polskiej na całym świecie jest on wzorem i przykładem, jak z uciążliwych trudności życia na obczyźnie wykrzesać własne uświęcenie, pokój duszy i głębokie zadowolenie. Nie wielkimi czynami, zadziwiającymi świat, bo na to zdobywają się jedynie nieliczne jednostki, ale tym, co jest dostępne każdemu: wytrwałym codziennym spełnianiem obowiązków z całą sumiennością. Nic więcej.

Oby żywot świątobliwego Polaka, którego proces beatyfikacyjny dziś już jest w toku, stał się przykładem dla wszystkich borykających się, samotnych i tęskniących. Oby Ciebie, Drogi Czytelniku, książka ta pocieszyła, umocniła i stała się twym przyjacielem.

Polska Prowincja OO. Oblatów w Kanadzie, która niniejszą książkę wydała, uważa sobie za przywilej i zaszczyt, że może ją oddać w ręce rodaków, którym potrzeba wzoru i przewodnictwa w ciężkich warunkach życia poza krajem.

Ojcowie Oblaci,
Prowincji Matki Bożej Wniebowziętej
M. J. Smith O.M.I.
Prowincjał

Toronto Ont.,
Canada,
Aug. 10/1961.

ROZDZIAŁ I

W KRAJU BIAŁEGO ORŁA

Wstawał jasny dzień czerwcowy 1866 roku. Błogi spokój otulał małą wioskę Dzierżanów. Ziemia budziła się ze snu. Słońce rozpoczęło już swą pracę, prześwietlając promieniami listowie brzóz i lip. Z podwórza zagrody Kowalczyków [1]) wyruszyła bryka zaprzężona w dwa konie i wyjechała na drogę prowadzącą do Lutogniewa, miejsca świętego, słynącego cudami. Pogodnie uśmiechnięci podróżni wciąż spoglądają na jednego z mężczyzn, w którego ramionach spoczywa białe zawiniątko: ciężar niewielki i lekki. Przy końcu wsi wznosi się krzyż nad kapliczką, jadący żegnają się pobożnie. Bryka toczy się teraz przez urodzajną równinę poznańską. Aż po horyzont sięgają starannie uprawne pola: żyto, pszenica, buraki cukrowe, ziemniaki. Gdzieniegdzie ludzie już pracują. Podnoszą głowy i życzliwie pozdrawiają jadących. Cała okolica już wie o tym, że

1) Informacje o parafii i rodzinie Brata A. Kowalczyka, O.M.I. opierają się przeważnie na materiale dostarczonym przez o. F.B. Kowalskiego, O.M.I. w Katowicach, Archiwa postul., akta Brata Antoniego, Rzym.

to dziś Ignacy Kowalczyk chrzci swe szóste dziecko.

Po Mszy św. ojciec i przyjaciele czekają w kruchcie, aż przyjdzie ksiądz, położy koniec stuły na niemowlę, po czym wszyscy udadzą się do chrzcielnicy. Pod okiem Matki Pocieszycielki, Pani na Lutogniewie, Antoni Kowalczyk rozpoczyna życie.

W tym czasie Polska przechodziła jeden z najbardziej bolesnych okresów swej historii.

Początki jej dziejów giną w mroku. Położona między Wschodem i Zachodem była terenem wędrujących i ścierających się ze sobą plemion. Rozległa równina, pokryta borami i zraszana licznymi rzekami, ozdobiona na południu łańcuchami gór, kryje w swym łonie ślady cywilizacji z piątego wieku przed Chrystusem. Jeden z najstarszych grodów polskich, Gniezno, otoczony jest piękną legendą. Lech, wódz plemienia osiadłego na tej ziemi, zobaczył na szczycie dębu gniazdo białego orła. Zachwycony postawą dumnego i silnego ptaka, wziął go za swe godło. Z biegiem lat orzeł biały stał się godłem polskiego narodu.

I czyż nie jest to słuszne, że właśnie orzeł odważny i silny, szybujący w przestworzach, symbol potęgi i wolności, został znakiem Polaków, ceniących nade wszystko wolność?! Słodkie jarzmo miłości Chrystusowej skierowało młode, butne plemię na właściwą drogę służby Bogu.



BRAT ANTONI KOWALCZYK, O.M.I.



Dzierzanów, miejsce urodzenia brata Antoniego.



Dom rodzinny Kowalczyków.

Do kraju Polan docierały misje, od południa — świętych Cyryla i Metodego, od północo-zachodu — prawdopodobnie iro-szkocka, aż w końcu za panowania Mieszka I Polska oficjalnie wraz ze swym władcą przyjęła w roku 966 Chrzest św. Bóg ją osadził na szańcu obronnym chrześcijańskiej Europy przed zalewem ludów pogańskich i powołał ją do misji wśród bliższych i dalszych sąsiadów.

Rządzona kolejno przez dynastie Piastów i Jagiellonów, w okresie królów obieralnych dała Kościołowi wspaniałego obrońcę w osobie króla Jana Sobieskiego, „lwa północy" (1674-1696).

Silne państwo katolickie w środku Europy nie było po myśli polityków XVIII wieku. Rosja i Prusy oraz wciągnięta przez nie Austria dokonały trzech kolejnych rozbiorów Polski w latach: 1772. 1793 i 1795. Zdawałoby się, że Orzeł Biały rozdarty na trzy części przestał żyć, a tymczasem głęboko religijne i patriotyczne życie narodu świadczyło o tym, że został dokonany mord fizyczny, duch natomiast pozostał żywy. Świadczyły o tym Konstytucja 3 Maja i liczne zrywy z bronią w ręku, że pokrótce wymienimy: powstanie Kościuszkowskie zakończone klęską Maciejowicką 11 października 1794 roku; legiony Dąbrowskiego; powstania: listopadowe w roku 1830 przeciw Rosji, w 1848 przeciwko Prusom i Austrii oraz styczniowe w 1863 przeciw Rosji. Mówiły one światu słowami żołnierskiej piosenki, która potem

stała się hymnem narodowym: „Jeszcze Polska nie zginęła..."

Polska, niepokonana w swym sercu, wierzyła w dzień zmartwychwstania.



W tym to smutnym okresie dziejów ojczystych, w czasie powszechnej żałoby narodowej urodził się Antoni Kowalczyk. Wieś rodzinna małego Antosia, Dzierżanów w Poznańskiem, leżała pod zaborem pruskim. Rozległa równina, zraszana wodami Warty i Wisły, była zawsze najlepiej uprawną częścią Polski. Długie wstęgi pól, utrzymywanych w doskonałej kulturze, cieszyły oko. Ani śladu nieużytków. A jednak właściciele małych gospodarstw rolnych musieli, pomimo bogatej ziemi, szukać dodatkowych zarobków poza rolnictwem dla utrzymania swych licznych rodzin. W podobnych warunkach byli też mieszkańcy Dzierżanowa. Ta mała osada miała, co prawda, własną stację kolejową na linii Leszno-Krotoszyn-Ostrów, ale nie posiadała nawet kaplicy, a cóż dopiero kościoła! Należała do parafii w Lutogniewie odległym o jakieś trzy kilometry.

Mieszkańcy Dzierżanowa to prawdziwi sąsiedzi; blisko siedzą jedni koło drugich, dobrze się znają i wzajemnie wspierają. Wzdłuż głównej drogi, przecinającej wieś, przysiadły zasłonięte

drzewami domy, kryte strzechą lub dachówką. Głęboką ciszę mącą czasami głosy ludzi, ryk bydła, a w określonych godzinach pociąg z hukiem i gwizdem toczy się po nasypie kolejowym. Obok szerokiej, pełnej kurzu drogi, wytyczonej kamieniami bielonymi wapnem, biegnie ścieżka dla pieszych. Często ich kroki zatrzymują się przed kapliczką św. Jana Nepomucena. Święty do czasu wojny napoleońskiej pilnował wjazdu do wsi. Starzy ludzie opowiadają o niecnym żołnierzu, który Świętemu odrąbał głowę. Rodzina Kowalczyków zabrała zniekształconą postać i przechowywała na strychu. Przed pierwszą wojną światową Marianna Kowalczykówna, z męża Panek, umieściła naprawioną figurę w kapliczce wybudowanej naprzeciwko zagrody rodziców. Wszakże podczas drugiej wojny światowej, z uwagi na barbarzyńskie wyczyny wojsk hitlerowskich, Święty ponownie był ukryty i dopiero po zakończeniu działań wojennych wrócił na swe poczesne miejsce.

Dom Kowalczyków długi i biały, kryty dachówką, o szerokich oknach, prosty i miły — przyciąga swym wyglądem. Przypomina stare domostwa normandzkie i kanadyjskie. Wysoko wyprowadzone dwa kominy mówią nam o roku budowy: 1839. Kowalczykowie, jak wszyscy zacni ludzie, są przywiązani do swego gniazda rodzinnego, chociaż obcym może się ono wydać zgrzybiałe i ubogie Panuje tu atmosfera pobożnego,

pracowitego życia. Wnętrze jest skromne, podobne do innych na wsi, składa się z sieni, kuchni, świetlicy i dwóch izb.

Dziś dochodzą nas z kuchni wspaniałe zapachy. W starym ceglanym piecu duszą się gołąbki; mięso, ryż, kapusta wydają te nęcące wonie. Na odświętnie nakrytym stole króluje gęś pieczona, kiszone ogórki, ciasta, pierniki. To przyjęcie dla domowników i gości na cześć nowego chrześcijanina. Jadwiga uwija się w jaskrawej sukience, często rzucając wyczekujące spojrzenia w stronę okna. Czy aby zdąży ze wszystkim? Wyjmuje naczynia, zagląda do garnków, ustawia ławy dookoła stołu. Dobre sąsiadki pomagają ochoczo. W końcu woła donośnie: Jadą!

Wszyscy wybiegają naprzeciw. Widać już łby końskie, potem cały pojazd, aż wreszcie wysiada ojciec, bierze dziecko z rąk chrzestnego, niesie je do matki i, składając na łóżku ten skarb prawdziwy, całuje dzieciątko w malutki policzek.

— Mój Antosiu — szepcze matka — niech cię Matka Boża ma w swej opiece.

I oczy matczyne pełne ufności i szczęścia przenoszą się z główki niemowlęcia na skromny domowy ołtarzyk, w którym króluje Pani na Lutogniewie. Słów nie słychać. Usta tylko poruszają się w niemej modlitwie. Pacierz matki, piastującej w ramionach dar Stwórcy.

Po tym dniu święta rodzinnego życie w domu

Kowalczyków powraca do normalnego trybu. Poza ojcem, Ignacym i matką, Łucją z domu Zuraszek, rodzina składa się z sześciorga dzieci: Jadwigi, Jana, Józefa, Marianny, Walentego i malutkiego Antosia. Troje rodzeństwa zmarło we wczesnym dzieciństwie, najmłodszy, Piotr, przyszedł na świat po Antosiu.

Matka, czuwająca nad kolebką, zabiera się do swych obowiązków gospodyni. Ojciec pracuje na roli i dorabia stolarką. Dni przesuwają się za dniami jak paciorki różańca.



Tymczasem nad zaborem pruskim zbierają się groźne chmury. Niemiec, odwieczny wróg Polski, chce nam zabrać wiarę i mowę ojczystą. W roku 1862 prezesem ministrów pruskich zostaje Bismarck i wydaje Kościołowi wojnę, znaną w historii pod nazwą „kultur-kampfu". Prowadzi ją w imię „jedności religii, języka i szkolnictwa" w całym państwie niemieckim. Mniejszość katolicką uznano za element obcy, który powinien ulec asymilacji bądź wytrzebieniu. Ustawy majowe z roku 1873, uchwalone na żądanie Bismarcka, poddawały kontroli rządu kazania w kościele, odbierały księżom prawo wizytacji religii w szkołach i wprowadzały we wszystkich przedmiotach język niemiecki. Arcybiskupa Ledóchowskiego za to, że przeciwstawił się tym nadużyciom władzy,

złożono z godności i uwięziono. Arcybiskup wyroku nie uznał. Papież Pius IX mianował go kardynałem. Rząd pruski, kierując się chęcią odwetu, skazał kardynała Ledóchowskiego na wygnanie.

Na ziemiach Rzeszy niemieckiej rozgrywał się jeden z większych konfliktów między państwem i Kościołem, jakie zna historia. W roku 1864 Pius IX wydał swój pamiętny „Syllabus".

Do walki z elementem polskim rząd i społeczeństwo niemieckie powołały parę organizacji. Polacy toczyli walkę zaciętą z pruską Komisją Kolonizacyjną i z towarzystwem popierania niemczyzny na kresach wschodnich zaboru, tak zwaną „Hakatą". (Wyraz „Hakata" powstał z trzech początkowych liter założycieli tego towarzystwa: Hansemann, Kennemann, Thiedemann.) Celem tej organizacji był bojkot polskich kupców, rzemieślników, lekarzy, prawników itp., oraz wpływanie na rząd, by nie ustawał w gnębieniu Polaków aż do zupełnego ich wyniszczenia.

W tych ciężkich latach przemijają dni dzieciństwa Antka Kowalczyka. Na czułe usposobienie dziecka wpływają „nocne rodaków rozmowy", wiadomości przynoszone przez sąsiadów o prześladowaniu duchowieństwa, o biciu opornych, o wywłaszczaniu rolników z ich ziemi, o katowaniu dzieci za mowę ojczystą. Wieczorami cała rodzina Kowalczyków gromadziła się przy domowym ołtarzyku. O zmroku wśród blasku i cieni świec pod okiem Maryi Pocieszycielki, Królowej Polski,

mały Antoś, klęcząc u boku matki, szeptał Zdrowaśki. Po różańcu dorośli rozmawiali, wciąż powracały te same pytania: czy długo jeszcze będzie trwał ten gwałt nad sprawiedliwością, czy Polska nigdy nie zerwie łańcuchów niewoli... Zaciskano zęby, złorzeczono po cichu, obawiając się podsłuchu wroga. Do Antosia w malutkim łóżeczku dochodziły czasami szepty stłumionych głosów. Kładły się cienie po ścianach, pełgało światełko przed Matką Boską, dziecko zasypiało.



Antek ma lat siedem. Czas iść do szkoły. Jest to już mały mężczyzna, wesoły, zaradny, sprytny. We wrześniu pewnego ranka wyrusza do szkółki z książkami pod pachą w towarzystwie kolegów. Siedem lat! Rozpoczyna się nowe życie.

Izba czysta, wymieciona, na ścianie czarna tablica; przed katedrą stoi nauczyciel. Pilnuje wejścia uczni do klasy. Niesforna gromadka, popychając się hałaśliwie, wtargnęła do klasy. Śpieszą do swych ławek. Ostry krzyk, podkreślony uderzeniem pięści w pulpit katedry, ucisza dzieci.

— Plemię nicponiów! — ryczy nauczyciel. — Pamiętajcie, że nie ma już Polski. Macie tu mówić tylko po niemiecku. Słyszycie? tylko po niemiecku!

Nauczyciel jest czerwony z pasji, oczy jego rzucają błyskawice. Dzieci, niczym pisklęta wy-

straszone szczekaniem psa, cichutko kulą się za swymi pulpitami.

Antoś patrzy. Jakże czuje się obco. Ta izba wydaje mu się naga i zimna. Bez Krzyża, bez świętych obrazów, nie tak jak w domu. I ten twardy głos nauczyciela rani jego uszy, a on nic nie rozumie, o co tyle krzyku. Tyle pojmuje, że się na niego gniewają, ale za co, nie ma pojęcia. Nieśmiałe, zaniepokojone spojrzenie wędruje do nauczyciela. Śladem przodków Antoś bierze ciężką lekcję cierpienia. Sercem i całym sobą dzieli los prześladowanych. Za jedno polskie słowo biją. Nie znają tu znaku krzyża, nie modlą się. Pochylone nad nowymi podręcznikami dzieci uczą się nieznanych wyrazów o dziwnym brzmieniu.

Po powrocie do domu Antoś czym prędzej zwierzał się matce: trudne lekcje, srogi nauczyciel, częste kary, a nade wszystko ten wstręt do obcej szkoły.

Łucja Kowalczykowa otwierała wtedy szufladę, wyciągała starą czytankę i równie zniszczony podręcznik Historii Świętej. Pochylona nad synem tłumaczyła mu wiadomości wstępne z zakresu mowy ojczystej i wiary. Była to czasami historia Polski: Jadwiga, Żółkiewski, Sobieski, Kościuszko, czasem budujące żywoty Świętych, a nierzadko piękne bajki o księżniczce, rycerzu i smoku oraz o dobrych wróżkach. Łucja była bardzo pobożna; na wsi nazywano ją „prawie świętą". Nasza Monika. Jej nauki niczym błogosławiona rosa

sączyły się do duszy syna. Ojciec, gorący katolik, pomagał żonie w jej pracy wychowawczej. Oczytany, obdarzony dobrą pamięcią, chętnie opowiadał dzieciom ciekawe historie o świętych, pustelnikach i rycerzach.

Ignacy Kowalczyk miał dopiero czterdzieści lat. Wyraz twarzy energiczny, złagodzony spojrzeniem pełnym dobroci. Był doskonałym rolnikiem i nie gorszym rzemieślnikiem. Mocny fizycznie, zaradny i pracowity, od rana do wieczora, z roku na rok zawsze zajęty bez chwili wytchnienia. Trzeba przecie wyżywić liczną rodzinę. Ziemia nie czeka, trzeba ją obsłużyć, a tu jeszcze tyle zamówień na ławy, skrzynie, szafy...

Ignacy lubi stolarkę, ale przede wszystkim jest przywiązany do ziemi jak do macierzy. Ziemia zawsze urzekała polskiego wieśniaka; to jego marzenie, ambicja, chęć posiadania i podstawa bytu. Mieć na własność choć płacheć gruntu! I jeszcze dodać do tego ze dwa konie, parę krowich ogonów i stadko gęsi. Gęsi! Czyż można sobie wyobrazić zagrodę w Polsce bez gęsi? Nie do pomyślenia. Dzieci, zanim pójdą do szkoły, roztaczają nad nimi opiekę. Antoś-gęsiarek z witką zamiast bata całymi godzinami czuwał nad swym stadkiem. Prowadził je wzdłuż drogi, potem miedzą na łąki, nad wodę. Nawoływał, zabiegał, śpiewał, gwizdał, a nieraz składał dowody wielkiej odwagi wobec natarczywości gąsiora. Pasionka

jest to zajęcie trudne i odpowiedzialne, wymaga wiele uwagi, szybkiej orientacji i zaradności. Chłopiec był bardzo dumny, że w ten sposób pomagał rodzinie.

Antoś ma już dwanaście lat. Zbliża się wielki dzień, o którym będzie pamiętał przez całe życie. Od dwóch lat dwa razy w tygodniu chodził z kolegami do kościoła w Lutogniewie. Tam spotykał innych chłopców z okolicznych wsi. Wszyscy skupiali się przy balaskach u stopni ołtarza Najświętszej Maryi Panny. Ksiądz proboszcz lub świecki katecheta uczył ich katechizmu. Już rok upłynął od pierwszej spowiedzi; teraz za parę tygodni po raz drugi odbędzie się Sakrament Pokuty, po czym nastąpi wielkie święto: dzień pierwszej Komunii świętej!

Parafia w Lutogniewie, do której pilnie uczęszcza cała rodzina Kowalczyków, została ufundowana w roku 1401. Paszko z Gogolewa, chorąży kaliski, wybudował drewniany kościółek. Jak głosi tradycja, obraz Maryi Pocieszycielki zawitał pod jego dach, nie wiadomo, skąd i kiedy. W roku 1823 wybudowano piękną świątynię i obraz umieszczono w głównym ołtarzu; słynął on już od wieków licznymi cudami. W 1947 r. kościół całkowicie odremontowano i dziś przedstawia się on nader korzystnie.

W tym oto miejscu, poświęconym Maryi Pannie, Antoś w roku 1878 przystąpił do pierwszej

Komunii św. W którym dniu to było i w jakim miesiącu — nie wiemy. Może w czasie jednej z uroczystości Maryjnych tak zawsze serdecznie obchodzonych w Polsce; przecie Polska słynie ze szczególnego kultu Matki Bożej. Czyż Jan Kazimierz w roku 1656 nie złożył u Jej stóp korony, nie oddał pod Jej berło Polski? Liczne miejsca cudowne, kapliczki przydrożne, świątynie wspaniałe, domowe ołtarzyki tonące w kwiatach, majowe nabożeństwa, różańce w ręku — wszystko mówi, że Matka Boża jest tu Panią u siebie. Jeśli kiedyś powiedziano o Francji, że jest „najstarszą córką Kościoła", czyż nie można nazwać Polski „najstarszą córką Maryi"?

Kościół w Lutogniewie słynie na całą okolicę. Rok rocznie tysiące pątników przybywa na święto Maryi Panny, przypadające na niedzielę po św. Augustynie. Przychodzi wówczas dwadzieścia, niekiedy dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Ciągną ze wszystkich stron, nawet z miast i wiosek bardzo odległych.

W tym roku odpust wypadł w pierwszą niedzielę września. Na wszystkich drogach wiodących do Lutogniewa widać było długie szeregi chorągwi i pątników, idących w procesji. Szli rytmicznie, śpiewając pieśni pobożne. Cały strumień Zdrowasiek rósł, przybierał na sile w miarę zbliżania się do kościoła. Dzierżanów szedł razem, ławą, na przodzie dzieci odświętnie ubrane, przystępujące w tym dniu do pierwszej Komunii świętej.

Dzwony[2]) biły rozgłośnie, grały organy, tłum wlewał się bramami, wypełniał nawy, zakrystię i dziedziniec kościelny. Przed głównym ołtarzem w kwiatach i w blasku świec rozpoczynała się Msza święta.

W życiu Antosia wybiła jedna z donioślejszych godzin: po raz pierwszy Pan Jezus wszedł do jego serduszka.

Potem nastąpił szereg jednostajnych dni. Łucja umie patrzeć na swe dzieci i widzi coraz wyraźniej zarysowujące się usposobienie Antosia. Pobożny, pracowity, często pełen pogodnego humoru, zewnętrznie opanowany, a w głębi serca czuły i kochający. Kiełkują w nim i razem rosną trzy jego największe miłości w życiu: Rodzina, Ojczyzna i Maryja.

---

2) O dzwonach krąży zabawne opowiadanie. W czasie pierwszej wojny światowej zniknięcie dzwonów wzbudziło mnóstwo komentarzy. Stróż nocny oświadczył przed sądem, że „Anioły zabrały je do nieba". Dopiero potem wyjaśniono, iż wesołki wiejskie spoiły stróża, aby im nie przeszkadzał w robocie, gdy je chowali przed niemieckimi okupantami. Po wojnie dzwony szczęśliwie wróciły na swe miejsce. Niestety, podczas drugiej wojny okupanci zabrali je na zawsze.

ROZDZIAŁ II

TYGIEL ŻELAZNY

Drzwi otwarte. Huk rytmiczny uderzeń młota o kowadło ogłusza. Kowal wali raz po raz, niczym bożek kujący grzmoty. Obok młody chłopiec, dziecko prawie, również w skórzanym fartuchu, podnieca ogień. Cały jest pochłonięty pracą, z powagą oddaje się swemu zawodowi. Czasami zbliża się do kowadła i milczkiem uważnie przygląda się majstrowi; po czym wraca do swej roboty. Ma zaledwie szesnaście lat, ręce zachowały jeszcze delikatną różowość skóry. Antek Kowalczyk rozpoczyna naukę u kowala w Krotoszynie. [1])

Trzy lata temu opuścił szkołę. Trzeba z kolei dopomóc rodzinie (taki panował zwyczaj) w zajęciach gospodarskich. Widzimy go wszędzie, pełniącego najrozmaitsze czynności na podwórku, w sadzie, w polu. Czasami koło domu, czasami pasionka na łęgach. Gdy czas nadszedł, wyruszał z motyką obrabiać ziemniaki.

Pewnego wieczora Ignacy z Łucją rozmawiali

---

1) Pierwszy dom zgromadzenia ojców oblatów w Polsce był założony w Krotoszynie w roku 1920 i przeniesiony w dwa lata później do Lublińca.

do późna. Łucja była zakłopotana, a może nawet smutna. Ojciec też poważniejszy niż zwykle. Zamienili kilka zdań, przerywanych ciężkim milczeniem. Słychać było wtedy cykanie zegara i cisza wydawała się jeszcze bardziej przygnębiająca. Małżonkowie przeżywali ważną chwilę w życiu: trzeba było powziąć decyzję w sprawie losu syna, Antosia. Lata prędko uciekają. Starsi chłopcy odlecą wkrótce o własnych siłach. Czyż nie trzeba zawczasu przygotować Antka do lotu? Jaką mu wybrać najlepszą, najwłaściwszą drogę? Matka chciałaby go zatrzymać i nieśmiało pyta:

— Dobry z niego pracownik i tak lubi gospodarstwo, może zostanie rolnikiem?

— Nie ma o czym mówić — ucina ojciec — nie mamy na to środków, a przy tym nie możemy go wyróżniać kosztem pozostałego rodzeństwa. Nie widzę innego wyjścia, musi nauczyć się jakiegoś rzemiosła. Pojadę do miasteczka na targ, pogadam z ludźmi i coś się postanowi.

Targ odbywał się zwykle we czwartki. Był to ważny dzień spotkania dla wszystkich wieśniaków, zamieszkałych w okręgu dwudziestu kilometrów. W tym celu o świcie opuszczali swe domostwa; na drogach już słychać było gwar głosów i skrzypienie kół. Na wozach pomiędzy drobiem, nabiałem i warzywami siedzieli jadący, po bokach drogi biegli chłopcy, popędzając sztuki bydła i nierogaciznę na sprzedaż. Wkrótce długi łańcuch bryk i wozów zatrzymywał się na rynku

i przylegających doń ulicach. O godzinie dziewiątej rozpoczynał się targ i huczał wzmożonym życiem.

Przychodzą, odchodzą, oglądają, zatrzymują się przy furach i furmankach, ważą, mierzą, próbują, targują. Cały Boży dzień ruch nieustanny. Miejsce wymarzone do spotkań i pogwarek. Ignacy, tak jak postanowił, udał się z synem do Krotoszyna. Długo nie szukał, wiele nie myślał, kilka słów i interes ubity. Antoni pójdzie na naukę do kowala.

* * *

Chłopiec polubił swe zajęcie. Jest teraz prawdziwym kowalczykiem w terminie u majstra. Nowy świat otworzył się przed nim: kuźnia, kowadło, miechy, młoty i inne narzędzia. Kawał żelaza dobrze uchwycony obcęgami, prawidłowa postawa, ramiona naprężone i Antek wali młotem z całym zapałem młodości. Iskry świecą dokoła, zapalają się jak drobne gwiazdeczki, wirują, lecą i gasną u jego nóg. Płomień syczy, ogniste opiłki tańczą w rozgrzanym powietrzu. Antek kuje zapamiętale. Dźwięk żelaza, huk młotów o kowadło zlewają się w jedno i śpiewają mu w uszach hymnem chwały:

Błogosławcie, zimno i ciepło, Panu;
błogosławcie, ogniu i gorąco, Panu...
Błogosławcie, światło i ciemności, Panu;
błogosławcie, błyskawice i obłoki, Panu...

Oczy chłopca śledzą rozgrzane do białości żelazo, lecz wzrok jego ginie w dalekim marzeniu. Myśli o swoich, o matce przede wszystkim; jest znów nad bystrym potokiem ze stadkiem białych gęsi; jest w stajni przy siwku i zaplata mu grzywę. Było, nie było, odlatują wspomnienia, gasną światła domu, przeminął czas dzieciństwa. Rozpoczyna się okres wygnania. Ten termin u kowala jest też przygotowaniem do innego życia. Miarowe uderzenia młota rozwijają mięśnie, energię, siłę, hartują wolę. Bez wiedzy Antka Bóg kuje jego los.

Na czystym niebie młodości gromadzą się chmurki. Antek z domu pełnego religijnych i patriotycznych tradycji polskich dostał się do środowiska protestanckiego. Sam mistrz kowalski, jego rodzina i przyjaciele to Niemcy-protestanci. Nie przeszkadzają w jego praktykach religijnych, dają mu całkowitą swobodę, ale młody terminator czuje się źle, obco. Chodzi do kościoła rano i wieczorem. W swoim pokoiku ma święte obrazy, przed którymi modli się długo. Przy kowadle lub ognisku żegna się, rozpoczynając pracę. Czego ma się wstydzić i ukrywać? Całe wychowanie rodzinne, przykład domu, nauki księdza, żywa wiara dzieciństwa przeniknęły głęboko do duszy chłopca.

Pod okiem Opatrzności idzie Antek swą drogą, niebaczny na ludzkie spojrzenia. Za młody jest jednak na to, aby być tak samotnym. Nie

Kościół w Lutogniewie, w którym brat Antoni został ochrzczony.



Cudowny obraz Najświętszej Maryi Panny w kościele w Lutogniewie.





Lac La Biche, jedna z najstarszych placówek misyjnych w Zachodniej Kanadzie.

Młyn w placówce misyjnej Saint Paul, Alberta.

ma ciepła rodzinnego, wspólnych nabożeństw, wieczornych pacierzy przy domowym ołtarzyku; obyczaj też jakiś inny i język obcy w życiu codziennym. Z jakąż radością wita niedziele i święta, gdy może wyruszyć do Dzierżanowa. Te siedem kilometrów z Krotoszyna do wsi rodzinnej przebywał lekkim krokiem, z uciechą w sercu. Za kilka godzin zobaczy rodzinę, swoich najbliższych, będzie w domu, pomodli się razem przed Panią Lutogniewską.

Termin u kowala trwał trzy czy cztery lata. Antek miał około lat dwudziestu; posiadł już wszystkie tajemnice swego mistrza.

Wśród rzemieślników myślących o lepszej przyszłości panował wówczas zwyczaj specjalizowania się i praktykowania w większych ośrodkach przemysłowych. Ubożsi robotnicy wyruszali przeważnie do Westfalii i Nadrenii. Antoni miał przed sobą podwójne zadanie do spełnienia: zostać tęgim fachowcem i pomagać rodzinie. Po naradzie z rodzicami, pod koniec 1886 postanowił wyjechać na dłużej do Niemiec. W dniu odjazdu wysłuchano razem Mszy św. w Lutogniewie, ofiarowanej w intencji Antosia. Odprawił ją ks. Wróblewski, proboszcz. Wieczorem młody człowiek opuścił kraj rodzinny, kolebkę dzieciństwa.

Pociąg w czasie niekończących się godzin przemierzał nieznane strony. Nowe widoki, zmienne krajobrazy, przesuwały się przed oczami. Często dobrowolny wygnaniec wpadał w smutną

zadumę. Nigdy jeszcze nie był tak samotny. Dookoła sami cudzoziemcy, mówiący zaledwie zrozumiałym językiem. Co on tu robi między nimi? Do czego dojdzie? Co kryje dzień jutrzejszy?

Stopniowo, gdy pociąg posuwał się wciąż naprzód, pogłębiała się przepaść dzieląca Antka od Polski i ukochanych osób. Lecz nie upadał na duchu. Patrzył w przyszłość pełen otuchy, trzymał bowiem Opatrzność mocno za rękę.

* * *

Wśród podróżnych, tłoczących się tego ranka na dworcu w Hamburgu, jest młody przybysz ubrany ubogo. Patrzy w prawo, patrzy w lewo i ginie w tłumie. Dokąd tak śpieszy? Pół godziny później Antoni już klęczy w kościele. Znalazł dom Boży w sąsiedniej dzielnicy. Modli się długo.

Od chwili rozstania się z ojczyzną i z rodziną, Antoni jest jak roślina wyrwana z korzeniami i rzucona brutalnie na obcy grunt. Nie ma przyjaciela, aby z nim podzielić przygniatający ciężar samotności. Jedynie modlitwa może mu być pociechą, wiatykiem na nowe życie.

Po wyjściu z kościoła Antoni pośpiesza wąskimi ulicami Starego Miasta. Każdy od razu odgadnie, że ten chłopiec nie jest turystą i nie podróżuje dla przyjemności. Piękna panorama Elby i jeziora nie przyciąga jego wzroku, podobnie

jak wielkie magazyny, wystawy, teatry, muzea. Trzeba przede wszystkim znaleźć mieszkanie i pracę, aby zarobić na kawałek chleba. Rozpoczyna się dla młodego Polaka twarda dola robotnika.

Wzdłuż wybrzeża i w porcie sterczą wysokie maszty jak las drzew pozbawionych liści. Zgrzyt dźwigów miesza się z rykiem syren okrętowych. Olbrzymie fabryki pracują bez ustanku. Ogłuszający hałas warsztatów, turkot maszyn, harmider żelaziwa. Wrzawa kręcących się tu i tam biedaków w poszukiwaniu zajęcia, dudnienie wysokich furgonów, kominy plujące ogniem piekielnym i pokrywające zadymione niebo krwawą łuną — oto Hamburg, światowy port morski, stolica ciężkiego przemysłu.

Przychodzą takie złe chwile, gdy robotnik czuje się mały i słaby w obliczu żelaznych potworów. Wchłonięty i zmiażdżony, a potem wypluty na powierzchnię ziemi, przestaje być człowiekiem, jest już tylko jednym z kółek potężnej maszyny. Robotnicy wielkich fabryk — to prawdziwi galernicy przykuci do pracy.

Podobny los przypadł w udziale Antkowi. Zatrudniony od razu w fabryce, pocił się i trudził przez niezliczoną ilość dni. Czasami wracał do swej stancyjki zupełnie wykończony.

Już blisko dwa lata pracował w Niemczech. Nigdy jednak ciężar obowiązków nie był tak przygniatający jak w hamburskim arsenale. Prawdziwie „ciężki" przemysł, słowo ogłuszające

i zabijające tysiące robotników. Antoni, młody jeszcze chłopiec, dzielił ich los, życie hutników, giserów, kowali i prostych wyrobników. Żar smalił mu ciało, gdy pracował przy wielkim piecu. Uzbrojony w żelazny drąg musiał bez przerwy mieszać roztopione żelazo, oślepiającą rzękę metalu rozgrzanego do białości. Innym razem dźwigał odlewy, ciało zlewał mu pot, żyły nabrzmiewały, posuwał się za innymi pełen uwagi i napięcia niczym niewolnik skazany na ciężkie roboty.

Kiedyś, po pewnym czasie, zawsze milczący Antoni wyzna swą łamaną niekształtną francuszczyzną:[2]) „Ja ciężko pracować w fabrykach Hamburga", a potem uzupełni ze smutkiem: „Towarzysze niedobrzy, socjaliści, nigdy w kościele, mówić brzydko". Dla cichego, pełnego pobożności Antka gorszym złem od maszyny byli ludzie, to całe otoczenie ordynarne, niemoralne, cyniczne.

Zakłady wojskowe, w których Antoni pracował, zatrudniały tysiąc trzystu robotników. Większość stanowili protestanci. Jeśli wśród nich była pewna ilość katolików, to trzech tylko przyznawało się do swej wiary. Inni wstydzili się lub okazywali zupełną obojętność. W ciągu wielu miesięcy dzień po dniu Antoni musiał żyć w tym środowisku, przypominającym mu w pewnych chwilach otchłań piekielną. Koledzy patrzą nań

2) Archiwa postul., akta Brata Antoniego, Rzym.

złymi oczami pełnymi nienawiści lub szyderstwa. Naigrawają się z jego pobożności, wyśmiewają praktyki religijne: „Co tu robi ten młodzik? Ten żółtodziób pozujący na Anioła chce nas napominać, uczyć rozumu?!”

Europa roiła się wonczas od przemądrzałych głów, które przy każdej sposobności miotały pociski w kierunku kleru i religii, sączyły jad w dusze ludu. Liberalizm protestancki, kontynuując to dzieło rozkładu, starał się opanować ośrodki robotnicze; ciemne masy stanowiły zdobycz stosunkowo łatwą.

Czasami nad hałas i szum warsztatów wzbijał się ostry krzyk gniewu i sypały się wstrętne przekleństwa. Byle niezręczny ruch, odrobina nieuwagi, jakieś słowo nie w porę — wywoływały histeryczną reakcję tłumu. Antoni, widząc i słysząc to wszystko, drżał do szpiku kości. Cała słodycz domu, spokój rodziny, sielskie dzieciństwo. Pani Lutogniewska — jakże były daleko! Czyż obecnie on sam, Antoni, nie jest tym synem marnotrawnym, którego żywią karmą dla świń?!

Po pracy wracał wieczorami cały wzburzony. Miasto wydawało mu się obmierzłe. Na przeszło półmilionową ludność była tylko jedna parafia katolicka, licząca trzynaście tysięcy dusz. Cóż za różnica z Polską! W złych godzinach przychodziły mu do głowy zasłyszane rozmowy, dyskusje, argumenty. Niczym roje natrętnych much otaczały go i męczyły. Pewnego dnia, gdy szedł ulicą,

ogarnęło go ostateczne przygnębienie. Czyżby sam miał zachwiać się w swej wierze? Na samą myśl o tym przerażony rzuca się na kolana i głośno mówi „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego..."

Antoni podnosi się wzmocniony. Nie zwraca uwagi na zdumione spojrzenia przechodniów, idzie dalej, aż tu raptem przenika go przejmujący ból oczu. Podobnie jak Szaweł w drodze do Damaszku chwyta się za głowę, widzi jeszcze, co prawda, ale cierpi niewymownie. Trzeba zasięgnąć porady specjalisty. Okulista przy pomocy wielu przyrządów ogląda oczy, bada wzrok, w końcu po długim, sumiennym badaniu pyta głosem pełnym współczucia i niepokoju:

— Czy ma pan jakieś oszczędności, a może ubezpieczenie na wypadek?...

Zatrzymuje się wpół zdania, jakby bał się wypowiedzieć straszną prawdę. Ale młody robotnik zrozumiał, o co chodzi. Grozi mu utrata wzroku. Jest w kwiecie wieku, ma zaledwie dwadzieścia dwa lata. I będzie ślepy. Ciemności będą jego udziałem, wieczna noc. Gorzej niż noc. Noc daje dobry sen i wypoczynek, a tu wieczna udręka, straci niezależność i do końca życia będzie na łasce rodziny. Może za parę tygodni, może za kilka dni? Gdzież tu szukać pocieszenia jeśli nie w kościele? Pójdzie do Tego, który swój kielich wychylił do dna, pójdzie za Chrystusem na Golgotę.

Leżąc rozciągnięty na kamiennych płytach posadzki, Antoni mocuje się ze swym nieszczęściem, aż w końcu pogodzony z nim dźwiga się, całuje krzyż, który przyjmuje z rąk Pana i będzie go niósł do końca dni swoich. Po czym spokojnym, miarowym krokiem odbywa Drogę Krzyżową.

Oto IV Stacja. Jezus spotyka Matkę swoją. Dusza Antoniego unosi się do Polski, jest w Lutogniewie. Widzi Matkę Bożą i błaga Ją jak dziecko: Matko Pocieszycielko, nie opuszczaj swego syna... Idzie dalej, modli się, klęczy.

Oto VI Stacja. Pobożna niewiasta ociera twarz Jezusową. Wpół oślepłe oczy oglądają Weronikę, wzór świętej odwagi. Na chuście widać Boskie oblicze, głowa w cierniowej koronie, zsiniałe wargi, zakrwawione powieki. „Jezus cierpiał podobnie jak ja" — myśli Antoni i w tej chwili czuje, że ciężar rozpaczy jest ponad jego ludzkie siły. Mimo woli — wbrew bohaterskiemu postanowieniu — wyrywa mu się okrzyk:

— Panie, przez miłosierdzie, jakie Ci okazała Weronika, uzdrów mnie!

Nieomal jednocześnie z tym błaganiem o litość, radość jak błyskawica przeszywa młode serce. Nie ma żadnych wątpliwości. Jakaś zasadnicza zmiana nastąpiła w organizmie. Bez wahania zrywa opaskę. I z oczu, które jeszcze przed chwilą były jak głownie gorejące, pełne żrącego bólu, leją się łzy, orzeźwiająca rosa wdzięczności i wesela. Jest uzdrowiony!

Opatrzność dokonała swego dzieła oczyszczenia, wystawiła na próbę kalectwa. Rygor pruskiej szkoły, miażdżąca siły praca w fabrykach, drwiny i przekleństwa kolegów, kuszenia przeciwko wierze — to wszystko Antoni zniósł i wytrzymał. Ostatnia próba cierpienia wstrząsnęła nim do głębi, lecz nie złamała. Jak Hiob ucałował rękę, która go uderzyła.

Bóg był rad ze swego sługi. Antoni z tej próby wyszedł zwycięsko, jego wola została uzdrowiona, serce było pełne męstwa. Bóg zanurzył wybrańca w tyglu cierpienia.

ROZDZIAŁ III

NA SZLAKU TUŁACZYM

Antoni czuł, że został uzdrowiony. Zrozumiał i ocenił wartość tego wydarzenia. Zanim wyszedł z kościoła, powziął ostateczną decyzję. Jak najprędzej wyjedzie z Hamburga, z tego przeklętego miasta, w którym można stracić nie tylko zdrowie, ale i duszę.

Po dwóch tygodniach widzimy go już w drodze do Nadrenii. Jedzie do Düsseldorfu. Miasto liczyło wówczas około stu dziesięciu tysięcy mieszkańców, miało dwadzieścia sześć kościołów katolickich i dziewięć protestanckich. Zmiana dobrze robi. Młody wędrowiec znajduje dach nad głową w katolickiej rodzinie; a jednak jakaś siła tajemnicza nie daje mu spokoju. To jeszcze nie to, czego potrzebuje jego dusza. Pomimo przykrości rozstania z gospodarzami, Antoni po dwóch dniach rusza dalej.

O dwadzieścia pięć kilometrów bardziej na południe, również nad wodami Renu, leży Kolonia. Przeszłość tego miasta sięga czasów rzymskich. Agrypina, córka Germanika, w latach 50-tych po Chrystusie założyła w tym miejscu kolonię dla weteranów. Doniosłe wydarzenia historyczne,

spotkania, zjazdy, kongresy znaczyły drogę rozwoju miasta. Zabytki przeszłości, bogactwa przemysłowe i handlowe, pozycja strategiczna czyniły z Kolonii jeden z ważniejszych ośrodków Europy.

Oto pewnego dnia Antoni pakuje szczupłe manatki i o godzinie 2,30 jedzie do Kolonii. Kraj, przez który przejeżdża, przypomina wielki huczący rój. Miasto za miastem, miasteczka, osiedla przemysłowe, wciąż ten sam potrzask żelazny, przed którym młody robotnik ucieka. W przedziale wagonu zawiera znajomość z rzemieślnikiem, jak się okazuje, też praktykującym katolikiem. W koleżeńskiej rozmowie Antoni zwierza się, że chciałby się dostać do środowiska bardziej katolickiego. Obcy wędrowiec prosi o radę. Przygodny towarzysz udziela mu szczegółowych informacji o dziele dobroczynnym świątobliwego księdza, przyjaciela robotników, Adolfa Kolpinga.

Przyszedł on na świat ósmego grudnia 1813 roku w Karpen pod Kolonią. Był najmłodszym dzieckiem w rodzinie ubogich wieśniaków, głęboko religijnych, praktykujących katolików. Słaby fizycznie, niezdatny do pracy w polu i do pomocy w domu, idzie do rzemiosła. Kończy wiejską szkółkę i ma wyraźne powołanie do stanu kapłańskiego, lecz nie zna nikogo, kto by mógł pokryć koszta jego dalszej nauki.

Zostaje szewcem. Po odbyciu terminu, zarabia na nędzne utrzymanie w Kolonii. Godziny wolne poświęca czytaniu i pisaniu artykułów,

a nawet wierszy. Paru życzliwych księży przychodzi mu z pomocą, u nich pobiera początki łaciny. Słabo przygotowany, mając 24 lata, zostaje przyjęty do jednego z liceów. Ani bieda, ani choroba nie zatrzymują go w drodze do celu.

Po trzech ciężkich latach zdaje maturę. Cierpliwością, wytrwałością i pracą zdobywa sobie uznanie i poparcie. Dzięki pomocy dobrych ludzi może wyjechać do Monachium i tam studiować na uniwersytecie. Kończy teologię w Bonn. W roku 1845 zostaje księdzem. Jako wikary w Elberfeld, Kolping rozpoczyna swą działalność wśród robotników. Jakże dobrze zna to środowisko, przecież z nimi dzielił ich trud i biedę w latach swej młodości.

Bierze czynny udział w organizacjach robotniczych, popiera związki zawodowe, pisze, wygłasza odczyty, udziela porad. Przeniesiony do Kolonii ma większy wpływ na sprawy robotnicze. Cieszy się poparciem biskupa, duchowieństwa i osób świeckich. Widząc niebezpieczeństwa wielkiego miasta dla młodych przybyszów ze wsi, otwiera pierwszy ośrodek, jeśli nie nazwiemy tego urzędowo „biurem", dla świeżo przybyłych robotników, poszukujących pracy. Myśl tych opiekuńczych ośrodków okazała się doskonała pod względem moralnym i praktycznym, zawodowym; wkrótce powstaje wiele podobnych punktów w Niemczech, w Austrii, na Węgrzech, w Szwajcarii i innych krajach.

Ks. Adolf Kolping zmarł 4 grudnia 1865 r. Zwłoki jego pochowano przed ołtarzem św. Józefa w dawnym kościele minorytów (franciszkanów konwentualnych), których rektorem był od trzech lat. Grób przyciągał tysiące robotników; przychodzili okazać mu swą cześć i prosić o dalszą opiekę.

Antoni w głębokim skupieniu wysłuchał opowiadania o ks. Kolpingu. Co za wspaniały żywot! Zwyczajny robotnik, prosty człowiek został księdzem. Ubóstwo, choroby, ciężka praca zarobkowa nie powstrzymały go na drodze do święceń kapłańskich. I oto ten szewc z Kolonii wydaje się kowalowi z Polski bliskim przyjacielem. W obu sercach palił się ten sam płomień. Antoni przy całej swej skromności czuł się niegodnym kapłaństwa; powołanie tliło jak ogień pod popiołem, dopiero postać Kolpinga, wzór tego księdza-robotnika, skierował Antoniego na właściwą drogę całkowitego poświęcenia się służbie Bożej.

W szarości budzącego się dnia pociąg przeciąga pomału przez Kolonię spowitą w dymy fabryk. I znów te same przeżycia. Zamęt na dworcu, bieganie, szukanie tu i tam, wzajemne popychanie się, pośpiech i w końcu wyrwanie się z tłoku podróżnych. Na ulicy nasz wędrowiec zatrzymuje się nagle olśniony. Co za zjawisko! Przed nim w całej wspaniałości ukazuje się słynna z piękności katedra. Dwie strzeliste wieże wznoszą się do nieba jak wezwanie do modlitwy. Dusza

zostaje uniesiona w cudownym zrywie. Antoni patrzy i modli się; lecz majestat kamienny katedry nie zasłania mu postaci księdza-robotnika; przybył tu do tego miasta, do ks. Kolpinga, prosić u jego grobu o pomoc. Korzysta z pierwszej sposobności i udaje się do kościoła minorytów.

Jest wieczór, pusto w świątyni. Młody wędrowiec pogrąża się w rozmyślaniu. Przeżywa w duchu te wszystkie przejścia, które doprowadziły go z Dzierżanowa aż do tego miejsca. Jakże długa i trudna była ta droga. Wiodła go po kamieniach i cierniach tajemnicza ręka. Dokąd w końcu dojdzie? Otacza go ciemność nieprzenikniona. Dopiero modląc się przy śmiertelnych szczątkach tego opiekuna robotników, zaczyna odczuwać nadzieję. Kto wie, może głęboko ukryte pragnienie przybierze jutro kształt realny?

Antoni wychodzi z kościoła, lecz jakiś niepokonany pociąg skłania go do powrotu, aby po raz drugi uklęknąć u nóg swego opiekuna. Na drugi dzień powtarza się to samo. Antoni załatwia różne sprawy, ale jego myśl jak igła busoli stale jest zwrócona w jednym kierunku. Postać ks. Kolpinga stoi wciąż przed jego oczami. Nie zwlekając dłużej, udaje się ponownie do kościoła minorytów i u stóp grobowca zanosi gorącą modlitwę: „Mój Boże, jeśli tu jestem, to zawdzięczając Twemu słudze, który tyle dobrego zrobił dla robotników... Ze swej strony, mój Boże, gdy otrzymam łaskę, o którą błagam...” i w tej chwili

z serca wypływają mu słowa: „Złożę ślub czystości”. Pogrążony w uniesieniu słyszy wyraźny rozkaz: „Idź do Mülheim nad Renem”. Ten głos jest tak dobitny, że nie ma miejsca na wątpliwość. Antoni pójdzie, gdzie mu każą.

Mülheim to stosunkowo małe miasto. Miało wonczas 51,000 mieszkańców, w tym 39,000 katolików, pięć kościołów katolickich i dwa protestanckie. Położone na prawym brzegu Renu łączy się dużym mostem z przedmieściem Kolonii. Można tam pójść pieszo. Antoni wnet znajduje zajęcie, pracuje do wieczora. Przed nocą idzie szukać mieszkania i trafia szczęśliwie do katolickiej rodziny małżonków Prünnenbaum.

Przedstawiając się gospodyni, Antoni wyznaje bez ogródek: „Jest mi tak przyjemnie, jakbym wchodził pod dach rodzinny. Od kiedy wyjechałem z Polski, zaledwie parę dni mieszkałem w katolickim domu”. Pani Prünnenbaum uśmiecha się mile. Ten nowy lokator uprzejmy i nie narzucający się, budzi w niej zaufanie.

— Jest więc pan katolikiem? — pyta.

— Tak — odpowiada uradowany Antoni. I zostaje w tym łaskawym dla niego dniu przyjęty do rodzinnego kółka państwa Prünnenbaum.

Rozmawiano do późna. Antoni, jak zwykle, mniej mówił, więcej słuchał. Gospodyni natomiast opowiadała chętnie o swym synu, kształcącym się u oo. oblatów — w junioracie św. Karola w Holandii. Błyskawica olśniła słuchacza, lecz

w tej chwili stłumił w sobie gorące pragnienie i powiedział tylko głosem zmienionym:

— Pani jest matką szczęśliwą.

Starał się opanować wzruszenie, ale gospodyni zauważyła jego zmieszanie i zapytała:

— Dlaczegoż pan nie myśli o życiu zakonnym, jeśli ono panu odpowiada?

— To nie dla mnie, jestem ubogim robotnikiem, a przy tym mam już dwadzieścia cztery lata, za późno zaczynać nowe życie.

Antoni ze smutkiem zwiesił głowę, ale zacna pani Prünnenbaum tak ławo nie zrezygnowała.

— Za stary! — zawołała. — A czyż pan nie wie, że ojcowie w zgromadzeniach potrzebują pomocników, a więc i robotników?!

I pani Prünnenbaum długo mówiła na ten temat, tłumacząc Antoniemu piękno i znaczenie powołania braci konwersów, którzy są jakby cieniem kapłana, razem modlą się, pracują, wnosząc swój wkład w dzieło Odkupienia.

Antoni słuchał opowiadania o tych młodych i najmłodszych, którzy wszystkiego się wyrzekli: rodziny, lepszej przyszłości, ofiarowując wszystko Bogu. Jedni budują chaty, domy, kaplice, kościoły. Drudzy sieją i zbierają. Inni na dalekiej północy prowadzą zaprzęgi psów, wyszkoleni fachowcy pilotują na morzach, a wszyscy odznaczają się świętą odwagą, która rodzi gorliwość w służbie. Nie cofają się przed żadnym wysiłkiem, bo żadna praca nie hańbi, jeśli ją poświęcamy Bogu.

Bracia, myśliwi i rybacy, zaopatrują misje w żywność, pracują też jako ogrodnicy, murarze, ślusarze, mechanicy, zakrystianie, a w czasie nabożeństwa widzimy ich przy samym ołtarzu.

Słuchając pani Prünnenbaum, Antoni był wniebowzięty! Jak to? on, prosty kowal z Dzierżanowa, mógłby się cały poświęcić Bogu podobnie jak ks. Kolping! Teraz już wie, co ma zrobić. Zostanie zakonnikiem!

Zacna niewiasta nie szczędzi mu dobrych rad i czuwa nad nim. Radzi, aby nie naśladował młodych robotników włóczących się po mieście, a spędzał wieczory i niedziele w domu. O pokusy nie trudno. Widząc, że Antoni codziennie rano chodzi do kościoła, sama go budzi w czas o 5-ej; Msza św. w pobliskim kościele jest o 5,30; często wraz z mężem towarzyszą swemu lokatorowi, którego zaczynają traktować nieomal jak syna. O 7-ej młody robotnik jest już przy pracy.

Antoni będzie zawsze wdzięcznie i serdecznie wspominał pobyt w domu państwa Prünnenbaum. Znalazł wreszcie spokój i życzliwość ludzką. Modlitwa i praca wypełniają dni i tygodnie, które uciekają prędko. „Pani Prünnenbaum — jak sam twierdził — była dla mnie drugą matką. Chodziła ze mną do kościoła, nie wstydząc się towarzystwa prostego robotnika. Słuchałem jej i szanowałem ją. A jednak była innej narodowości; trzeba o tym wiedzieć, że przedział między Polakami

i Niemcami jest jeszcze większy niż między Anglikami i Francuzami w Kanadzie."

Młode życie okrywa się świeżą zielenią. Antoni czuje się odmłodzony, pełen entuzjazmu, uskrzydlony myślą, mocny postanowieniem zostania bratem konwersem, misjonarzem zakonu Maryjnego. Pani Prünnenbaum w tych planach jest jego aniołem opiekuńczym. Pewnego dnia zachęca go do wzięcia udziału w pielgrzymce do Kavelaer, [1]), miejscowości leżącej w pobliżu holenderskiej granicy.

Obraz cudowny Matki Bożej od 1642 roku przyciąga niezliczone tłumy pielgrzymów. W dniach jubileuszowych w 1895 r. ponad 250,000 wiernych odwiedziło to miejsce. Antoni wymawia się brakiem pieniędzy. „Pokryję wszystkie koszta" — oświadcza autorytatywnie zacna niewiasta. Podróż trwała dwa dni. Dla Antoniego było to przeżycie niezapomniane. Matka Najświętsza przypomniała mu Panią Lutogniewską. Całym sercem odczuwał piękno ceremonii kościelnych, które go oczarowały we wczesnym dzieciństwie, a dziś wracały ustokrotnione w swej sile.

Pochód z pochodniami zamyka wieczorem pielgrzymkę. Pod gwiaździstym niebem olbrzymi wąż ognia płynie, zwija się, i wydłuża przez mroczne aleje. Głęboki oddech „Ave" podnosi się z ziemi. Pielgrzymi przesuwają paciorki różańca.

---

1) Małe miasto, około 5,000 mieszkańców, nad prawym dopływem Mozy, odległe od Kolonii o 80 kilometrów.

Krok za krokiem dookoła sanktuarium tworzy się jezioro światła i z tysiąca piersi płynie pieśń do Serdecznej Matki, Opiekunki ludzi.

Pobyt w rodzinie państwa Prünnenbaum trwał półtora roku. W tym czasie Antoni pisał do ojca, prosząc o zezwolenie na wstąpienie do zakonu misyjnego, lecz Ignacy Kowalczyk odpowiedział odmownie. Zbliżał się do sześćdziesiątki, jego ojcowskie serce wzdragało się przed rozłąką ostateczną z synem. „Jak to? — sam się zmagał z myślami. — Nigdy już nie zobaczy rodzonego dziecka? Odda je na wieczną tułaczkę wśród obcych, często niewdzięcznych ludzi, a przy tym klimat przeważnie zabójczy dla zdrowia. Nie, nigdy się na to nie zgodzi. Ofiara byłaby za ciężka dla niego, no i dla syna..."

Antoni próbował parokrotnie zmiękczyć opór ojca, ale zawsze bezowocnie. Zrozpaczony powierza swe troski spowiednikowi, który je rozwiewa jednym zdaniem: „Bóg jest na pierwszym miejscu — mówi ksiądz — dla Niego opuścisz ojca i matkę swoją; żadne przeszkody nie mogą cię zatrzymać na drodze powołania do stanu zakonnego".

Wyrok księdza nie mógł podlegać żadnej dyskusji. Małżonkowie Kowalczykowie musieli się w końcu podporządkować woli Bożej. Syn może wyruszyć na misje, gdy przyjdzie na to czas.

W Mülheim mieszkał podówczas jeszcze jeden młody Polak, kowal Jakub Ciesielski. Obu chłopców łączyła przyjaźń. Wiara, narodowość i poboż-

ność związały dwie wybrane dusze, powołując je do lepszego życia. Razem udali się do St. Gerlach w Holandii [2]) w celu przyjęcia do zgromadzenia oo. oblatów. Pani Prünnenbaum towarzyszyła im jako opiekunka i tłumaczka. Superior przyjął Antoniego i zaskoczył pytaniem:

— Mój synu, dlaczego chcesz być zakonnikiem? Czy nie możesz znaleźć pracy w swym zawodzie?

— Mam pracę, ojcze — odpowiedział Antoni. — I nie dlatego tu przyszedłem. Ta pani, która nam towarzyszy, powiedziała, że tu właśnie mogę służyć Bogu. A chcę Mu służyć, bo obawiam się, aby Bóg nie powiedział mi po śmierci: „Ukochałeś świat nade Mnie..."

Antoni nie był obdarzony łatwością wymowy, ale słowa te wypowiedział z tak gorącą pobożnością, z taką prostotą i szczerością, że mistrz nowicjatu wnet oświadczył:

— Możesz u nas pozostać i niezwłocznie rozpocząć nowicjat. [3])

Upłynęło pięć lat od wyjazdu z Polski. Antoni przed rozpoczęciem nowicjatu pojechał do Dzierżanowa.

* * *

---

2) Przed nowicjatem Kowalczyka i Ciesielskiego został przyjęty do zgromadzenia oo. oblatów Józef Andrzejewski z diecezji poznańskiej, introligator. Po oddaniu wielu usług junioratowi, został wysłany na misje do Cejlonu, gdzie pracował przeszło 40 lat. Zmarł 23 marca 1939 r.

3) O. Fryderyk Favier, O.M.I. pełnił jednocześnie obowiązki mistrza nowicjatu.

Wrzesień, najpiękniejszy miesiąc w Polsce, radował oczy bogactwem darów jesieni. Jabłonie wzdłuż drogi do Dzierżanowa lśniły czerwienią owocu, obciążone gałęzie zwisały nisko. Tu i tam ustawione w rzędy złociły się brzozy. Jarzębiny stroiły się w korale. Bladły promienie słońca, w powietrzu czuć było zapowiedź rannych przymrozków. Dzień miał się ku zachodowi. Wieśniacy schodzili z pola.

Samotny wędrowiec zbliżał się ku wsi. Szedł krokiem równym i sprężystym. Szukał wzrokiem rodzinnego gniazda ukrytego wśród drzew. Serce biło głośno. O wszystkim zapomniał: cierpienia tułaczki, choroba, lata pracy minęły jak zły sen. Co za szczęście! za chwilę zobaczy dom. Raptem przeszył go niepokój, ogarnęła trwoga. Czy potrafi oprzeć się czułości i nieuniknionym atakom rodziny? Przy wejściu do wsi powitał go Krzyż. Wyciągał do przybysza swe miłosierne ramiona. Antoni ukląkł: „Maryjo — westchnął z głębi duszy — bądź przy mnie”.

Wieść o powrocie Antoniego Kowalczyka rozeszła się błyskawicznie. Tematem wszystkich rozmów tego wieczora było jego powołanie do życia zakonnego. Syn Ignacego, ten co tyle lat był w Niemczech, przyjechał, aby się pożegnać na zawsze. Podobno wyślą go gdzieś na dalekie misje. Wymieniano Cejlon, Afrykę, Kanadę. Nikt się temu tak bardzo nie dziwił, znano przecież

Antka jako dobrego, pobożnego chłopczynę, matka też taka religijna, ale zawsze to sensacja!

Antoni do późna w nocy opowiadał swej rodzinie o pracy w fabrykach, o przykrym otoczeniu, o coraz to nowych, obcych miastach, o atakach na jego wiarę. Mógł nawet oślepnąć na całe życie, ale Bóg uzdrowił go w sposób cudowny. Potem długo opowiadał o pani Prünnenbaum, o jej dobroci i hojności. Okazała się dla niego drugą matką. Czyż w pewnej mierze nie zawdzięcza jej swego powołania? Cień smutku pada na twarz Łucji. Nie słychać słów protestu ani skargi. Spojrzeniem pełnym miłości obejmuje syna i mówi w sercu pokorne „Fiat". Kielich cierpienia został przyjęty. Jest pełna podziwu i uznania dla swego syna i nie robi mu żadnych wymówek.

Ojciec natomiast nie rezygnuje. Nie zwalcza otwarcie postanowienia Antka, szuka jednak sposobu, aby je podważyć. Próbuje siać zwątpienie w duszy dziecka. Czy Antoni dobrze sobie zdaje sprawę z trudności życia zakonnego? Czy będzie zawsze na wysokości zadania? W krajach misyjnych życie jest surowe, klimat ostry na północy, tropikalny na południu. Czy starczy mu zdrowia na pokonanie tych trudności? Pragnienie świętości — czyż nie jest tylko szlachetnym złudzeniem młodości? Ignacy próbował wszystkich argumentów, aby zawrócić syna z obranej drogi. Dlaczegoż podobnie jak bracia i siostry nie ma

wrócić do swoich i tu w Polsce założyć własnej rodziny? Mógłby tyle zdziałać dobrego dla swego kraju.

Wzruszony i zmieszany Antoni otrząsa się po tym szturmie ojcowskim. Jest mu przykro i ciężko iść wbrew woli rodzica, ale postanowienia nie zmieni, pójdzie za wezwaniem wewnętrznego głosu: „...będziesz miał skarb w niebie; a przyjdź i pójdź za Mną" (Mat. 19, 21). Nie śmie przeczyć ojcu, ale pamięta słowa Piotrowe: „Otośmy opuścili wszystko i poszli za Tobą." A On im rzekł: „Zaprawdę powiadam wam, że nie masz nikogo, który by opuścił dom, albo rodziców, albo braci, albo żonę, albo dzieci dla Królestwa Bożego, a nie otrzymał daleko więcej w tym życiu, a w przyszłym żywot wieczny" (Łuk. 18, 28-30).

W końcu i ojciec, uparty Ignacy Kowalczyk, pochyla głowę przed wolą Bożą. I on wypowiada Maryjne „Fiat" — niech się stanie!

Pewnego dnia Antoni wybrał się do kościoła w Lutogniewie, aby pożegnać się z Maryją Pocieszycielką i staruszkiem księdzem. Potem obszedł wszystkie zagrody w Dzierżanowie, wszystkich sąsiadów i przyjaciół z dawnych lat. W chwili odjazdu płacz był powszechny. Antoni natomiast czuł wielką radość na myśl, że już wkrótce całkowicie odda się Bogu.

Po raz ostatni spojrzał na swój dom rodzinny, cichy, spokojny, ukryty wśród drzew, wstrząsanych podmuchami jesiennego wiatru. Przez chwi-

lę zatopił wzrok w oczach rodziców wilgotnych od łez, a potem odjechał, pozostawiając za sobą to wszystko, co ongiś tak kochał, a czego już nigdy więcej nie zobaczy: rodzinę, kraj lat dziecięcych i ojczyznę.

Odtąd Antoni Kowalczyk będzie kowalem Pana Boga.

ROZDZIAŁ IV

ŚWIT NADCHODZI

Urodzajna dolina, łagodny brzeg Mozy, bogate pastwiska, wesołe domki — to holenderski Limburg, wciśnięty w róg granic Niemiec i Holandii. Niedaleko leży Maastricht, główne miasto prowincji; rzeczka Geul wlewa swe czyste wody do Mozy. Gęsto rozsiane miasta i miasteczka: Houthem, Heer, Fauquemont.

Wypędzeni w czasie prześladowań z Francji OO. Oblaci schronili się do tej gościnnej ziemi. Czwartego listopada 1881 r. otworzyli nowicjat pod wezwaniem św. Gerlacha [1], którego relikwie przyciągały licznych pątników.

Dla podniesienia zawodowej sprawności braci, ojcowie wyposażyli nowicjat rozmaitymi warsztatami: szewskim, kowalskim, stolarskim, ślusarskim, introligatorskim, a nawet zegarmistrzowskim. W pięć lat później OO. Oblaci-uchodźcy z Francji przenieśli również swój juniorat pod wezwaniem Matki Boskiej o jakieś dwa kilometry dalej na wierzchołek wzgórza. Jezuici i redemp-

---

1) Św. Gerlach, rycerz z czasów krucjat, zakończył życie jako pustelnik, mieszkając w wydrążeniu starego dębu. Cieszył się wielką czcią wśród okolicznych mieszkańców.

toryści mieli też swe domy w tej okolicy. W ten sposób dolina rzeki Geul była prawdziwą kolebką życia zakonnego.

Dnia 21 września 1891 roku Antoni Kowalczyk wrócił z Polski. Po hałasie fabryk — cisza klasztorna. Gwar świata ustąpił przed szmerem pacierzy. Ten dom pełen spokoju, gaje cieniste i świeże, dolina uśpiona w słońcu — wszystko składało się na obraz kojący zmęczoną duszę młodego robotnika. Nigdy jeszcze nie zaznał ukojenia równie głębokiego. Po cierpkich doświadczeniach przeszłości rozkoszował się szczęściem, którego tak bardzo pragnął.

Zbliża się wielki dzień wejścia do życia zakonnego. Obłóczyny mają się odbyć 1 października. Kandydaci po odbytych rekolekcjach zgromadzili się w kaplicy. Mistrz nowicjatu w swych naukach o życiu zakonnym podkreślał jego piękno i łaski, które przynosi. „Powołanie braci jest powołaniem wzniosłym, jest pracą apostolską i tylko serca mężne, waleczne i szlachetne odpowiedzą wielkiemu zadaniu. To jest ofiara z samego siebie złożona Boskiemu Nauczycielowi, aby iść za Nim i nieść Jego krzyż... Modlitwa, poświęcenie i praca bez oczekiwania doczesnej zapłaty skłaniają brata do oddania wszystkich sił wielkiemu Dziełu Odkupienia i do składania codziennych ofiar za zbawienie świata. Powołanie braci to odpowiedź na ewangeliczne wezwanie: „jeśli chcesz być doskonałym — pójdź za Mną”.

Antoni chłonie słowa mistrza nowicjatu w najgłębszym skupieniu. Widzi, jak wielkimi krokami zbliża się chwila błogosławiona. Już prędko przywdzieje sutannę. A tu skądś wypełzają czarne myśli; gwałtowna burza podnosi się w duszy kandydata. Czyż on jest godzien zbliżyć się do Zbawiciela? do samego Boga? On, ubogi robotnik, nieuk nieokrzesany. Może rodzic miał słuszność, przywołując go do opamiętania. Antoni jest przerażony, nie wie, czy to są kuszenia szatana, czy zdrowy rozsądek przyszedł do głosu i woła: uciekaj, póki czas.

Podniesie się z klęczek i wyjdzie z kaplicy. To nie dla niego. I wtem, zmącone spojrzenie biegnie do figury Najświętszego Serca Jezusa, królującego w głównym ołtarzu. Antoni słyszy, jak sam to następnie zeznawał, wyraźny głos: „Jeśli chcesz być doskonałym, odejdź od twego ojca, matki, braci i całego świata. Jeśli się wahasz, jesteś wolny". Antoni z głębi duszy woła: „Mój Ojcze, wyrzekam się wszystkiego". Najświętsze Serce skłania go wtedy do złożenia wotum, że już nigdy nie zobaczy swej rodziny.

Łaska zwyciężyła. Antoni przyrzeka „w imię Syna Bożego, Jego Matki i wszystkich Świętych". Ciemności zwątpienia ustępują. Świta nowa jutrzenka. Zatopiony w Chrystusie składa Bogu całkowitą ofiarę ze swego życia. Spokój spływa do serca, cisza nastaje po burzy. Odważnie zbliża się do ołtarza.

Zwierzał się kiedyś, że różne myśli przychodziły mu do głowy, że gdyby nie został zakonnikiem, albo gdyby nie wytrwał w tym stanie, to więcej obraziłby Boga niż szatan, który nie był jak on, Antoni, wybrańcem łaski. Myśli te tak go męczyły, że zapadł jak gdyby w otchłań niewidzialną i oczekiwał sądu. Widział Chrystusa na krzyżu, Matkę Najświętszą, Boga Ojca, postacie w kształcie świętych figur. Czuł coraz wyraźniej, że zdradzając swe powołanie, byłby gorszy od szatana i zasłużyłby na wieczne potępienie.

Najświętsze Serce ulitowało się nad nim. Antoni po złożeniu ofiary otrząsnął się z przejmujących cierpień zwątpienia i trwogi. Młody kowal rodem z Polski został bratem Antonim.

* * *

Nowicjat — pierwszy stopień życia zakonnego. W ciągu roku nasz braciszek ćwiczy się usilnie, pod kierunkiem mistrza nowicjatu, w osiąganiu wszystkich cnót dobrego zakonnika. Mistrz objaśnia braciom prawo Boże, sposoby modlitwy myślnej, owocne korzystanie z Sakramentów Świętych i pobożne uczestnictwo we Mszy św.

Każdego dnia w tygodniu można było widzieć w obejściu Domu św. Gerlacha brata w roboczym ubraniu, krzątającego się skwapliwie. Wzrostu średniego, mocnej budowy, pełnił swe obowiązki w milczeniu zakonnym. Nie ma w nim nic sztucz-

nego, nic z robionej na pokaz pobożności. Brat Antoni jest zawsze zajęty, a jego powaga jest szczera.

Co on tu robi? Modli się, myśli, walczy, cierpi. Gdy wszystko złożył w ofierze całopalnej, czyżby miał teraz marnować czas drogocenny? Postanowienie długo dojrzewało; energię, którą wkładał w kucie żelaza, zużyje obecnie na kucie własnego charakteru. Brat Antoni musi zostać świętym!

Cudowne historie, opowiadane ongiś przez ojca, wracają w żywej szacie. „Och, cóż to za żywot wspaniały, surowy tych pustelników — zachwyca się brat Antoni — pełen wyrzeczeń, umartwień; jak długie i wyczerpujące kuszenia szatana, jakże częste i gorące modły, jakże ścisła wstrzemięźliwość i tyle gorliwości w postępie duchowym! Pracują w dzień, czuwają w nocy, nawet w czasie zajęć nie przestają się modlić.”

Za przykładem pustelników Antoni wytwarza dokoła siebie samotnię. Wczoraj jeszcze był hałas fabryk, orka skazańca, raniące uszy przekleństwa, serce przepojone wstrętem do otoczenia. I oto Bóg wyrwał go z tej nocy, z tego piekła. Mały kowalczyk znajduje spokój, wiejskie środowisko, cieniste zakątki, szmery paciorków różańca i wesoły śmiech. Całe powietrze dyszy miłością nadprzyrodzoną. Ku wielkiemu zadowoleniu brat Antoni jest zajęty od rana do wieczora. „Benedicamus Domino!” — „Błogosławmy Panu!” I już jest gotów chodzić radośnie w jarzmie Pańskim.

W jego uszach dzwonek ma głos anielski, wzywa do pracy, do modlitwy, do aktów strzelistych, rozbrzmiewa na Anioł Pański, przypomina, że czas mija i zbliża nas do wieczności. Wszędzie, na każdym miejscu, w kaplicy, za stołem, przy robocie czy odpoczynku Bóg jest przed oczami młodego robotnika.

Szczęśliwa dusza, która w sobie słyszy
[słowo Boże!
Szczęśliwe uszy otwarte na głos Boży!
Szczęśliwe oczy pełne zachwytu dla spraw
[wewnętrznych,
zamknięte dla świata!
Szczęśliwi ci, których radością jest Bóg
[i sprawy Jego!

Brat Antoni posiada to szczęście. To skarb prawdziwy. Nie chce go stracić. Ruchy, słowa, cała postawa odzwierciedlają tajniki jego duszy. Żyje Bogiem i dla Boga. I tym się tłumaczy żarliwość tego nowicjusza i to będzie tajemnicą całego życia.

* * *

W okna kaplicy zagląda świt. Lampka przed ołtarzem wciąż mruga; czuwała nocą na modlitwie, ale teraz nie jest już sama. Brat Antoni klęczy przed tabernakulum. Powieki przymknięte, ręce oparte o klęcznik, z serca unosi się w górę

płomień miłości. Kowal Boży jest już przy robocie. Słychać kroki, drzwi się otwierają, szeleszczą sutanny. Brat Antoni wciąż klęczy, nic nie zdoła go wyrwać ze skupienia. Całe jego życie wewnętrzne przeobraziło się w żywą kuźnię. Rozgrzewa swą duszę w ogniu miłości, zanurza w ożywczej modlitwie, urabia ją, rzeźbi na obraz i podobieństwo Boże. Natura człowieka skażona przez grzech pierworodny chciałaby czasami przyjść do głosu, ale nic z tego, brat Antoni ma mocne ręce, pełni obowiązki zakonnika z tą samą werwą, z jaką walił młotem w kowadło. Tak, będzie świętym!

Umierając, założyciel zgromadzenia ojców oblatów [2]) zostawił synom duchownym testament swego serca: „Zachowujcie między sobą i praktykujcie miłość, miłość, miłość, a na zewnątrz gorliwość w zbawianiu dusz". Nasz braciszek zaprzysiągł sobie pełnienie tego nakazu. Należy już przecie do Boga i do braci. Gdy tylko kto potrzebuje pomocy, brat Antoni jest zawsze na usługi. Można nadużywać jego dobroci, nigdy nie odmówi. Możesz to zrobić? Możesz tu naprawić? Możesz tam pójść? I tak bez końca. Braciszek zgadza się skwapliwie. Oczywiście, dlaczegożby nie?! W chwilach wolnych od regulaminu czyż nie jest narzędziem do powszechnego użytku, którym każdy może się posługiwać do woli?

---

2) Ks. Karol Eugeniusz de Mazenod, biskup Marsylii, zmarł 21 maja 1861 roku.

Podobnie jak jest wierny ćwiczeniom pobożnym, różańcowi i innym modlitwom, podobnie wiernie spełnia prośby braci, a potem wraca do swych zajęć, siejąc za każdym krokiem Zdrowaśki. Życie jest krótkie, tak prędko umyka, trzeba skwapliwie zbierać i składać do gumien Ojcowych swe zasługi, i brat Antoni przesuwa się cicho tu i tam z różańcem w ręku.

Otwiera drzwi do warsztatu, zatrzymuje się chwilę przed świętym obrazem. Młody Polak lubi się modlić przed tymi naiwnymi o żywych kolorach podobiznami Świętych, a przy tym przypominają mu one dom rodzinny, w którym rządkiem wisiały na ścianach. Znak krzyża pobożnie uczyniony i braciszek jest już przy pracy. Smukłe palce artysty wybierają zręcznie potrzebne narzędzia i żelazo jest mu posłuszne. Zgina je, piłuje, wygładza, pracuje z dokładnością lekarza pochylonego nad pacjentem w czasie operacji. Każda robota wykonana z uwagą, z miłością, z oddaniem, jak pacierz.

Młody nowicjusz wywierał, nie wiedząc o tym, głęboki wpływ na otoczenie. Zaczęto mówić o nim; w czasie odpoczynku słychać było czasami słowa uznania. Brat Antoni odwracał zawsze w sposób delikatny uwagę od swej skromnej osoby. W swym dziwnym języku (mówił po niemiecku równie źle jak po francusku) tłumaczył: „Jestem sobie zwykłym nieukiem i nawet nie umiem wysławiać się prawidłowo", a cała twarz jaśniała wówczas

naiwną prostotą; lekki uśmiech rozchylał wargi. Cóż na to można było powiedzieć? Był rozbrajający w swej skromności. Chwile odpoczynku mijały, bawiono się ochoczo, śmiech dudnił. Brat Antoni śmiał się też z całego serca, lecz gdy tylko dojrzał widza zainteresowanego zabawą, nieznacznie ustępował mu miejsca. Taki już był ten nasz brat Antoni.

I znów głos dzwonu. Na boisku jak wymiótł. Gra przerwana, wszyscy śpieszą do kaplicy. Och, te chwile odprężenia spędzone przed tabernakulum! Zdawało się bratu, że wchodził do rodzinnego domu. Zwłaszcza święta i niedziele zawsze spędzał ukryty w kąciku kaplicy, najczęściej blisko ołtarza Matki Najświętszej. Klęczał długie, długie godziny bez najmniejszego znużenia. Często dzwonek przerywał kontemplacje, wtedy brat po cichu wychodził z kaplicy bocznym wyjściem, aby wejść do domu od frontu, jakby wracał z przechadzki po ogrodzie. Taki sobie wymyślił mały fortel dla ukrycia przed innymi swej pobożności.

Czasami jednak na codziennej dróżce życia boleśnie ranił się o kamienie. W nowicjacie był zwyczaj kolejnego głośnego czytania odpowiedniej lektury po niemiecku. Kiedy po raz pierwszy brat Antoni rozpoczął czytanie, cała jadalnia zahuczała zaraźliwym śmiechem. Jakąż śmieszną wymowę miał ten młody Polak! Krztusząc się spoglądano na siebie. Coś podobnego! Brat Antoni nie był z masła, krew go zalała. Dotknięty do

żywego, ciągnął jednak dalej i czytał pomału, spokojnie do końca.

W pewnych chwilach energia kowala brała górę nad jego dobrocią. Traktuje swe ciało jakby to było zwierzę juczne. Gdy prowadzi „brata osła" do jadalni, trzyma go mocno przy pysku i nie pozwala na obżarstwo. A tu śniadanko chude głodu nie zaspakaja, między posiłkami długie przerwy. W piątki wieczorem po dzwonku wzywającym na „miserere" zakonnicy stawali się bez litości dla swej ziemskiej powłoki. Suche uderzenia spadały gęsto. Dyscyplina w celi brata Antoniego biła z taką siłą, że sąsiedzi drżeli i pytali siebie, czy podłoga nazajutrz przed jego celą będzie znaczona krwią?

Czas dobiegał końca. W przeddzień ślubów mistrz nowicjatu składa sprawozdanie: [3])

„Brat Kowalczyk Antoni według zebranych dowodów sprawował się zawsze jak przystało na dobrego katolika. Zwolniony ze służby wojskowej. Przyjęty do nowicjatu 1 października 1891 roku.

Ten brat cieszy się dobrym zdrowiem i jest mocnej budowy. Uzdolniony, nadaje się do wszystkich robót, szczególnie do ślusarki.

Ma dość inteligencji i umiejętności potrzebnych dla brata. Obdarzony silną wolą odznacza się doskonałymi zaletami do pielęgnowania cnót

---

3) O. Fryderyk Favier, O.M.I., Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

i pobożności. Będzie zakonnikiem o dobrej i mocnej postawie. Jest bardzo oddany i we wspólnocie zakonnej dla wszystkich uczynny. Jako Polak nie zna zbyt dobrze języka niemieckiego i ma trudności z nauką francuskiego. Pragnie wyjechać na misje."

Brat został zatem od razu dopuszczony do złożenia pierwszych ślubów w kapliczce św. Gerlacha w dniu 2 października 1892 roku. Tegoż dnia razem z Jakubem Ciesielskim został skierowany do małego seminarium św. Karola. „Carolineum" — tak się ono zwało — wznosi się samotnie na jednym z płaskowzgórzy nad rzeką Geul; leży o jakieś dwa kilometry od nowicjatu św. Gerlacha.

Dwaj młodzi zakonnicy byli dobrze przyjęci w tym obszernym domu, w którym huczał rój dwustu młodych chłopców. Roboty nie brakło. Liczba uczni wciąż wzrastała, lokal wymagał rozbudowy. Brat Antoni natychmiast stanął do pracy. Widać go było wszędzie: na wznoszącym się murze, na dachu, przy cegłach lub dachówkach. „Zdolny i zręczny do wszystkich robót" — orzekł superior. Znał się na mechanice, elektryce, instalacji wodnej, pralni, budowie i całkowitym urządzeniu kuźni. W ciągu czterech lat był w tym ulu wiecznie czynną pszczołą. Zawsze pogodny i uprzejmy, łączył modlitwę z pracą.

Przykrych doświadczeń jednak nie brakuje. Znosi z pokorą drwinki i szpileczki. Pewnego dnia

sam przełożony domu wzywa go i jako lekcję pokory stosuje naganę:

— Do niczego się nie nadajesz w naszym zgromadzeniu.

Brat Antoni schyla głowę i prosi o parę dni do namysłu.

Powraca po trzech dniach, puka do drzwi superiora i oświadcza:

— Ojcze, jestem niegodny, opuszczam zakład.

— Nie — ucina ojciec przełożony — zostaniesz.

Kiedy po pewnym czasie brat Antoni opuści zakład na zawsze, tenże sam przełożony pójdzie do szwalni i zażąda jakiejkolwiek rzeczy, która przedtem należała do polskiego braciszka. Weźmie na pamiątkę stary, zrudziały kapelusz, mówiąc:

— Kapelusz świętego.

Nic nie zdołało zachwiać postawy moralnej brata. Od pierwszej chwili pobytu w zgromadzeniu nigdy się nie ugiął, nie załamał, nie popełnił fałszywego kroku. Chętnie przestawał z innymi, brał udział w zabawach i wycieczkach, aczkolwiek był zawsze milczkiem, wolał słuchać niż mówić. Bracia nie mogli wydobyć zeń żadnych zwierzeń, żadnych opowiadań o przeszłości.

— Jako Polakowi trudno mi wysławiać się w innym języku — tłumaczył grzecznie swą niechęć do mówienia o sobie.

Ten nasz brat Antoni to nie był zwyczajny zakonnik, to był święty. Szeptano o tym powszechnie, że ojciec przełożony w ważnych wypadkach zwracał się do brata, prosząc o modlitwy. I modlitwy te były zawsze wysłuchane. Na potwierdzenie tej opinii świętości zaczynają dziać się rzeczy cudowne. Na pozór drobne, ale naprawdę niezwykłe.

Pewnego dnia brat kucharz jest w niemałym kłopocie. Nie ma wody. Na nic kręcenie, stukanie, niesposób wykryć, dlaczego posłuszne dotąd kurki zastrajkowały. Wzywa więc brat kucharz brata Antoniego na pomoc:

— Bracie, nie ma w kuchni wody, coś się zepsuło.

— Gdzie?

— O, tu w tym kranie.

— Ano, to się pomodlimy.

I już brat Antoni klęczy przed kuchennym ołtarzykiem. Potem bierze młotek, stuka trzonkiem w rurę i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej woda wytryska obfitą strugą. I już nie ma brata w kuchni, wrócił do swych codziennych zajęć.

Innego znowuż dnia przyjaciel Jakub Ciesielski pracował w głębi studni. Studnia miała około 20 metrów głębokości; brat Jakub posługiwał się drabiną, która, niestety, była o wiele za krótka, miała jakieś 6 do 8 metrów długości. Trzeba ją

było kilkakrotnie przestawiać. Schodzenie w głąb było bardzo trudne i wymagało wielkiej ostrożności.

Brat Jakub tym razem męczył się bezskutecznie, w końcu już nie na pomoc, ale na ratunek zaczął wołać brata Antoniego. Brat Antoni stał na górze oparty o cembrowinę. Zaledwie usłyszał głos przyjaciela, już jest przy bracie Jakubie. W jaki sposób? Co się stało? Jak zeszedł? Przecież nie skoczył na dwadzieścia metrów w dół? Brat Jakub patrzy zdumiony. Ach, ten brat Antoni, to dopiero zagadka!

Kiedyś w warsztacie zakładano nowe urządzenia. Usunięto sztabę i dwóch braci mozoliło się nad wstawieniem ciężkich podkładów. Ciężar jednak był ponad ich siły.

— Pomóż nam, bracie Antoni — to znów brat Jakub wzywa przyjaciela. I brat Antoni jest już przy nim. Jedno westchnienie do Matki Bożej, potem zręcznie rzucona mocna lina, szarpnięcie i podkład jest na właściwym miejscu. Sprawa załatwiona. Tylko bez podziękowań i pochwał.

Dni i miesiące uciekają. Sprawowanie brata Antoniego jest zawsze bez zarzutu. Igła busoli nastawiona na doskonałość. Ojciec przełożony wydaje mu chlubne świadectwo: „Zdrowie dobre, pobożność mocna, charakter prawy, stosunki z braćmi wzorowe, usłużny, oddany innym, przywiązany do stanu zakonnego. Chciałby złożyć ostat-

nie śluby po pięciu latach. Nie widzę żadnych przeszkód i do jego próśb załączam moją". [4])

Uroczystość odbyła się 26 października 1893 roku.

* * *

Lecz brat Antoni mierzy jeszcze wyżej. Czy nie opuścił swej ojczyzny, nie wyrzekł się rodziny? Złożył przecie dobrowolnie te ofiary, aby zostać w końcu misjonarzem.

Ugór nieuprawny, step tajemniczy, pola śniegowe, biedacy półdzicy w łachmanach, zimno, głód, zaraza, samotność i ciężka praca pociągały Antoniego jak złota legenda. Marzenie całego życia! Od czasu do czasu molestował swego przełożonego o wysłanie na dalekie misje zagraniczne. Lecz braci konwersów nie ma tak wielu, a tu robota rośnie jak ciasto na drożdżach. Jakże się obejdą bez jego usług? Superior w tajemnicy chronił skarb, który mu Opatrzność powierzyła; pocieszał więc brata Antoniego i radził czekać. Brat w pokorze przyjmował rady przełożonego. Czekać!? Brat Antoni po audiencji u superiora pełen dobrej nadziei szedł na kompletę do kaplicy. [5])

Jesienią 1895 r. błysnął promyk nadziei. Sie-

4) O. Leon Legrand, O.M.I., Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

5) List o. F.B. Kowalskiego, Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

rociniec św. Józefa w Cejlonie miał jednocześnie szkołę zawodową i potrzebował mechanika. Brat Antoni, pierwszorzędny kowal, potrafiłby też obsłużyć maszyny parowe. Miał już jechać, a tu po trzech dniach radości jakież rozczarowanie! Przełożony prowincji zgromadzenia orzekł, że brat Antoni nie jest godzien wyjazdu na misje. Zawód zasmuca brata, ale ani jedno słowo skargi nie wychodzi z jego ust.

Aż pewnego wiosennego ranka przychodzi nowa wieść. Brat Antoni wyjedzie na misje do północno-zachodniej Kanady. Przełożony domu, do którego brat Antoni dotychczas należał, przychylnie odpowiada na zapotrzebowanie.

„Spotyka nas wielki zaszczyt. Cieszymy się, że nasz juniorat zwrócił na siebie uwagę Czcigodnych Założycieli misji zagranicznych. Jest to prawdziwym szczęściem dla mnie, że mogę przysłużyć się misjom skierowując jednego z najbardziej oddanych braci. Jestem, Bogu dzięki, w stanie odpowiedzieć na życzenie Wielebnego Ojca[6]) i oddaję chętnie do jego dyspozycji... brata Kowalczyka... najlepszego spośród braci, prawdziwie świętego.” [7])

19 maja 1896 r. żegna brat Antoni swych przełożonych i towarzyszy. Godzina wyjazdu

---

6) O. Henryk Grandin, prowincjał O.M.I. na wikariat St. Albert w Kanadzie.

7) List o. Leona Legrand, O.M.I., Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

wybiła, godzina tak upragniona. Idzie do kaplicy. Po raz ostatni klęka na swym dawnym miejscu przed Matką Najświętszą. Dusza jego śpiewa przed dobrą Matką:

Zdrowaś Maryjo, Boga Rodzico,
Błagamy Ciebie, święta Dziewico,
Niech łaska Twoja zawsze nam sprzyja,
Módl się za nami Zdrowaś Maryja...

Misjonarz przesuwa ostatnie ziarnka różańca. Jutro o tej porze będzie już daleko. Będzie płynął przez wielki ocean do brzegów nieznanych. Zacznie się nowa droga tułacza. Mogą też być nowe przeszkody i niepowodzenia, lecz brat Antoni ich się nie lęka, jest pełen ufności. Tam wysoko w jasnym lazurze świeci jego gwiazda przewodnia.
— Gwiazdo Zaranna, módl się za nami.

ROZDZIAŁ V

BRAT BEZRĘKI

Oto Kanada. Rozległych równin zachodniej Kanady nie dotknęła jeszcze ręka cywilizacji. Step, lasy milczące, dęby, jodły, świerki... Przyroda w dziewiczym stanie. Zające kicają w gęstych trawach, króliki siedzą w kotlinach, a nocą wyją wilki. Wielkie bogactwo ziemi nieuprawnej i lasów nieprzebytych. W pustym stepie spotkasz li tylko rzadkie gromady koczujących szczepów i częste gwałtowne podmuchy wiatru. Ale już wkrótce usłyszysz szmer wozów o budach płóciennych i skrzyp drewnianych kół.

Od pół wieku przednia straż misji trwa na posterunku. Osadnicy oraz imigranci posuwają się naprzód i rozlewają się fala za falą w głąb kraju. Droga do Ziemi Obiecanej. Osady rosną jak grzyby po deszczu, pustkowie się zaludnia i pod hojnymi promieniami słońca po raz pierwszy szumią żniwa. Kraj szeroko otworzył wrota na przyjęcie cywilizacji.

W początkach czerwca brat Antoni wylądował w porcie Québec i natychmiast pojechał do Montrealu. Po trzech dniach wyruszył na zachód. Przez długie godziny przesuwały się przed jego

oczami krajobrazy czasami lesiste, czasami skaliste, krajobrazy prowincji Ontario o wielkich jeziorach, potem ukazały się uprawne pola Manitoby, a za nimi smutny, monotonny bezkres równiny.

Po krótkim wypoczynku w Calgary młody misjonarz przybywa nareszcie do Edmontonu. W swym prywatnym dzienniku ks. Grandin, biskup Saint Albert, notuje: „11 czerwca zawitał tu do nas brat Kowalczyk. Polak, prawie mechanik, naprawdę bardzo zdolny, ale przede wszystkim doskonały zakonnik”. [1])

Edmonton, położony o trzy tysiące kilometrów od Montrealu, był jeszcze w r. 1896 małym miastem, liczącym zaledwie 2,000 mieszkańców. Rozwijający się bieg wypadków i dobre warunki naturalne wróżyły mu świetną przyszłość. Dokoła leżały urodzajne pola, a przez miasto ciągnął sznur poszukiwaczy złota do Klondyke. Edmonton był bramą północnej Kanady. W nim też misjonarze mieli swoją stację pocztową i główny punkt aprowizacyjny. Bardziej na uboczu o dwa kroki od Fortu skupiły się instytucje o charakterze religijnym: stary kościół pod wezwaniem św. Joachima, probostwo. szkoła katolicka i główny szpital prowadzony przez siostry Szare [2]) ze zgromadzenia Grey Nuns.

---

1) Zapiski i wspomnienia ks. biskupa Grandin, (Dziennik) str. 255, archiwa domu O.M.I., Edmonton.

2) Misje zgromadzenia O.M.I., No. 142, czerwiec 1898.

Cały maj i połowę czerwca lało jak z cebra. O robotach w polu mowy nie było. Żywność wyczerpała się, drogi rozmyło. „Woły chude" — notuje kronikarz w Lac la Biche. [3]) Ojciec Grandin wyruszył po zakupy do Edmontonu. W czas niepewny cała karawana wracała drogą powrotną do misji. Jedenaście wozów mocno obciążonych mąką i najrozmaitszymi rzeczami. Prócz obsługi konwoju — szesnaście osób, w tym: ojcowie Henryk Grandin, Tissier, Simonin; bracia Simose, Aleksander, Moelic, Racette; osiem sióstr i nowy przybysz: „polski braciszek".

Karawana wjeżdża na szlak zaledwie przetarty, świeżo wykarczowany, wyboisty, pełen wstrząsów. Konie ciągną pomału, często trzeba je przeprzęgać po sześć dla wyciągnięcia jednego wozu. Z wysiłku i napięcia uprząż omal nie pęka. Osie skrzypią, stłoczeni podróżni wzajemnie się popychają, bacząc by nie wypaść, a cała karawana krok za krokiem zagłębia się w step bez końca. Monotonne godziny, ołowiane słońce, od czasu do czasu przelotne burze. Z nastaniem nocy karawana zatrzymuje się, ustawiają namioty. Gęsta czarna chmura moskitów spada znienacka i owija podróżnych. Nie można przed nimi uciec, są wszędzie, wchodzą w ubranie, przyklejają się do skóry. Bolesne ukłucie, owad opity krwią odlatuje, na jego miejsce przylatują inne. Roz-

3) Codex historicus Misji Matki Boskiej Zwycięskiej w Lac la Biche.

pala się ognisko, dym na chwilę rozpędza natrętów. Chuda kolacja nie zabiera wiele czasu. W tę noc czerwcową pod milczącym sklepieniem obóz zasypia mrucząc Zdrowaśki.

Dzień po dniu karawana posuwa się ciężko. Przebyła północną odnogę rzeki Saskatchewan i minęła misję Lac Laselle. Prędko już dotrze do Lac Poisson Blanc. Ojciec Grandin, Sylwester Bourque i brat Antoni jadą na czele karawany. Przed nimi lekka pochyłość terenu. Wóz zjeżdża i grzęźnie w błocie. Podróżni są unieruchomieni w bagnie szerokim na jakieś 300 prętów. Świst bata i hukanie woźnicy nic nie pomagają. Próżna fatyga. Niepokój maluje się na wszystkich obliczach. Jak to wybrnąć z tego położenia?

Brat Antoni zeskoczył z wozu. I w tym czasie, gdy wyprzęgają konie, brnie w błocie, woda sięga mu do kolan, idzie jednak dalej z witką i obrazkiem świętym w ręku. Wspina się na obły pagórek i zaczyna się modlić. Modli się pięć minut, dziesięć. Upłynęło pół godziny. Brat wciąż się modli. Konwojenci zaczynają kląć. Złorzeczą temu kołkowi tkwiącemu samotnie w bagnie; zwariował ten brat Polak, nie inaczej. Co on tam robi? Czy myśli wyciągnąć nas z moczaru swymi modlitwami? Czas stracony. Ojciec Grandin nadchodzi i jednym słowem ucisza niezadowolonych. „Nie śmiejcie się, nie gniewajcie, ten braciszek to święty."

Po godzinie brat Antoni wstaje z klęczek

i woła: „Ru... szać!” Woźnica waha się, potem zaprzęga konie i krzyczy: „Wio, hej!”

Wóz ruszył jak po bitej drodze, a za nim sunie cała karawana. W ciągu piętnastu minut przebyto cały moczar. „Widzicie — mówi o. Grandin — nie było powodu do drwin i złorzeczeń.” „To prawda — przyznają skruszeni konwojenci — ale któż wiedział, że to święty?”

Po jedenastu dniach podróży karawana ochwacona, zmordowana zajechała przed budynki misji w Lac la Biche. Brat Antoni dziękuje Bogu; jego życie misjonarza zaczęło się szczęśliwie.

* * *

W tydzień potem o. Grandin pisał do superiora generalnego: „Nie wiem nawet, jak mam wyrazić wdzięczność za spełnienie mej prośby i przysłanie nam brata rzemieślnika do naszych maszyn... Czekałem z podziękowaniem do jego przyjazdu i dlatego piszę dopiero dziś, gdy go poznałem i wypróbowałem, raz jeszcze dziękując Przewielebnemu Ojcu za Jego wielką dobroć. Przywiozłem brata Kowalczyka z Edmontonu; w tej podróży uciążliwej a szczególnie przykrej dla nowicjusza, nie miałem dość pochwał dla tego kochanego brata, który służył za wzór mnie i czterem Metysom, jadącym razem z nami. Dzięki jeszcze raz za pomyślne załatwienie mojej prośby i skierowanie do nas brata Kowalczyka, który

samym przykładem zrobi wiele dobrego wszystkim dzieciom naszej Matki Boskiej Zwycięskiej..." [4])

Życie toczy się normalnie. Skończony rwetes podróży. Minęły burzliwe dni pełne wrażeń. Brat Antoni, otulony ciszą nad brzegiem jeziora, przeżywa błogosławione godziny.

Odtąd są to tylko drobne zdarzenia dnia powszedniego zanotowane w kronice misji.

„11 lipca. Widoki na urodzaj ziemniaków złe. Brat Moelic okopuje je płużkiem, a brat Kowalczyk zastępuje go przy maszynie."

„18 lipca. Bracia pracują nadal we młynie i w warsztacie. W tym tygodniu tartak idzie lepiej. Jest nadzieja na spiłowanie tego lata wszystkich kloców."

Dzień skończony, nasz mechanik z radością klęczy przed tabernakulum. Cała misja wypoczywa w ciszy. Motory przestały chrapać, przestały zgrzytać piły. Szumi tylko wieczorny wiatr w listowiu. Jezioro usnęło w mroku. Głęboki spokój północy. Brat Antoni jeszcze się modli. Czuwa przy swym Mistrzu; podobnie jak Apostoł Jan, spoczywa na Jego Sercu. Oto godzina niebiańskich zwierzeń.

„Mój Ojcze, oddaję się Tobie całkowicie.
Czyń ze mną, co Ci się podoba.

---

4) Wyjątek z listu o. H. Grandin do przew. o. L. Soullier, O.M.I., superiora generalnego, Arch. postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Jakkolwiek postąpiłbyś ze mną, dziękuję Ci, Panie. Jestem na wszystko gotów i zgadzam się na wszystko, byleby to było zgodne z Twoją wolą. Składam duszę moją w Twoje ręce. Oddaję ją z całą serdeczną miłością, bo miłuję Ciebie nade wszystko i jest to potrzebą mego serca oddawać się Tobie ciągle, bez miary, z nieskończoną ufnością." [5])

W krótkim czasie Bóg spełni prośbę swego dziecka i wyciśnie na jego ciele znak Boskiej miłości.

Brat Antoni pracował już od roku w misji nad jeziorem La Biche. 15 lipca 1897 r. w dniu św. Henryka obchodzono imieniny superiora, o. H. Grandin. Bardzo to skromna uroczystość, lecz braciszkom tak mało trzeba do żywej radości. Praca idzie swoją drogą, ale można przy niej rozmawiać i śmiać się do woli. Na obiad będzie deser, podadzą słodkie ciasto. „Wszyscy się cieszyli, chociaż każdy pełnił swe codzienne obowiązki" — notuje kronikarz. [6])

Tartak w pełnym ruchu. Robota pilna. Sierociniec szarych sióstr ma być przeniesiony do Lac Laselle, gdzie znajduje się więcej dzieci. Trzeba się śpieszyć przed zimą. Brat Antoni pracuje z całej mocy. Od rana do wieczora motor sapie,

---

5) Modlitwa o. Karola de Foucauld.
6) Codex historicus Misji Matki Boskiej Zwycięskiej w Lac la Biche.

piła tnie zębiskami długie kloce. Maszyna tu rządzi, nie ma chwili do wytchnienia: „Prędko, prędko, bracie Antoni, oto następny kloc. Śpieszmy się, jeszcze, jeszcze, przecież to dla chwały Pana Boga"... „Dla Pana Boga? Bardzo dobrze. Bądź wola Twoja" — odpowiada brat. Tak sobie rozmawiają maszyna z bratem Antonim; motor huczy, piła skrzypi i szemrzą Zdrowaśki. Raptem wśród ogólnego hałasu krzyk rozpaczliwy.

Sylwester Bourque, który pracował w pobliżu, biegnie co tchu. O dziesięć kroków od maszyny leży na ziemi brat Antoni. Prawe ramię zmiażdżone, kości przebiły ciało. Przy robocie porwał brata pas transmisyjny. Ręka została wciągnięta aż do trybów koła, które pogruchotały kości. Sylwester widzi tę rękę czarną, zniekształconą, ze zwisającym różańcem na przegubie.

Po chwili brat Antoni sam się podnosi i mówi po prostu: „Bóg tak chciał". Bez słowa skargi uśmiecha się smutnie.

Poruszony do głębi przybiega ojciec superior. Zakonnice spieszą z pierwszą pomocą. Na szczęście jest między nimi siostra Maria, doświadczona pielęgniarka, przybyła opatrznościowo z Saint Albert na odpoczynek do misji. Z całą życzliwością dla biednego braciszka zabiera się do pielęgnowania, lecz brat Antoni wcale się nie skarży, jest całkowicie poddany woli Bożej. Twarz spokojna, rozjaśniona nikłym uśmiechem, którym chce przesłonić okrutne cierpienie.

„Sprawił to przecie dobry Bóg."

Po co się skarżyć? Czyż to nie jest prawdziwa łaska być doświadczonym przez Boga? Kto chce być doskonałym, niech weźmie krzyż i idzie za Jezusem. Dlaczego nie dać się ukrzyżować, jeśli Bóg tak chce? Czyż sam nie wyciągnął ramienia do pochylonego nad Nim kata? Czyż nie jest wybrańcem łaski ten, co został dotknięty znakiem Męki Pańskiej? „Panie, czyń ze mną, co Ci się będzie podobało." Brat Antoni schyla głowę z rezygnacją. Odtąd na całe życie będzie naznaczony pieczęcią Boskiej miłości.

Wypadek ten szarą chmurą okrył dzień, który zapowiadał się tak przyjemnie. Kronika misji w lakonicznych zdaniach zamyka to wstrząsające wydarzenie.

„15 lipca. Około godziny 3 po południu przyszli po Ojca. We młynie zdarzył się ciężki, poważny wypadek. Drogi brat mechanik Kowalczyk ma strzaskaną rękę przez maszynę parową. Ojciec Grandin wyruszył niezwłocznie na poszukiwanie lekarza... Kiedy wróci? Każdy z nas niepokoi się głęboko."

„16 lipca. Rana naszego chorego przedstawia się tak dobrze, jak tylko może być dzięki wielebnym siostrom, które go pielęgnują z oddaniem się i fachowo, a szczególnie siostra Maria. Brat stracił względnie mało krwi i jest silny w swym nieszczęściu. Jego odwaga jest równie wielka jak mocna jego wola."

„17 lipca. Przyjechał doktor p. Aylen z fortu Saskatchewan. Ojciec spotkał go na drodze do Lac Laselle. Przybyli tu razem o 3 nad ranem. Doktor śpieszył się, gdyż ma bardzo dużo obowiązków. Po opatrunku doktor wyraził nadzieję, że może da się uratować rękę, ale trzeba brata zawieźć do szpitala..."

O 2 po południu ojciec zdrożony i zmęczony sam odwozi brata do Edmontonu. Wszyscy śpieszą z pomocą: M. Tompkins z Poisson Blanc użycza swych koni; siostry towarzyszą rannemu; Sylwester Bourque jedzie jako przewodnik. Cztery dni toczy się wolno zaprzęg po wyboistym szlaku. Cztery dni ostrych cierpień, wstrząsów wozu, palących promieni słońca i plag napastliwych moskitów. Brat Antoni nie skarży się, modli się; często lewą ręką czyni znak krzyża świętego.

Późno wieczorem 21 lipca podróżni docierają do Edmontonu. Sześć dni upłynęło już od strasznego wypadku. Gangrena obejmuje przedramię; nie ma chwili do stracenia; trzeba się zdecydować na amputację.

O godzinie 10 następnego dnia idzie brat Antoni na salę operacyjną. Dwóch lekarzy, pielęgniarka, ojciec Leduc i Sylwester Bourque towarzyszą mu. Dzieje się to wszystko w heroicznym okresie kolonizacji, gdy znieczulenia były rzadkością; chcą więc pacjenta przywiązać do stołu, lecz brat Antoni zaprotestował:

— O nie, proszę tego nie robić! Proszę mi dać krucyfiks, to wystarczy.

Zakonnik chce iść za swym Mistrzem na sam szczyt Kalwarii dobrowolnie, bez więzów. Po chwili wahania lekarze ustępują. Brat Antoni klęka i mówi trzy „Zdrowaś Maryja". Potem bierze do lewej ręki krzyż oblacki, wpatruje się weń długo, z miłością, z oddaniem się całkowitym.

„O, mój Ojcze, powierzam się Tobie w zupełności. Niech się dzieje wola Twoja. Co byś nie uczynił ze mną i dla mnie, za wszystko dziękuję. Jestem gotów, a co nastąpi, niech będzie zgodne z wolą Twoją. Niczego więcej nie pragnę, o mój Boże." Cicha modlitwa i pocałunek krzyża.

— Proszę — mówi brat Antoni — jestem gotów.

Na stole operacyjnym brat wciąż trzyma mocno krucyfiks. Nóż chirurga tnie żywe ciało, krew tryska, dreszcz wstrząsa całym organizmem. Pacjent leży niemy i nieruchomy. Siła woli przykuła go do stołu. Doktor pracuje z pośpiechem, ostrze sięga głębiej, tnie nerwy, ścięgna, pęka kość. Brat Antoni leży wciąż nieporuszony, jakby przebywał w innym świecie. Oczy przykute do krzyża, sam chce być z kolei ukrzyżowany. „Dobry Bóg tak chciał."

Operacja udała się znakomicie. W swym prywatnym dzienniku biskup Legal, który w tym czasie został koadiutorem ks. biskupa Grandin, daje ocenę stanu chorego.

„22 lipca. Amputacja miała miejce dziś z rana między dziesiątą a dwunastą. Przebieg zdaje się pomyślny. Tym lepiej."

„23 lipca. Nasz polski braciszek nadal trzyma się dobrze."

„24 lipca. Podróż do Edmontonu w celu odwiedzin brata Kowalczyka. On jest rzeczywiście takim, jakim go odmalowano, doskonały zakonnik, pobożny i żarliwy. Wczoraj po południu obawiano się poważnie, że wszystko przyjmie zły obrót. Ciepłota ciała podnosiła się w sposób niepokojący. Dziś natomiast jest o wiele lepiej. Deszcz nas schwycił w drodze i opóźnił przyjazd. Wszystko przedstawia się dobrze; miejmy nadzieję, że nie będzie przykrych powikłań." [7])

Zaledwie brat Antoni opuścił salę operacyjną, słyszy głos dzwonów na Anioł Pański. Bez chwili wahania rzuca się na kolana. Ale to za wiele na jego siły. Chwyta go zawrót głowy, omdlenie; mógł bardzo się potłuc, ale znajduje jeszcze tyle siły, aby samemu dowlec się do łóżka.

Niejednokrotnie głęboki niepokój mącił i zaciemniał życie młodego kaleki. Z udręką patrzył w przyszłość. Co z nim będzie obecnie? Bezręki, czyż zostanie dopuszczony do złożenia ślubów wieczystych? Jakiż może być pożytek z brata kaleki? Po raz pierwszy obawa ścisnęła mu serce

7) Dziennik prywatny ks. biskupa Legal, archiwa prow. O.M.I., Edmonton.

w chwili amputacji. Obawiał się śmierci przed złożeniem ślubów. Ks. biskup Legal przyszedł go pocieszyć. Biskup Grandin zapewnił brata, że w razie niebezpieczeństwa będzie mógł złożyć śluby. Młody zakonnik po tej obietnicy poczuł się wzmocniony.

Szybkim krokiem powracał brat Antoni do zdrowia. Po czterech tygodniach opuścił szpital i udał się do Saint Albert na rekonwalescencję. Ale wątpliwości nadal go dręczą. Pozwolą mu czy nie pozwolą złożyć śluby wieczyste? W końcu zdecydował się na wysłanie listu do ojca Józefa Eugeniusza Antoine, pierwszego asystenta superiora generalnego. List podyktowany gorącym sercem jest pełen naiwności i błędów ortograficznych oraz stylistycznych tak bardzo charakterystycznych w wysławianiu się młodego brata.

„Do Wielebnego Ojca Antoine

Wielebny Dobry Ojcze!

Proszę pozwolić biednemu bratu Kowalczykowi napisać słówko, zanim wróci do Labiche, Ojciec wie o nieszczęściu, które mnie spotkało 15 lipca, gdy przy pracy złamałem prawą rękę. Wielebny Ojciec Grandin i Siostry przywieźli mnie do szpitala do Edmontonu, gdzie 22 lipca doktór odciął mi rękę. Byłem w szpitalu cztery tygodnie. Czuję się dobrze teraz, w ubiegłym tygodniu przyjechałem do Saint Albert. Mam prędko pojechać do Lac Labiche.

Mój dobry Ojcze, miałem wielkie zmartwienie tracąc rękę, czy będę mógł zostać Oblatem, ale dobry Ojciec Grandin powiedział, że to nic, będziesz Oblatem. Eks. Ks. Bp. Grandin powiedział to samo, i Eks. Ks. Legal również, więc dobrze, Ojciec Grandin jest zadowolony, Jego Ekscelencja zadowolony, ja też mam nadzieję, że Wielebny Ojciec Generalny jest zadowolony, jak również Ty, mój dobry Ojcze.

Nigdy nie będę zdolny dostatecznie dziękować za wszystkie dobrodziejstwa Jego Ekscelencji, Wielebnym Ojcom, dobrym Siostrom i dobrym Braciom dla mnie biednego grzesznika.

Będę prosił Pana Boga, aby im błogosławił i zapłacił za mnie.

Racz mi dać, Ojcze, swe błogosławieństwo.

Pełen uszanowania

Brat Kowalczyk." [8])

Co za list! Ileż w nim pokory, samozaparcia się i pobożności dziecka. Tak, na pewno wszyscy są zadowoleni i Pan Bóg też jest zadowolony, że brat Antoni tak ulegle poddał się próbie bolesnego doświadczenia.

Cięcia się zagoiły, zabliźniła się rana w sercu. Bezręki brat oczywiście zostanie dopuszczony we właściwym czasie do złożenia ślubów wieczystych.

Przenosiny sierocińca do Lac Laselle w toku.

---

8) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Brat Antoni wraca do pracy. W zapiskach ks. biskupa Grandin czytamy: „Chociaż o jednej tylko ręce, oddaje nam znakomicie usługi, buduje przede wszystkim swym przykładem".

Przez pewien czas będzie ciężko odczuwał stratę, którą poniósł. Cała jego wielka zręczność została ograniczona, jak gdyby spętana. Och, gdybyż miał jeszcze swoją prawą rękę, tak doskonale posługującą się każdym narzędziem. W najdrobniejszych szczegółach dnia powszedniego co za udręka, musi uczyć się wszystkiego od nowa. Jak krajać chleb, jeść zupę, ubrać się tą jedną ręką, która jest do niczego. A przede wszystkim przy pracy ta ciągła chęć, ta potrzeba użycia odciętej ręki, a tu nic, tylko ten nieszczęsny kikut. Umniejszony jak drzewo otrzebione z konarów, brat Antoni nadrabia co sił starczy pomysłowością w pracy i wzmożoną pobożnością w życiu duchowym.

Jeśli nie może obecnie być dobrym kowalem, będzie doskonałym zakonnikiem, świętym.

Podtrzymywała też jego siły wewnętrzne myśl o ślubach. Nie odrzuca się przecież precz drzewa-olbrzyma pełnego sił witalnych dlatego, że mu ułamano jedną gałąź. Po powrocie do misji brat otrzymuje wkrótce nowe skierowanie. Zbiera więc skromne manatki i jedzie do świeżo założonej kolonii Saint Paul des Métis.

Wielki dzień nadchodzi. Dom Saint Albert zamienia się w huczące rojowisko. Zewsząd

zjeżdżają się ojcowie i bracia oblaci na doroczne rekolekcje. Rozmawiają, śmieją się, opowiadają sobie przygody z ubiegłych miesięcy.

Wieczorem odbędzie się seans fonograficzny dla nowoprzybyłych. To był cud epoki! Biskup Legal sam przyznawał, że idąc na bazar w Edmontonie „najbardziej interesował się fonografem, a raczej „graphophonem", który puszczał w ruch pan McNamara". Fonograf dla biednych misjonarzy, zagubionych gdzieś na dzikich pustaciach, brzmiał jak symfonia niebiańska.

Głos dzwonu przerwał rozmowy. W głębokiej ciszy rozpoczęły się rekolekcje.

Dla brata Antoniego było to wydarzenie decydujące o całym jego dalszym życiu. Po zakończeniu rekolekcji złoży wieczyste śluby.

Żyje tylko dla tej upragnionej godziny. Całym sercem zagłębia się w modlitwie, w pełnym skupieniu. Dzień 17 stycznia, co za szczęśliwy zbieg okoliczności, przecież to uroczystość św. Antoniego! Ołtarz misji wspaniale udekorowany. Brat Kowalczyk składa śluby wieczyste.

Ks. biskup Legal zanotował w swym dzienniku: „...celebrowałem Mszę św. w intencji całego zgromadzenia o godz. 6,30. Przed Mszą zaintonowałem „Veni Creator" z wersetem i modlitwą. Chociaż to była Msza cicha, dla większej solenności nakłada się infułę na Lavabo itd. W czasie Komunii św. przed Jezusem w Hostii utajonym

brat Kowalczyk (Antoni) złożył przysięgę w języku francuskim. Czytał wystarczająco dobrze... Kazanie po Ewangelii wygłosił w. ojciec Lestanc. Po odmówieniu zwykłych modlitw po Mszy św. poświęciłem krzyż oraz szkaplerz i dałem je bratu wraz z książką Reguł Zgromadzenia."

U stóp biskupa brat Kowalczyk jest pochłonięty swym szczęściem. Całkowicie zatopiony w Bogu, składa przysięgę oblacką:

— W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, w obecności Trójcy Przenajświętszej, Błogosławionej Maryi Panny, wszystkich Aniołów i wszystkich Świętych...

Mały kowalczyk spuszcza oczy. Jest porażony blaskiem świętości, stoi przecie twarzą w twarz przed Bogiem. Uwielbienie przenika uczucie własnej nicości.

— Ja, Antoni Kowalczyk, składam ślub potrójny: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa na całe życie...

Słowa te wymawia z najgłębszym przejęciem, jak kapłan pochylający się nad Hostią w czasie Przeistoczenia. Jak Chrystus składa z siebie ofiarę we Mszy św., oddaje własne ciało, duszę, wolną wolę, bogactwa ziemi, całe swe jestestwo, krew i życie.

Dotychczas poświęcił Bogu w ofierze rodzinę i ojczyznę. Dziś oddaje siebie po wszystkie dni.

Odtąd nic go już nie łączy ze światem. „Oblatus est!” Ofiarował się.

Oto brat Antoni został oblatem, misjonarzem, apostołem. Spełniły się wreszcie marzenia młodego kowalczyka. [9])

---

9) Powyższy rozdział w oryginale nosi tytuł „Le Frère Manchot”. „Manchot” w dosłownym tłumaczeniu znaczy „bezręki” lub „jednoręki” i takie było przezwisko brata Antoniego. W sensie bardziej łagodnym można powiedzieć „brat Rękawek”, albowiem od chwili amputacji pusty rękaw odróżniał brata od innych zakonników.

ROZDZIAŁ VI

ŚWINECZKI BRATA ANTONIEGO

15 lipca 1896 roku ojciec Adeodat Thérien, O. M. I. rozbił namiot misyjny na brzegu jeziora La Biche.

Przyjechał, ulegając namowom „człowieka o wielkim sercu", słynnego o. Lacombe, aby zapoczątkować dzieło opieki i pomocy na rzecz Metysów. Od tego dnia miejscowość tę znano pod mianem Saint Paul des Métis.

Ojciec Lacombe był pod ciężkim wrażeniem życia Metysów i innych mieszańców, obozujących w opłakanych warunkach dookoła powstających miast Zachodu. Widział ich nędzę fizyczną i niebezpieczeństwo moralne: pijatyka, bezrobocie, głód, zepsucie i zły przykład awanturniczego życia poszukiwaczy złota. Jeśli natychmiast nie podejmie się akcji ratunkowej, to te duże dzieci wielkich prerii staną się w prędkim czasie niepożądanym, a nawet szkodliwym elementem społecznym. Misjonarz z całym zapałem starał się o tym przekonać rząd kanadyjski, aż otrzymał duży obszar ziemi bogatej w zwierzynę i rybne jeziora.

Tegoż wieczora po przyjeździe ojciec Thérien palił spokojnie fajkę przed swym namiotem. Ma przed sobą przygnębiający widok rozległego ugoru, trzy nędzne chałupy tubylców: Piotra Okanes, Szymona Marron (Dejarlais) i Gabriela Cardinal, i gdzieś na horyzoncie lasy. Sam za całe bogactwo ma dwa namioty; jeden zajęty przez młodą parę Metysów, a w drugim mieszczą się: kaplica, probostwo, kuchnia i co kto chce. Po raz pierwszy misjonarza opadają dręczące wątpliwości, przestaje wierzyć w powodzenie zamierzonego dzieła.

W tymże czasie o. Lacombe rozsyłał po całym Zachodzie zawiadomienia o otwarciu z końcem miesiąca kolonii dla Metysów. Obiecywał im kościół, szkołę, bydło i po 80 akrów gruntu na rodzinę. Sam biedny jak Hiob liczył widocznie w swym miłosierdziu na Opatrzność Boską. Metysi zaczęli napływać. W roku 1897 było już z pięćdziesiąt rodzin, a każda miała po ośmioro do dziesięciorga dzieci. Dumont'y, Laboucane'y, Petit-Couteau, Berland'y, Laberoute'y, Beauregard'y i inni. Sama nędza bez grosza przy duszy, spragniona własnego kąta i kawałka chleba. [1])

Dziewicza ziemia, klecie z drzewa i trzcin, gromada biedaków — to była właśnie ta kolonia, do której pewnego wieczora zawitali brat Antoni

---

1) Zapiski o. A. Thérien, O.M.I. Archiwa prowinc. O.M.I., Edmonton.

z bratem Moelic [2]), przywożąc ze sobą wszystkie części potrzebne do zmontowania młyna i tartaku. W drodze spotkała ich śnieżyca; zmylili drogę, dotarli na miejsce zupełnie wyzuci z sił. Przyprowadzili też ze sobą kilkanaście sztuk bydła; wobec tego, że nie było jeszcze odpowiedniego pomieszczenia, zostawili zwierzęta, koła młyńskie i inne przyrządy na dworze, koło domku pod osłoną wierzb.

Brat Antoni zabrał się do pracy.

Miał tu, czego pragnął. Zupełne wygnanie i misję najuboższą pod słońcem. W ciągu dwunastu lat obsługiwał tych wydziedziczonych nieszczęśników, widząc w każdym biedaku Chrystusa cierpiącego.

Inżynier, kowal, ogrodnik, pastuch oddawał się im bez reszty, byleby tylko podtrzymać ten ubożuchny światek chrześcijański.

Często na szlaku do jeziora Oignon widział brat Antoni sznur karawan Indian i Metysów, dążących z fortu Edmonton w kierunku na Battleford, Winnipeg i Saint Boniface. Co za bieda! Marne wózki, roztrzęsione koła i dyszle, często gęsto pęknięte osie. Tknięty współczuciem otrzymał od superiora pozwolenie na niesienie im pomocy. Uruchomił więc na skraju drogi kuźnię[3])

---

2) Brat Antoni dostaį skierowanie 21 października 1897 r. Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

3) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

i spędzał w niej wszystkie wieczory po kolacji, ratując niejednokrotnie podróżnych przed sytuacją bez wyjścia.

Pracując w kuźni widział często, jak męki głodu szarpały wnętrznościami tych biedaków. Twarze wychudłe, wielkie oczy szeroko rozwarte, żebrzące o kawałek chleba. O chleb było trudno, trzeba było myśleć o czymś innym. Brat Antoni nie umiał biernie patrzeć na ludzkie cierpienie, zabrał się do karczowania ziemi pod duży ogród warzywny, okolony dookoła zwartą ścianą brzóz. Gleba była urodzajna, jarzyny rosły wspaniale. Brat się cieszył, ulży choć trochę swym dużym dzieciom w ich strasznej nędzy.

Pewnego dnia przyłapano w warzywniku młodą Metyskę; nie była tym wcale zmieszana, wytłumaczyła jasno braciom, że ma pozwolenie brata Antoniego:

— Biorę dla chorej matki, dla moich braci i sióstr, którzy nie mają co jeść. Gdyby nie brat Antoni, moja matka, a może i my umarlibyśmy z głodu...

W ciągu pierwszych lat istnienia misja Saint Paul des Métis rozwijała się szczęśliwie. Stanęły młyn parowy i tartak, dom dla ojców; przyjechały zakonnice i zimą roku 1902-1903 uruchomiono szkołę z internatem dla prawie setki dzieci. Metysi również polepszyli swój byt: pobudowali skromne

domki, uprawiali ziemię, hodowali krowy, nierogaciznę, drób.

Piękny rozwój misji narzucał siłą rzeczy mnóstwo nowych obowiązków. Brat Antoni pracując na tartaku musiał zaopatrzyć w budulec całą kolonię, wszystkich jej mieszkańców. Czasami trzeba było wyruszać w głąb lasów z przenośnym warsztatem i być jednocześnie drwalem i traczem. W ten sposób cała ostra zima 1897 roku zeszła na obróbce kloców w gęstym świerkowym borze, położonym na południe od jeziora. Mechaniczna piła jęczała dzień w dzień. A dla brata każdy kawał drzewa to zdobycz i akt miłości; pracuje i modli się. Z nastaniem wieczora śpieszy do kuźni.

Rozrastająca się misja musi stać się samowystarczalna. Może dopomogą w tym świnki? Będzie słonina, sadło, kiełbasa, szynka, głowizna, nóżki, schab — istna manna z nieba! Będą więc świnki i brat Antoni awansuje na świniarza. Tego dobrego będzie najpierw sto, potem sto pięćdziesiąt, dwieście sztuk. Jest koło czego pochodzić, nakarmić, utrzymać, wyczyścić. Żadna obora nie wymaga tyle pracy co wyporządkowanie chlewów.

Bezręki braciszek życzliwie wita tych nowych wychowanków. „Świń pilnować? O tak, to zajęcie zupełnie mi odpowiada."

Piłuje w dzień, kuje wieczorem, nocne godziny snu poświęca chlewni. Bez narzekania poddaje

się wymaganiom superiora. Mechanik, kowal, ogrodnik, świniarczyk w jednej osobie. Czy nie za dużo pracy jak na jednego człowieka, zwłaszcza gdy on jest kaleką? A może on sobie czyni ziemię poddaną, że wszystko go słucha i jest mu powolne? A może mu pomagają siły nadprzyrodzone, dla zwykłego oka niewidzialne?

Praca na roli daje plony, ale czasami robi zawód. Pewnego roku grad zniszczył wszystkie uprawne pola misji. Na wiosnę nastał przednówek; ani ziarna, ani źdźbła na karmę dla chlewni, a było ich wtedy sto pięćdziesiąt sztuk. Idzie więc brat do superiora.

— Ojcze, nie ma czym żywić świń. Co robić?

— Co robić? puść je na pastwisko. Rośnie przecie trawa nad jeziorem.

Superior zażartował sobie z brata, ale brat Antoni każde słowo ojca uważał za rozkaz; zawrócił się więc na pięcie i bez słowa sprzeciwu odszedł.

Nazajutrz po Mszy św. przyszedł do superiora brat Nemoz mocno zaniepokojony.

— Ojcze, brat Antoni nie był dziś w kaplicy, coś mu się stało!

— Może zachorował. Trzeba pójść zobaczyć.

— Nie ma go w pokoju, właśnie stamtąd wracam.

— No, więc cóż się stało?

— Myślę, że brat Antoni wykonał rozkaz ojca

i wyruszył z całą trzodą nad jezioro. Z nim nie ma żartów.

Wysłano natychmiast chłopca z rozkazem powrotu, bo brat Antoni naprawdę pasł nad jeziorem świnki, jak się pasie owieczki. Na słowa chłopca obruszył się i zaprotestował:

— Wracać? Cóż znowu! Rozkaz superiora, tylko sam superior może odwołać.

Z kolei więc brat Nemoz wyruszył nad jezioro z wyraźnym nakazem od superiora i wtedy brat Antoni natychmiast zawrócił do domu, a za nim jego sto pięćdziesiąt świnek w karnym szeregu. To małe zajście wywołało wiele szumu w misji. Między siostrami wynikła nawet na ten temat mała polemika.

— To było godne podziwu — mówiły jedne.

— Ależ nie — protestowała opozycja — trzeba przecie znać się na żartach.

Ojciec Thérien zamknął dyskusję:

— Takiego zakonnika jak brat Antoni superior zawsze powinien traktować poważnie.

Przyjazd zakonnic do Saint Paul des Métis spowodował pewien przewrót w już uregulowanym życiu misji. Ojcowie oddali siostrom swe pomieszczenia, zajmując sąsiednią chałupę. Bracia wysiedlili świnie i dla siebie wyszorowali chlewy. Brat Antoni był zachwycony. Czyż Zbawiciel nie urodził się w podłej stajence?

Lato w rozkwicie. Świnki na okólniku czuły się nieźle; byłoby zupełnie dobrze, gdyby nie głód.

Przeczuwając trudne czasy, zasiano dla nich pole rzepaku. Już go można wziąć na ząb, już dojrzał do jedzenia, ale cóż z tego? był dla nich niedostępny, jak skarb ukryty w głębi mórz lub zakopany w górach. Do rzepaku bowiem prowadziła wąska miedza przez smaczne pole zielonego owsa.

Co robić? Oto pytanie. Czekać, aż owies dojrzeje i zostanie ścięty? To by groziło świniom śmiercią głodową. Puścić je miedzą? Spaćkają całe pole. Długo medytował superior, patrząc na faliste łany kołysane wiatrem. Taki piękny owies! Będzie duża strata. Superior kalkuluje. Sto pięćdziesiąt świń, dwieście funtów żywej wagi każda, to też przedstawia znaczną wartość dla misji. Ostatecznie nie można dłużej czekać, trzeba poświęcić owies. Niech idą przez pole. Koniec z owsem.

Rankiem superior wzywa świniarza i mówi najpoważniej w świecie:

— Bracie Antoni, trzeba zaprowadzić świnie na rzepak , pójdziecie miedzą, ale trzeba uważać. Świnie nie mają prawa wejść w szkodę i dotknąć owsa.

— Ależ, ojcze, to niemożliwe...

— Niemożliwe? W języku francuskim nie ma tego słowa. W drogę!

— Bardzo dobrze, ojcze. Tobie rozkazywać, mnie słuchać.

Z zagrody dochodzą ponure kwiki zgłodniałych zwierząt. Na widok świniarza tłoczą się przy

bramie. Kwik narasta i staje się rozdzierający. Ryje wyciągnięte, brzuchy wklęsłe, giną z głodu.

Brat Antoni zaprasza je łagodnie: „Chodźcie, chodźcie za mną, pójdziemy jeść". Brama otwarta. Świnie jedna przez drugą wypadają z okólnika — trzydzieści, pięćdziesiąt, sto... Teraz są już wszystkie sto pięćdziesiąt na zielonej łączce. Szara skłębiona masa, ciasno zwarta, toczy się krok za krokiem. „Chodźcie, chodźcie, moje małe — zachęca brat Antoni — superior tak kazał."

Tymczasem przed domkami misji ojciec superior, siostry, bracia, Metysi patrzą i tylko czekają na to, jak owies padnie pod racicami świń. Biedny brat Antoni jakiż będzie speszony. Wszyscy uśmiechają się na zapas.

Mała zgłodniała armia posuwa się zwolna.

Raptem staje, patrzy. Oto pole zielono-srebrzyste prawie dojrzałego owsa. Co za wspaniała uczta! Jakie bogate żniwo! Owies pachnie, nęci, ciągnie, kusi. Brat Antoni zamyka oczy i klęka. Po krótkiej modlitwie ma zwięzłą przemowę do swych wychowanków: „Zabraniam wam jeść. Ten owies nie jest dla was. Chodźmy dalej na rzepak. Idźcie za mną".

I brat wkracza odważnie na wąską ścieżkę między dwie ściany owsa. Świnki nasrożyły się, stoją, chrząkają, naradzają się, a po chwili jedna za drugą, nóżka za nóżką idą za swym panem. Drgające ziarnem źdźbła pochylają się ku sobie zdziwione. Nikt ich nie rusza, nie targa, nie

depcze. Kłosy zdają się szeptać: „Dziw, dziw, patrzcie, świniom rozkazuje i świnie go słuchają!"

Widzowie stłoczeni przed probostwem nie wierzą swym oczom. Wzruszają ramionami, kręcą głowami, patrzą w osłupieniu.

— No, i cóż wy myślicie o tym bracie Antonim? [4])



Trzy lata uginał się brat Antoni pod ciężkim jarzmem, niczym zwierzę zapędzone do pracy ponad jego siły. Ani słowa skargi, ale dnia mu było za mało. Nadrabiał czasem przeznaczonym na sen. Nie mógł przecie zaniedbać chlewni i siedemdziesięciu pięciu świń odstawionych osobno na tuczenie. Aż pewnego razu umęczony do ostatnich granic wytrzymałości prosił superiora o zwolnienie z obowiązków świniarza.

Ojciec odmówił. Brat Antoni zawsze taki cichy i pokorny przedstawiał dalej swe racje, tłumacząc się brakiem zdrowia. Nie ustępował, prosił i błagał, aż zniecierpliwiony superior kazał mu odejść. Brat odszedł do żywego dotknięty, lecz po pewnym czasie wrócił, ale jakże odmieniony. Gryzie się, męczy go niepokój, boi się, że obraził superiora. Na kolanach żebrał o przebaczenie.

---

4) Zapiski o. A. Thérien, O.M.I., Archiwa prowinc. O.M.I., Edmonton.

— Za pokutę — mówi superior — zabraniam ci przystępować do Stołu Pańskiego w ciągu trzech miesięcy, z wyjątkiem niedziel.

Rozkaz przełożonego uderza brata maczugą po głowie. Jest ogłuszony. Nie może komunikować się? Może źle zrozumiał? Może to zły sen, koszmar straszny? Otrząsnąwszy się ze zdumienia, brat ocenia całe znaczenie tego zakazu. Zabroniono przyjmować Komunię świętą! Odejmują chleb ustom zawsze głodnym Boga! Umartwiać ciało, okiełzać wolę, znosić przykrości i upokorzenia — brat to potrafi, wytrzyma; można mu nawet odciąć drugą rękę, ale zabrać Boga? Na tyle dni, tygodni, miesięcy? Nie, wszystko, tylko nie to!

Brat dusi się w swym nieszczęściu. Ciągnie rozkaz superiora za sobą jak kłodę u nogi. Odtąd ten nakaz go nie opuszcza, nawet podczas pracy czuje wciąż bolesny ucisk. Dusza jego jest smutna, zamierająca.

Przychodzi pierwszy piątek miesiąca. Brat jak zawsze wczas rano klęczy w kaplicy. Ale cóż za odmiana. Krtań ściśnięta, serce spuchnięte z żalu, brak tchu. Rozpoczyna się Święta Ofiara. Celebrans przy ołtarzu odwraca się do wiernych i podnosi Hostię Przenajświętszą.

— Domine, non sum dignus — Panie, nie jestem godzien.

Tama pęka, brat załamuje się. Może gdyby

był mniej wymęczony fizycznie, potrafiłby się opanować, lecz próżne wysiłki; brat tonie we łzach. szlocha, jęczy, rozdzierające łkania wypełniają Dom jeg Ojca. [5])

Nieszczęsny wygnaniec dalej dźwiga swe jarzmo. Pomimo wszystkich prób i upomnień dusza jego zachowuje pogodę. Wcześnie wstaje, pierwszy przed braćmi i pełni swe pobożne obowiązki. Idzie od stacji do stacji Drogą Krzyżową, dzwoni na Anioł Pański, odbywa przepisowe ćwiczenia zakonne i rozpoczyna dzień pracy. Przed każdą czynnością klęka i czyni duży znak krzyża, następnie jak skrzętna pszczoła krąży tu i tam, nie tracąc chwili czasu, zawsze skupiony i spokojny, często z różańcem w ręku.

Późno wraca brat Antoni do swego pokoiku. Ach, nareszcie ogarnia go odprężenie. Kocha samotność i pragnie jej. Nie słychać już gwaru rozmów, nic już nie mąci myśli. Wszystko się ucisza w nim i dookoła. Może nareszcie zbliżyć się do Boga, porozmawiać, otworzyć przed Nim swą duszę. W kąciku urządził sobie brat skromny ołtarzyk; przypomina mu to dom rodzinny, Dzierżanów, wspólne modlitwy u boku matki, pod okiem ojca. Na stoliku piękna figura Dzieciątka Jezus. Chwile uchodzą, godziny mijają, a brat wciąż klęczy pogrążony w kontemplacji. Ojciec superior każe mu skrócić nocne czuwanie i wcześniej kłaść się spać.

---

5) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Nazajutrz kowal Boży rozpoczyna nowy dzień pracy.

Niektóre dni były dla niego bardzo szczęśliwe; a szczególnie wtedy, gdy ojciec superior przed powzięciem jakiegoś postanowienia, przed ważną decyzją, przed uzyskaniem błogosławieństwa Bożego, wysyłał do nieba delegata w osobie brata Kowalczyka, mówiąc:

— Bracie Antoni, idź na jakiś kwadrans do kaplicy i dobrze się pomódl w mojej intencji przed Przenajświętszym Sakramentem.

I brat ruszał rzeźkim krokiem, opromieniony wielką radością.

Pewnego dnia maszyna na tartaku przestała działać. Po sprawdzeniu okazało się, że nóż wypadł i znikł. Oglądają maszynę, szukają, narzekają i nic z tego. Po taki nóż trzeba iść aż do Vegreville, samego chodu ze trzy dni. Co tu robić? Czas upływa, maszyna stoi, ludzie założyli ręce, odpoczywają; w końcu jeden z robotników radzi iść do brata Antoniego. Posyłają więc po niego, proszą o pomoc i przedstawiają całą wartość straty, którą brat wnet ocenia.

— Bracie trzeba bezwarunkowo znaleźć nóż...

— Szukaliście wszędzie?

— Wszędzie. Przeszukaliśmy wszystkie zakamarki i przerzucaliśmy wióry.

Brat ogląda maszynę, klęka, modli się. Potem bez chwili namysłu zanurza rękę aż po ramię w trociny i wyciąga nóż.

Innym razem, jadąc przez las wozem, znowu ponoszą stratę. Sworzeń wyskoczył z osi i gdzieś się zawieruszył wśród zarośli. Zatrzymują konie. Złażą z wozu i rozpoczynają żmudne poszukiwania. Brat Antoni też szuka. ale o wiele dalej, aż na polance. Robotnicy irytują się i krzyczą:

— Bracie, chodź tu do nas, przecie tu gdzieś wypadł.

Braciszek jak zawsze pogodnego ducha śmieje się:

— Po cóż mam szukać w zaroślach, a może w strumieniu, jeszcze się zaziębię, zamoczę, utopię. Wolę sobie tu szukać, gdzie nie ma wody ani haszczy, znacznie tu wygodniej.

— Brat żartuje, a przecie wszyscyśmy widzieli, że sworzeń tylko tu mógł upaść.

— Och, w jakimże złym i niebezpiecznym miejscu. Czyż nie lepiej na polance? No, proszę — i podaje robotnikom znaleziony sworzeń.

Prośby o błogosławieństwo, modlitwy o łaskę, pielęgnowanie chorych, znalezienie zguby, naprawienie szkody — to są wszystko sprawy, z którymi się idzie do brata „Rękawka". Czyż nie jest on prawdziwym dobrodziejem dla misji, opiekunem dobrym, którego prośby sam Bóg spełnia?

Przeważnie brat Antoni nie czeka wezwań, sam śpieszy z pomocą. Pewnego dnia w maju zgromadzenie sióstr okrywa ciężki smutek. Matka przełożona jest umierająca, lada chwila może oddać Bogu ducha.

— Chora nie przeżyje tej nocy — orzekł lekarz.

Cztery młode siostrzyczki toną we łzach. Modlą się, czekają ciosu, mówią szeptem, z oczu patrzy im trwoga i żałość, przy tym boją się trochę śmierci. Przecież to jest najważniejsze wydarzenie w życiu. I oto ona przyjdzie i zapuka do ich drzwi. I rzeczywiście ktoś delikatnie stuka, ale tym razem jest to brat Antoni. Chce noc spędzić w kaplicy i być do dyspozycji sióstr. Zakonnice z ulgą przyjmują propozycję, trzeba mieć tylko pozwolenie przełożonego.

Brat prędko odchodzi i natychmiast wraca. Idzie do ubożuchnej kaplicy, klęka przed tabernakulum. Miła mu się zdaje ta samotność w nocy. Modli się. Adoruje z całego serca. Ach, gdybyż mógł zawsze być przy swoim Mistrzu.

Czas upływa, brat cały tonie w szczęściu. Około pierwszej w nocy zakonnica przychodzi po niego. Matka przełożona odeszła z tego świata. Pozostałe godziny nocy brat poświęca przygotowaniom do pogrzebu. Gdy idzie dzwonić na Anioł Pański, zakonnice dziękują mu serdecznie.

— Brat musi być bardzo zmęczony.

— Ależ nie. Odpoczywałem przecie jak św. Jan na Sercu swego Nauczyciela. [6])

Dusza brata Antoniego oddychała modlitwą.

Było to w roku 1900. Od trzech lat nie brał

---

6) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

już nasz braciszek udziału w dorocznych rekolekcjach. Cierpiał z tego powodu bardzo, ale któż miał go zastąpić w młynie i na tartaku, a przede wszystkim któż zadbałby o trzodę?

Wspólne rekolekcje odbywały się w tym roku w Lac Laselle. Brat przypuścił istny szturm do Założyciela oblatów. Odmawiał dziesięć różańców w ciągu dziesięciu kolejnych niedziel. Przy tym obiecywał, że jeśli dostąpi tej łaski, jeśli zazna tego szczęścia i pojedzie na rekolekcje, będzie czcił świątobliwego biskupa de Mazenod jak „prawdziwego" świętego. Lecz niebo milczało. Ojciec superior nie pozwolił bratu opuszczać misji i, co więcej, ks. biskup Legal poparł rozkaz przełożonego.

Klamka zapadła. Długie modlitwy nie zostały wysłuchane. Umowa z biskupem de Mazenod okazała się jednostronna. A jednak do ostatniej chwili brat nie tracił nadziei. W przeddzień rekolekcji niebo jest ciemne, sypie śnieg. Aż tu nagle pod wieczór, około godziny 5 w szalonym galopie wpada do misji jeździec. Ojciec superior przysyła zawiadomienie o zmianie decyzji ks. biskupa Legal. Posłaniec przebył w tym celu czterdzieści kilometrów. W imię posłuszeństwa brat Antoni musi jechać na rekolekcje. Braciszek raduje się, wdzięczność przepełnia mu serce; powtarza to każdemu kogo spotka:

— Wciąż patrzyłem i patrzyłem w stronę Lac Laselle, czy brat Aleksander przyjedzie po mnie.

Radzą braciszkowi, aby odłożył wyjazd do następnego dnia, lecz pomimo śnieżycy i późnej godziny wyrusza w drogę. O 2 po północy znalazł się wśród braci zakonnej. Biskup de Mazenod dał mu zaznać jednej z największych łask w życiu. [7])

Podróże na doroczne rekolekcje miały w zgromadzeniu ustaloną opinię; nigdy nie obeszło się bez wypadku. Droga była uciążliwa, przerywana brodami. Pewnego razu konie znarowiły się na urwistym brzegu i cały wóz stoczył się do rzeki. Jechały również dwie siostrzyczki. Siedziały obok woźnicy na tęgo wymoszczonym koźle; utrzymanie równowagi stało się niemożliwe, obie wpadły pod wóz, do wody. Brat Antoni, nie chcąc obciążać koni, zwykle przynajmniej trudniejsze części drogi odbywał pieszo. I tym razem szedł sobie za wozem. Widząc spadające zakonnice rzucił się natychmiast do rzeki i wyciągnął obie. Niefortunne podróżniczki zawsze wdzięcznie wspominały tę pomoc, przypisując szczęśliwy koniec wypadku szczególnym łaskom brata Antoniego. [8])

Brat Antoni był dobrym rybakiem. Kiedyś wraz z innym zakonnikiem wybrał się na połów w misji nad jeziorem Castor. Mieli zgrabną łódź, wpłynęli na cichą toń i cieszyli się pięknym słonecznym porankiem. Raptem z północy powiał silny wiatr i w sposób niepokojący zaczął kołysać

---

7) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.
8) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

łodzią. Do brzegu był jakiś kilometr i bracia obawiali się, że zły wiatr rozpęta jezioro i odrzuci ich w przeciwnym kierunku. Huragan nie czekał. Nadleciał gwałtowniej, fale coraz wyższe, pieniste i porywiste ciskały łódką. Na szczęście wiatr powiał w inną stronę i wyrzucił rybaków na brzeg. Brat Antoni zawisł na gałęzi, po usilnym mocowaniu się z tą przeszkodą spadł na ziemię. Pod nogami znalazł rybę również wymiecioną z łodzi na piasek. Brat się ucieszył.

— Patrz-no — zawołał do swego towarzysza — dobry Bóg ocalił też rybę.

Pewnego dnia spotyka brata nowa przykrość. Superior zarzuca mu, że przez pychę urządza niepotrzebne iluminacje. Niepotrzebne? Jak komu. Brat Antoni widzi w tych lekkich płomyczkach małe, wdzięczne czujki, trzymające wartę honorową przed Najświętszą Panną. Z ognistych serduszek płynie cicha modlitwa. Kto ma uszy do słuchania... Czyżby Matka Boża była niezadowolona z tych oznak hołdu? Czyż powinien zgasić te płomyczki miłości?

Wśród tych smutnych rozmyślań słyszy głos wewnętrzny. Dwukrotnie go słyszy zupełnie wyraźnie. Ma iść i prosić przełożonego, aby zastanowił się nad przedmiotem swych zarzutów. Jeśli są sprawiedliwe, Bóg nadal będzie błogosławił misji, jeśli nie... Brat nie śmiał wykonać zlecenia.

Wkrótce straszny cios uderza w Saint Paul de Métis.

W styczniu 1905 roku z dnia 15 na 16 alarm wyrwał misję ze snu — pali się szkoła.

Natychmiast ojciec, siostry, bracia spieszą dzieciom na ratunek. Pożar wybuchł w dolnych pomieszczeniach i gęsty dym w jednej chwili wypełnił cały budynek. Krzyki, nawoływania, bieganina. Niesposób jednak opanować pożaru. W krótkim czasie ogień pochłonął szkołę. Pozostał po niej żar i krwawa łuna na niebie. Podobno ogień podłożyło kilkoro dzieci. Na apel stawiło się 89 wychowanek, nie doliczono się jednej dziewczynki. Spłonęły również wszystkie zapasy. Dzieło, które kosztowało tyle trudu, wypalało się, tliło, pozostawiając po sobie popiół i wspomnienia. Ojciec superior, słysząc głos alarmu, powiedział: „To podzwonne dla naszej kolonii". [9])

Misja wegetowała jeszcze przez pewien czas. Zakonnice, z wyjątkiem trzech czy czterech, zostały przydzielone do innych zakładów. Osiedle Metysów zamieniło się na parafię białych.

Brat Antoni był nadal tym, kim był. Wikariat misji wystawił mu wspaniałe świadectwo: „To doskonały braciszek, bardzo pobożny, bardzo oddany, w stopniu znacznie przewyższającym zwykłą miarę obowiązku. Nasz kochany brat pomimo kalectwa jest bardzo pracowity i uczynny, może jeszcze wykonywać wiele robót". [10])

---

9) Zapiski o. A. Thérien, O.M.I., Archiwa prowinc. O.M.I., Edmonton.

10) List ks. biskupa E. Legal, O.M.I., Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Lata uciekają, rok za rokiem. Brat jest wciąż świniarzem i wciąż pali świeczki przed Matką Boską. Modli się, poświęca, pracuje, lecz misja jego jest już skończona. Duże dzieci wielkich prerii rozbiegły się na cztery wiatry. Z kolei on też musi odejść. Bóg go wzywa.

Kolegium św. Jana w Edmonton.



Pokój brata Antoniego.

ROZDZIAŁ VI

PRACOWNIA DUSZ

Było sobie kiedyś trzech chłopców. Nazywano ich „starymi kawalerami". Pod opieką pobożnego gorliwca schodzili się codziennie na plebanii na lekcje łaciny. Pracowici i pełni wzniosłych ideałów marzyli o kapłaństwie.

Takie były początki przyszłego kolegium św. Jana w Edmontonie.

W 1908 roku o. Daridon, O. M. I., zachwycony gościnnością swego współbrata o. Piotra Hétu, zaprosił na probostwo w Pincher Creek w Albercie kilka dusz wybranych, pragnących poświęcić się Bogu. W następnym roku przybyłych było pięciu, lecz Pincher Creek położony w głębi prowincji był zanadto odległym punktem, aby się stać ważnym ośrodkiem szkoleniowym.

Juniorat (małe seminarium) św. Jana został więc przeniesiony do Edmontonu w r. 1910 i umieszczony przy 111 ulicy, w następnym zaś roku na swe stałe miejsce, które do dziś zajmuje, na prawym brzegu rzeki Saskatchewan. [1]) Cała szkoła składała się z pięciu ojców, gromadki braci

---

1) Archiwa kolegium św. Jana w Edmontonie.

i dwudziestu dziewięciu uczni. Była to mała, ale zwarta rodzina, rój wiecznie huczący.

W październiku powitano nowego brata. Miał powierzchowność pełną prostoty i rezerwy, spojrzenie dobrego człowieka i życzliwy uśmiech przyczajony w kąciku ust, skory do rozjaśnienia całego oblicza. Ruchy zdradzały usposobienie energiczne, czynne i uczynne. Lat miał czterdzieści pięć. Był to nasz brat Antoni.

Miał pełnić nowe obowiązki i dalej uprawiać swój fach kowala. Miał być we wszystkim pomocny, w pracach zleconych jak i w zajęciach stałych. Należały do nich: palenie w piecach, utrzymanie domu w czystości, pralnia, warzywnik, kurniki, zwierzęta domowe i — co najważniejsze — zakrystia. Ten brat bezręki naprawdę awansował na służącego Pana Boga. Przecież sam kiedyś prosił, obiecywał, przyrzekał, że będzie służył z wiernością, która nigdy nie zawiedzie, i służył teraz z radością, w milczeniu i miłości. Dla Boga.

Oto są jego obowiązki — praca trzydziestu sześciu lat:

Godzina piąta. Dom jeszcze pogrążony w ciszy. W głębi korytarza słychać szelest powłóczystych kroków. Potem chwila ciszy i...

„Benedicamus Domino!” — Błogosławmy Panu!

Czysty głos wpadający w falset budzi śpiących. To brat Antoni przechodzi, rzucając na prawo i na lewo swe „Benedicamus”. Przy każ-

dych drzwiach klęka, puka i idzie dalej. „Laudetur Jesus Christus!" — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Śpiewa z zapałem ranną pobudkę, zapowiedź dobrego dnia, otrzymaną z nieba. Głos gubi się w zakamarkach domu wraz z wlokącym się krokiem brata Antoniego. „Benedicamus Domino." Śpieszy do kaplicy...

Nigdy wiara ospała nie odkryje wielkości i piękna świętych tajemnic. Iluż to chrześcijan nudzi się i ziewa u stóp tabernakulum. Dla brata Antoniego obecność Eucharystyczna, ofiara Mszy św., Komunia św. to nie są martwe dogmaty, to jedyna i żywa prawda. Rankiem czerpał w kaplicy siły na cały dzień, a były mu tak potrzebne w ciężkiej, a nieraz odrażającej robocie. Zawsze spragniony, w każdej godzinie gotów był wracać do kaplicy i pić z czystego zdroju wiary. To była jego studnia Jakubowa. Zgięcie kolan, krótki pacierz, akt miłości i powrót do pracy.

Na początku roku ojciec superior przydzielił każdemu pewne obowiązki do spełnienia. W kronice kolegium mamy krótką wzmiankę: „Brat Antoni zajmuje się piecami, pompą i rurociągiem". [2]) Pomyślmy chwilkę. Jak to jedną lewą ręką rozpalić ogień? Ileż na to trzeba czasu i cierpliwości? W ciągu długich i ostrych zim brat Antoni trwa na posterunku. Piec pożera paliwo, a brat Antoni jedną ręką grzebie, podrzuca, pod-

---

2) Codex Historicus kolegium św. Jana w Edmontonie.

nosi ciężkie łopaty, nosi węgiel. Całą noc krąży, pilnując, aby wszędzie panowało słodkie ciepło. I Bóg jeden wie, jak bardzo trudna jest ta praca!

W czasie pierwszej zimy termometr wskazywał 36 stopni poniżej zera. Ojciec superior polecił bratu dobre nagrzanie klasy języka francuskiego.

— Bardzo dobrze, ojcze. Tobie rozkazywać, mnie słuchać.

Niestety, nauczyciel francuskiego nie znosił gorąca. Wzywa więc brata, gniewa się, każe szeroko otwierać okna, wyziębia całą salę. Brat Antoni uśmiecha się i milczy. Kłania się i wychodzi. Na następną lekcję przychodzi ojciec superior. W klasie zimno jak w psiarni. Niezadowolony wzywa brata:

— Czyż nie powiedziałem, że klasa ma być dobrze ogrzana?

— Tak, ojcze superiorze.

— Więc idź prędko i dołóż węgla.

Brat Antoni kłania się i znika. Temperatura się podnosi, lekcja skończona, po przerwie wraca nauczyciel języka francuskiego. Wchodzi i wstrząsa się. Co? znów napalone? Wzywa ponownie winowajcę i w obecności wszystkich uczniów mocno go karci. Prawdziwa lawina przykrych słów. Serce brata nie jest nieczułe na pretensje obu antagonistów; mógłby się też łatwo usprawiedliwić, lecz z dwojga złego woli już milczeć niż tłumaczyć się. Słucha więc bez sprzeciwu, lekko pochyla głowę i wraca do swych zajęć.

Kalectwo ciążyło mu bardzo; w końcu postanowiono je złagodzić. Czytamy w kronice kolegium: „13 listopada, 1913 rok. Brat Antoni pojechał rano z ojcem wikarym do Winnipegu po protezę, co mu ułatwi jego pracę.” [3]) Po paru dniach wrócił zaopatrzony w słynne „szydełko”. Szydełko brata Antoniego! Było zbudowaniem i podziwem dla wielu generacji uczniów, kształcących się w kolegium. Mocne i wytrzymałe jak jego właściciel, okazało się użyteczne i zdatne do wszystkiego.

Po paru tygodniach zostało nieodłącznym towarzyszem brata. Czepiało się przedmiotów, imadłem chwytało, podnosiło, dźwigało. Uniwersalne szydełko brało udział we wszystkich zajęciach i codziennie zdradzało nowe zdolności, aż w końcu zaczęło w przydatności rywalizować z lewą ręką. Bóg też jeden wie, ile cierpliwości i opanowania zużył brat dla przyzwyczajenia się do tego nowego pomocnika.

Wobec tego, jak mówi przysłowie: z deszczu pod rynnę. Na brata spadają coraz to nowe obowiązki. Do ogrzewania dołącza się utrzymanie domu w czystości. Codziennie więc z miotłą i ścierkami przebiega korytarze z kolebiącym się kubłem na haku szydełka. Nie tracąc ani minuty, ściera, zmiata, myje i jest szczęśliwy. Całe życie od jednego razu odmieniło się na lepsze. Może

---

3) Codex Historicus kolegium św. Jana w Edmontonie.

jeszcze i jeszcze więcej dawać ze siebie. Świadczyć różne usługi, być pożytecznym dla innych, co za radość! Czyż dla Bożych szaleńców każdy dobry uczynek nie jest krokiem na drodze do nieba?

Pranie odbywa się w niektóre dni tygodnia. Brat Antoni pomaga zakonnicom. Idzie do pralni, roznieca ogień, pilnuje kotłów, miesza gotującą się bieliznę, zmywa podłogę, robota wre. Uczynność bez granic, nie narzucająca się, zawsze spokojna i pełna skupienia. W pralni na ścianie skromny ołtarzyk, figura św. Józefa i parę religijnych obrazków. Brat Antoni często spogląda na nie. Pamięta, Komu służy, jest przecie Bożym kowalem. Łaska nadprzyrodzona ożywia wszystkie jego czynności.

Pewnego dnia zakonnice nie mogą otworzyć drzwi do pralni. Obracają kluczem w prawo, w lewo, próbują, kręcą, nic nie pomaga. Zamek jest zepsuty. Wzywają na pomoc brata Antoniego.

— Siostro, czy siostra odmówiła „Zdrowaś"?

— Nie, mój bracie.

— Och, za mało macie ufności do Najświętszej Panienki.

Z kolei sam chce otworzyć, lecz próżne starania.

— Uklęknijmy, siostro, i pomódlmy się.

Po odmówieniu „Zdrowaśki" brat spokojnie wkłada klucz i otwiera drzwi.

— Oto maleńki cud Wspomożycielki Wier-

nych — i uśmiechając się dodaje żartobliwie: — Jeśli i teraz siostra nie ma zaufania do Matki Bożej, to bardzo nieładnie ze strony siostry.

W zimowym poranku stoi nieczynna, oblodzona pompa. Mróz w czasie nocy zrobił swoje. Przyszedł brat Antoni, popatrzył, pomodlił się i znów dzieje się „mały cud".

Innego dnia wzywają brata do groty. Kran nie funkcjonuje. Nikt nic nie może poradzić. Pękła śruba, odłamek zatkał rurę i nie ma najmniejszego zamiaru wyjść na zewnątrz. Brat jak zwykle pyta:

— Zmówiliście „Zdrowaś"?

— Nie.

Brat Antoni klęka, skupia się na chwilę, po czym wyciąga rękę i łapie śrubę, która wypadła z rury. Zdumiony współbrat kręci głową:

— Lepiej byś, bracie Antoni — mówi żartobliwie — pilnował rurociągów, zamiast nam płatać cudowne figle.

Brat Antoni nie odpowiada na zaczepkę i uśmiechając się odchodzi do swych zajęć.



Z nastaniem lata brat Antoni otrzymuje nowe zlecenie: będzie opiekował się warzywnikiem. Od szeregu miesięcy uprawia ziemię, przygotowuje nawóz, ma dla swych roślin uczucie ojcowskie. Każdemu ziarnu złożonemu w ziemi towarzyszy

pobożne westchnienie; sadzonkom nie szczędzi pieczołowitej uwagi, poi je, osłania przed słońcem, na noc okrywa jak małe dzieci.

Dla pełnienia wszystkich swych funkcji wciąż ma brat za mało czasu, prosi więc o pozwolenie wstawania o godzinie 4 rano. W ciszy i świeżości poranków, pochylony nad zagonami, grabi, piele, podgarnia, obcina, gracuje, ale jakże potem to wszystko rośnie w ogrodzie brata Antoniego! Marchew, bób, zielony groszek, fasolka, aż miło patrzeć, a przede wszystkim pomidory! Co za urodzaj. dwie i pół tony w sezonie! A dynie, duma brata Antoniego, ogromne, pękate, ważą niekiedy po sto pięćdziesiąt funtów. Brat kocha ogród, cieszy się urodzajem, przecież to wszystko są jego dzieci, żyją i rosną jego wyłącznym staraniem.

Obok ogrodu stajnia, obora, podwórko z ptactwem domowym, również małe państwo brata Antoniego. Krowy, kury, kilka tucznych świń pod opieką brata Antoniego. Zakłady wychowawcze nie są dochodowe, wymagają bardzo oględnej gospodarki. Własne mleko, jarzyny, jaja i mięso znakomicie obniżały koszta utrzymania uczni. Brat Antoni wiedział o tym i tym gorliwiej pracował dla tego Bożego dzieła.

Nowe obowiązki wymagają nowych ofiar, innych modlitw, innych starań, a czasami współudziału sił tajemniczych.

Pewnego razu poszedł do ekonoma z prośbą

o zakup żywności dla trzody chlewnej. Zapasy się wyczerpały i świnie nie mają co jeść.

Dni upływają; ekonom, zajęty innymi sprawami, zapomniał o prośbie brata Antoniego. Po tygodniu dopiero przypomniał sobie i poszedł do brata zapytać, czy sam już nie poczynił zakupów. Brat pokręcił przecząco głową:

— Nie, mój ojcze, nic nie kupowałem.

— No więc czymże je żywiłeś?

— A cóż? wziąłem patyk i tak mieszałem, mieszałem to, co zostało, a one jadły... [4])

Święci, jak wiemy, mają swe sposoby karmienia zwierząt. Zwłaszcza kurczątka zagarnęły sobie całą tkliwość brata Antoniego na własny pożytek. W niektórych latach miał ich po trzysta. Nie łatwe zadanie tyle dziobków nakarmić, począwszy od lęgu, a na rondlu skończywszy. Wybierać jaja, pilnować kokoszy, drobić jedzenie, gotować i tłuc kości, oczyszczać i zużywać resztki kuchenne.

Z wiosną, gdy pękały skorupki jajek i żółte kłębuszki puchu budziły się do życia, brat Antoni stale przebywał z tymi słabymi stworzonkami. W ciągu miesiąca otaczał je swą pieczołowitością. Kurczęta mogły dreptać, grzebać, dziobać proso, figlować i próbować swych sił. Wieczorem zasypiały spokojnie bez obawy przed zimną nocą i nie

4) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

troszcząc się o jutro. Ich duży brat, ich „św. Franciszek", czuwał nad nimi.

Pewnego razu stało się wielkie nieszczęście. Był to dzień porządków w zakładzie. Uczniowie usuwali brud z naczyń miedzianych przy pomocy ostrego kwasu. Cierpki, gryzący zapach tego silnego środka przeniknął aż do pomieszczenia kurcząt. Co za cios dla brata Antoniego! Gdy, nic o tym nie wiedząc, przyszedł do swych małych pociech, zobaczył dwieście kurczątek leżących na podłodze. Nieruchomy, z oczami pełnymi łez, patrzył brat na małe trupki. Tyle pracy, tyle starań i tyle serca, a przy tym co za strata dla domu!

— Bóg tak chciał — powtarzał sobie braciszek, szukając w uległej pokorze ukojenia.

Od początku trzeba było zakładać nową farmę kurzą. Takie to było życie.

Brat wciąż idzie i idzie dalej i dalej, z celi do kaplicy, poprzez korytarze i sale, do pieców, do kuchni, do pralni, do kurników i chlewików, ścieżkami swego ogrodu. Jest wszędzie tam, gdzie go woła głos obowiązku.

W tej całej niezwyczajnej aktywności nie ma ani źdźbła bezmyślnej rutyny, ani też przesadnego dziwactwa; stojąc, a często na kolanach przed ojcem superiorem, uważnie wysłuchuje zarządzeń, czasami zapisuje, namyśla się, pyta. Kiedy niekiedy zdarzają się polecenia mniej lub więcej niedorzeczne, stara się je skromnie naprostować;

gdy się to nie udaje i trafia na niepokonany upór, powtarza swoje:

— Bardzo dobrze, ojcze. Tobie rozkazywać, mnie słuchać.

* * *

O 8 wieczorem punktualnie brat ukazuje się na werandzie. Uśmiecha się i skłania głowę przed ojcami, po czym ciężko stąpając idzie schodami. Dzień skończony. Słońce skłoniło się ku zachodowi, żegnając ziemię ostatnimi promieniami. Wszędzie gdzie spojrzeć, spokój, cisza i cienie. Napływają w powietrzu wzmożone zapachy roślin. Błogosławiona godzina dla kontemplacji. Z różańcem w ręku brat udaje się do groty. Chce Najświętszej Panience powiedzieć dobranoc. Pokorny sługa-rzemieślnik podnosi oczy pełne miłości. Długi był dzień i ciężka była praca. Mięśnie obolałe, ciało znużone. U stóp Matki Bożej składa brzemię swej pracy i skromny skarb zasług.

— O Pani, jest już późno, wszystko usypia. Godzina odpoczynku. Nie opuszczaj sługi swego...

Po wyjściu z groty brat rzuca okiem na warzywnik. Jak to wszystko ślicznie wygląda. Bogate będą na jesieni zbiory; oby tylko nie było gradu i nocnych przymrozków. Św. Józef ze swej niszy również patrzy opiekuńczo na wzorowo prowadzony ogród.

— Dobry Święty, pilnuj nam owoców i jarzyn,

zwłaszcza pomidorów i dyń. Dom tyle tego potrzebuje...

Dwaj robotnicy rozumieją się doskonale. Duży znak krzyża i brat odchodzi. Idzie do siebie pełen ufności. Plony jego pracy mówią o niej; w ciągu dwudziestu lat uprawa warzywnika nie zawiodła.

Okno w dolnym pomieszczeniu oświetla się. Zakonnik czuwa w celi. Jest wolny od swych powszednich obowiązków, żadna praca już mu nie przeszkadza w kontemplacji. Na kolanach przed zbitym z desek stołem brat czyta i rozmyśla. Modli się. Cóż lepszego nad tę samotność? Ona jest źródłem jego siły. Czegóż może żądać więcej? Oto zbliża się godzina poufnych zwierzeń, wzlotów wielkiej miłości, zupełnego oddania się.

> „Mój Ojcze, oddaję się Tobie całkowicie. Czyń ze mną, co Ci się podoba.
>
> Jakkolwiek postąpiłbyś ze mną, dziękuję Ci, Panie. Jestem na wszystko gotów i zgadzam się na wszystko, byleby to było zgodne z Twoją wolą. Składam duszę moją w Twoje ręce. Oddaję ją z całą serdeczną miłością, bo miłuję Ciebie nade wszystko i jest to potrzebą mego serca oddawać się Tobie ciągle, bez miary, z nieskończoną ufnością.” [5])

Noc wszystkich otula płaszczem snu. Kowal

---

5) Modlitwa o. Karola de Foucauld.

odpoczywa i zasypia. Jutro wczas znów stanie do pracy.



Można być apostołem w ciągu dni najbardziej powszednich, przy zajęciach najbardziej skromnych. Brat Antoni, nie wiedząc nawet o tym, promieniuje na otoczenie swą pociągającą dobrocią i wiernością. Pacierz, jakaś poufna zachęta, dobra rada, okazanie sympatii, czasem nawet uwaga, ale jakże delikatna; całe życie wzorowe składa się na apostolat brata Antoniego.

Wrzesień. Uczniowie z radością witają brata Antoniego, swego starego przyjaciela. Ściskają rękę, otaczają kołem, żartują wesoło. Brat Antoni chętnie daje im się zagarniać, przecie to są jego małe kurczątka, dusze wybrane, które trzeba wychować i doprowadzić do kapłaństwa. Liczy swych przyjaciół z niepokojem; sprawdza, czy wszyscy wrócili. Może, nie daj Bóg, jakieś powołanie odpadło w czasie wakacji. Każdy powrót daje radość, każda pustka przejmuje smutkiem. Dom wypełnia się rączo, korytarze huczą, rok zapowiada się pomyślnie. Brat Antoni uśmiecha się, wie, co go czeka, będzie kowalem dusz.

Młodzi go lubią. Idą do niego jak do ojca z dziecięcym uczuciem ufności. Zanudzają go ciągłymi prośbami.

— Bracie, proszę mi naprawić zegarek. Czegoś przestał chodzić...

— Proszę mi dorobić klucz do kuferka. Poprzedni gdzieś się zapodział...

— Bracie, proszę mi zlutować oprawę okularów, bez szkieł nic nie widzę...

Brat wszystkie prośby spełnia ochoczo. W to mu graj: służyć, pomagać, naprawiać, dawać z siebie. Właśnie tak jest najlepiej. Pomimo wielkiej skromności brat ma mocną świadomość swego udziału w tej pracowni dusz, w tej jego ukochanej szkole. Członki ciała są rozmaite. Brat jest ręką kowala, mechanika, palacza, ogrodnika.

Gdzieś na uboczu odkrył „nowego" i już jest przy nim; dzieli jego smutek i tak doskonale rozumie:

— Płaczesz, tęsknisz do domu, do mamy? — i brat jak umie tak pociesza, zabawia, rozwesela, a potem krzepi. — Nie płacz, bądź dzielny, zostaniesz przecie księdzem...

W kącie klasy ktoś łzy leje gorące, kolega mu dokuczył, skrzywdził. Gorzki zawód, rozpacz dziecięca, a tu przychodzi brat Antoni ze ścierkami i kubłem na haczyku szydełka i cicho mruczy:

— Nie płacz, mój mały. Jeśli ci bardzo smutno, idź ze swą krzywdą do kaplicy. Bóg cię pocieszy.

Dzień po dniu krąży tak po szkole, rozdaje wszystkim jałmużnę dobroci. Pociesza, prostuje, zachęca, otwiera serca do pełnego przyjęcia powołania. Oto praca prostego kowala twarzą w twarz z majestatem kapłaństwa.

Stojąc przy wejściu do kaplicy, czatował na uczni. W tym przejściu padały krótkie jak westchnienia prośby, skargi i zwierzenia. Ileż razy słyszał:

— Bracie Antoni, źle ze mną, módl się!

A stary przyjaciel niezawodnie radzi:

— To ty się módl. Proś Wspomożycielkę i Pośredniczkę. Przecież to ty masz zostać księdzem, wielkim księdzem, kapłanem na wzór Melchizedecha...

I brat zamyka oczy. Kapłaństwo! Być księdzem! Świat niewidzialny otwiera się przed bratem. Spojrzenie duszy wybiega daleko. Czyż może być coś szczytniejszego nad kapłaństwo? Chciałby nie tylko pilnować, ale zapuszczać sieci i łowić powołania, dużo, jak najwięcej.

Przed wakacjami upomina swych chłopców:

— Wrócisz. Pamiętaj, Matka Boska czeka na ciebie. Ona cię przyprowadziła tutaj, abyś został Jej oblatem.

Nie można bratu odmówić, trzeba obiecać i dotrzymać, a gdy zajdzie potrzeba, brat od siebie dorzuci parę różańców. W nocy będzie się za nich modlił; tak miłuje ich dusze, jak dobry pasterz dba o swoje!

Brat Antoni bacznie obserwuje rozwój powołań w zgromadzeniu. Nauka, kolegium, nowicjat, seminarium — prędko rok za rokiem upływa tym jego drogim malcom; wczoraj jeszcze byli tacy mali, a dziś? Jakimi będą i jak wejdą w to nowe

życie? Czasami nawet sam ojciec superior zasięga opinii brata:

— Bracie Antoni, co myślisz o tym nowym?

— O, to mocny chłopiec, wytrwa.

— A ten drugi?

Zamiast odpowiedzi lekkie wzruszenie ramion i pochylenie głowy. Brat milczy. Był to dyskretny wyrok. Ojciec superior zrozumiał i zapamiętał.

W sercu brata pierwsze miejsce zajmują swojacy. Czyż może być inaczej? Mówią przecie tym samym językiem, przynoszą ze sobą wspomnienia rodzinnego sioła, pokrewne obyczaje i podobne widoki w pamięci. Płynie w nich ta sama szlachetna krew, a w sercach pali się miłość do Królowej Polski. Ci chłopcy są dla brata jak najpiękniejsze kwiaty wyrosłe z ziemi ojczystej. Hoduje je i strzeże ich zazdrośnie; oby nie zwiędły, oby nie połamał ich zły los. Och, lepiej już stracić tę ostatnią rękę, niż przeżyć zmarnowane powołanie rodaka.

A przy tym z tymi młodymi Polakami można się porozumieć. Można choć troszeczkę otworzyć serce, w którym zamknął szczelnie ojczyznę, rodzinę, przeszłość i mowę ojców, można rozpytać ich o nowiny ze świata, a przede wszystkim o działalność swego zgromadzenia w innych krajach. Powołania są zawsze najważniejsze...





BRAT ANTONI PRZED GROTĄ.



Kaplica kolegium św. Jana.



Grób Brata Antoniego.

Dnia 15.VI. 1917 r. zorza radości rozpaliła się dla brata. Przed ołtarzem widzi dwóch pierwszych ze swych chłopców, kochane dzieci, dusze ich są już ukształtowane na obraz Chrystusowy — to są kapłani. Kto wie, może jego ręka, ręka brata-kaleki niezawodnym dotknięciem pozostawiła na nich ślad, żłobiąc go na wieki. Dobra rada, pociecha serdeczna, modlitwa...

* * *

Od pierwszej chwili bardzo bratu nie odpowiadał ołtarz w małym seminarium. Kostropate deski pomalowane na biało. Ołtarz wąski, ciasny, ubogi. W milczeniu przeżuwał zmartwienie, tłumacząc sobie, że przecie cała szkoła jest niebogata, że trzeba czekać cierpliwie i ufać. Ale w końcu nie wytrzymał i poszedł do superiora:

— Może by tak zrobić zbiórkę? Jeśli powiesz tak, mój ojcze, zrobi się.

Superior zgadza się i brat zabiera się do dzieła.

Trzeba kuć żelazo póki gorące; przecież jako kowal wie o tym dobrze. Dla chwały Bożej nic go już w gorliwości nie zatrzyma. Zakłada więc całe biuro w tym celu. Rozdaje braciom i uczniom brulion listu do przepisania w ich ojczystym języku, a potem do wysłania do swych rodzin i znajomych. Piszą się listy po angielsku, po francusku, po niemiecku i po polsku; wszyscy są tym

zainteresowani. Brat Royer w przewidywaniu dobrych wyników zbiórki uruchamia warsztat stolarski.

Brulion listu:

Edmonton, październik 1916 r.

Drogi Panie,

oto ubogi, bezręki Oblat Maryi Niepokalanej ma odwagę pisać do Pana w następującej sprawie:

Juniorat, w którym przebywam od pięciu lat, nie posiada odpowiedniego ołtarza w swej kaplicy. Moi przełożeni chcieli go zmienić na lepszy, ale jest tyle misji biedniejszych, tyle różnych potrzeb i wydatków pilniejszych, że miesiące płyną, a my wciąż tkwimy na tym samym miejscu z naszą kapliczką i z tym małym, wąskim ołtarzem.

Przełożeni pozwolili mi zwrócić się do miłosiernych osób o pomoc finansową, abym mógł zrobić ołtarz bardziej odpowiedni. Nie potrzeba mówić o tym, jak Bóg będzie błogosławił ofiarodawcom za przyczynienie się do chwały Swego Boskiego Syna przez upiększenie miejsca kultu Chrystusa Pana. Ośmielam się powiedzieć, że w przyszłości część darów, otrzymanych przez Święte Ofiary składane na tym ołtarzu, spadnie rosą błogosławieństw na dobrodziejów i na osoby dla nich bliskie. Mogę też, Drogi Panie, zapewnić Ciebie o moich modlitwach w Twojej intencji i o moich podziękowaniach. W nadziei otrzymania

pomyślnej odpowiedzi, podpisuję się z najgłębszym uszanowaniem, oddany w Chrystusie Panu i Niepokalanej Maryi — Brat Antoni.

Juniorat świętego Jana. [6])

Po takim liście niebo się otworzyło i spadła dobroczynna manna. Na warsztacie brata Antoniego rośnie stos kopert. Rośnie również praca. Stanie ołtarz starannie odrobiony, rzeźbiony w dębie, ostrołukowy. Zamówiono w Paryżu tabernakulum oraz trzy obrazy: Ostatnia Wieczerza, Zwiastowanie i Ofiarowanie.

Należało się to bez żadnej wątpliwości Najświętszej Maryi Pannie.

Dnia 12 czerwca 1917 roku, w wigilię św. Antoniego, przed nieszporami wszystko już się znajduje na właściwym miejscu. Brat stoi przed ołtarzem i podziwia piękną całość. Cieszy się, Matka Boska również jest zadowolona i też się uśmiecha.

— Ładnie zrób swoje — mówi brat do zakrystiana — a ja tymczasem pomodlę się za ciebie.

I zakrystian pod życzliwym spojrzeniem brata krząta się jak umie najlepiej.

Dzień 15 czerwca, święto Serca Pana Jezusa. „Adoro te devote." W kącie kaplicy klęczy brat. Nieruchomy i prosty jak świeca. Oczy pełne miłości utkwione w monstrancję. Bez zmrużenia

6) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

powiek, bez szeptu warg, adoruje. Ileż pociech, ile radości doznaje w ciągu ostatnich lat, on biedny, niewykształcony, jednoręki brat konwers z dalekiej Polski... Może przebywać w tym błogosławionym domu, w tej kuźni powołań kapłańskich. Bóg mu nawet powierzył małą cząstkę w Swym dziele. Czyż ten młodziutki ksiądz przed ołtarzem nie jest jego duchowym dzieckiem, ofiarowanym Bogu? Pomagał mu, co prawda, bardzo skromnie, aby został drugim Chrystusem.

— Boże, bądź pochwalon w Twoim wielkim miłosierdziu. Błogosławię Tobie w Twoich kapłanach, w Twoim wiecznym duszpasterzowaniu.

Na rozżarzone węgle dorzuca brat do ziarn kadzidła — swoje gorące „Ave".

— Oby Bóg dobry nie szczędził mu Swej łaski, oby on był świętym księdzem...

Lekki dym unosi się w górę i zasłona miłości otula złocistą monstrancję. „Tu es Sacerdos in aeternum" — Ty jesteś Kapłanem na wieki.

Po Mszy świętej rodzice, przyjaciele, profesorowie otaczają młodego księdza. Po kolei każdy podchodzi do niego. „Benedictio Dei omnipotentis..." Błogosławieństwo Pana naszego... — Szeroki znak krzyża, obie ręce w ruchu pełnym miłości, ręce młodego lewity dotykają pochylonych głów. Na uboczu jednoręki braciszek cierpliwie czeka. Nie przeszkadza, unika tłoku, nie wysuwa się na front. Jego miejsce na końcu, wie

o tym dobrze. Klęka więc ostatni przed swoim chłopcem i prosi:

— Pobłogosław mnie, ojcze!

Następnie całuje rękę kapłana z najgłębszą czcią. I od tej chwili młody ksiądz jest otoczony największymi względami. Gdy się spotykają, brat Antoni zawsze pierwszy zdejmuje przed nim kapelusz, kłania się z szacunkiem, ustępuje mu miejsca, a słów jego słucha jak wyroczni. Kapłan! To przecie ktoś tak wielki, tak cudowny, wzniosły, Chrystus... Jezus!

— Kapłan wszystko może, wszystko wie, ja jestem niczym.

I brat Antoni zabiera ścierki i kubły i wraca do swych pieców, do kurników i ogrodu, do swych codziennych skromnych zajęć. I kto tylko zechce, będzie zbierał jego uśmiechy, dobre rady, uprzejmą życzliwość i modlitwy. Poznał swoją misję. W tej błogosławionej pracowni dusz prosty robotnik stosownie do swych skromnych możliwości kuje dusze przyszłych kapłanów. Sług Chrystusa.

ROZDZIAŁ VII

„ŻYJ I SPALAJ SIĘ"

Ogień — żywioł tajemniczy. Świeci, grzeje, pochłania, niszczy, przetwarza. Płomyczek, wytryskujący znikąd, tańczy, liże, rozwija się, obejmuje wszechświat. Pod jego tchnieniem mięknie nawet żelazo. Bieleje, czerwieni się, błyszczy jak cząstka słońca, jak sam ogień.

Nasz kowal od dzieciństwa podziwiał ten cud. Ileż razy widział pręty żelazne zamienione w giętkie łodygi, a potem w głownie żarzące; ileż razy miał je w ręku miękkie, posłuszne, uległe jak trzcina. Tajemnicza przemiana; czyż brat Antoni nie przeżył jej w duszy? Jeśli zwykły metal może poddać się wyższej od niego sile, dlaczegożby on nie miał się ugiąć, rozgrzać, przemienić przed Stwórcą!

Milczący braciszek powierzył kiedyś siostrze Benignie Consolacie od Serca Jezusa swoje myśli:

„Moja Benigna pisze, że żar miłości jest Boskim piecem, w którym się oczyszczam, spalam doskonale i poświęcam moje ofiary. Jak żelazo w ogniu przybiera rozmaite kształty, podobnie

w ogniu mej miłości dusze innych osób rozkwitają w różne rodzaje świętości.” [1])

Wchodząc w głąb życia religijnego, brat Antoni nie zmienia swego zawodu, zawsze jest tym, kim był, kowalem, Bożym kowalem. Odtąd pracuje nad arcydziełem swojego życia, w ogniu miłości urabia duszę własną na obraz swego Mistrza, Jezusa Ukrzyżowanego. „Bądźcież wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest.” (Mat. 5, 48)

Święci nie przechadzają się po drogach życia w lśniących aureolach, ani też nie przybierają póz figur gipsowych. Ich doskonałość jest całkowicie wewnętrzna i braciszek wie o tym doskonale.

Człowiek prosty, zakonnik nieuczony, kaleka jak tylu innych kalek. Przygody, krasomówstwo, sława? Nie, nic z tego. Nie ma w nim ani strzępka materiału na sensację dziennikarską. Jego życie to mały strumyczek szemrzący wśród kamyczków, stała gorliwa modlitwa. Milczek, a gdy się odezwie, to wymrukuje słowa wzajemnie do siebie niedopasowane, a między zdaniami nikt się nie doszuka związku. Pracuje rękami, a nie językiem.

Nasz kowal z Dzierżanowa sądzi, że powołaniem brata konwersa i jego głównym zadaniem jest służba Bogu w modlitwie i pracy. Trzeba na to poświęcić cały czas, a wszystko inne jest nie-

---

1) Vade mecum dla dusz pobożnych, ex libris brata Antoniego.

potrzebne, jeżeli nie dąży do tego, jedynie słusznego celu.

Nie myślmy jednak, że brat Antoni jest zawsze smutny i poważny. Przebłyskują w nim czasem maleńkie iskierki humoru. Powściągliwy i zamknięty, lubi pożartować. Odwiedzając w szpitalu pewnego rodaka, pozwala sobie na małą złośliwość i mówi: „Ach, ci Polacy nie są zbyt silni”.

Po czym zakrywa usta lewą ręką i uśmiecha się przekornie, a wtedy jego dobra twarz, spokojna jak wieczór letni, rozjaśnia się i małe oczka świecą ogniem wewnętrznym. Dziecięca to naiwność i radość.

Pod polskim naskórkiem czuć silną wolę i surową dyscyplinę, mocny kościec, silne nerwy i mięśnie, stwardniałe przez władanie młotem; wytrzymałość kowala. Są jednak godziny, w których gwałtowne walki toczą się w jego duszy. Cień mroczy czoło zwykle pogodne, dreszcz przebiega po skórze. Bóg jeden widzi jego cierpienia. Bezręki brat dotkliwie czuje ciężar swego kalekiego ciała. Jak ptak ze złamanym skrzydłem wlecze się niezdarnie, kuśtykając krok za krokiem.

W niektóre dni, zwątpienia i wahania nawiedzają duszę brata. Znika radość modlitwy. Jarzmo uwiera, boli zesztywniały kark. Wtedy odzywa się w nim zwykły śmiertelnik. Zawód

świętego nie przedstawia się tak różowo. Pewnego razu zwierzył się przyjacielowi:

„Jakże byłem szczęśliwy, gdy otrzymałem list od Ciebie. Żałuję, że nie mogę odpisać po polsku. Piszesz, że nasze przepisy są trochę za twarde. To prawda. Mój bracie, mam już siedemdziesiąt dwa lata i niekiedy mnie się też tak wydaje. Reguła naszego Zgromadzenia jest surowa, lecz trzeba jej się poddać.” [2])

Podobnie jak Bóg z niczego stworzył wszechświat, podobnie rzemieślnik Boży przeobraża swą nicość, ugniata, urabia, odlewa, rzeźbi nędzę ludzką na arcydzieło świętości.

* * *

Przez wąskie okienko w kącie pokoju wsiąka skąpy dzień i budzi brata. Zakonnik wstaje. Z trudem wyciąga z łóżka swe biedne zreumatyzowane kości.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Znakiem krzyża rozpoczyna nowy dzień pracy; cały łańcuch modlitw i prostych zajęć, zwyczajnych radości i niewdzięcznych poświęceń. Dzień monotonny, którego jednakowe godziny łączą się ze sobą jak ziarna w różańcu.

Brat Antoni klęka. W pierwszych blaskach świtu jakże przytulna jest jego cela. Jest sam,

---

2) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

sam i samotny. Wysoko nad oknem zwisające gałęzie zaglądają dyskretnie przez szyby. Wszystko osnute ciszą. Nieruchomy, zapatrzony w nieskończoność czuje biedny kaleka obecność Bożą. Modli się: „Wybacz, mój Boże, i Ty, Matko moja, że Was jeszcze niepokoję. To ja, brat Antoni, rozpoczynam nowy dzień pracy i składam go Wam w ofierze...”

Uczucie wielkiej niedoli ściska jego serce. Jest niczym, skończony ignorant. Cóż może naprawdę ofiarować Bogu? Drobnostki, błahostki: dzwonek do dzwonienia, piec do palenia, korytarze do zamiatania, całe mnóstwo pospolitych czynności, wyzyskujących czas dla siebie i nie pozostawiających nic po sobie. Nie zasłużył nawet na taką ofiarę, aby móc jak franciszkanin chodzić boso.

Życie tak proste, że słowo daję, prawie niepotrzebne. I to wszystko trwa pełnych trzydzieści sześć lat. Uczciwie pomyślawszy, czyż się nie jest trochę pomylonym?

Brat podnosi oczy. Na ścianie wisi prosty, szary krucyfiks. Brat ogląda ten żałosny kształt człowieczy, nagi, odarty z dostojeństwa, skrwawiony. Bóg-Człowiek ukrzyżowany, głowa cierniem zorana, bok przebity. Całym Jego życiem było posłuszeństwo aż do śmierci krzyżowej.

„Oboediens usque ad mortem — posłuszny aż do śmierci.”

Czyż na Niego też nie patrzano jak na szaleńca?

W zachwyceniu brat słucha głosu płynącego z ciszy. Wydaje mu się, że płyną te same słowa, które Pan miał dla dusz wybranych.

— Nie masz Mi nic do dania? Więc daj twoje grzechy. Twoje czynności same w sobie nic nie znaczą, lecz jeśli je zanurzysz w mojej miłości, zmienię je w ognie gorejące, przeniknę moją Boskością. Ofiaruj więc swoją pracę memu Sercu, oddaj Mi całego siebie, abyś w końcu mógł powiedzieć: to nie ja żyję, to Chrystus żyje i działa we mnie. Strzeż li tylko mojej woli w tym wszystkim, co robisz i wypełniaj ją z wielkim poddaniem się tak jak Ja umiałem poddać się w zupełności...

Pod ramionami rozciągniętymi na krzyżu w szerokim geście błogosławieństwa — pochyla się do stóp Chrystusa siwa głowa. Brat żegna się i mówi: Bądź wola Twoja...

Jakże po takim poranku inaczej wyglądają wszystkie czynności naznaczone znakiem krzyża. Brat Antoni zbiera je skrzętnie, gromadzi i składa gdzieś w kącie raju, skarbiąc sobie wieczność.

„To wiara nadaje kierunek całemu życiu. Wiara daje poznać wartość drobnych rzeczy.” Życie brata Antoniego jest pełnym aktem wiary; życie utkane z niczego, z pyłu złotego, który świat nogami depcze, nie znając jego wartości. Brat

zbiera pieczołowicie najmniejsze odrobinki. Nie ma efektownych czynów, lecz wszystkie czynności są świątobliwe i zaważą na szalach wieczności; z nich się składa dzień pokornego brata. Żyje tylko dla Boga.

Dobrowolny ślepiec zamyka oczy na sprawy tego świata i kroczy prowadzony przez wiarę drogami niewidzialnymi dla zwykłych ludzi. Przepojony obecnością Bożą, widzi Boga i czuje Go wszędzie, i we wszystkim znajduje: w najprostszych zdarzeniach, w przyrodzie i w mechanice, w przełożonych i w braciach.

Głos dzwonu jest dla niego wezwaniem. Co mu przyniesie? Nowe próby czy radość, w tym też jest ręka Boga, Przyjaciela i Ojca.

— Dobry Bóg tak chciał.

Podobnie było, gdy go Bóg wypróbował i zesłał mu kalectwo; brat widział w tym szczególną łaskę Opatrzności i dziękował za to wielkie wyróżnienie.

Pewnego dnia żebrak puka do drzwi:

— Proszę o kawałek chleba. Jestem głodny, nic nie mam...

Biedak, nędzarz, chory — czyż nie są oni najbliższymi przyjaciółmi braci zakonnej? Brat Antoni już śpieszy do kuchni. Święte podniecenie porusza jego serce, wnętrzności krzyczą jakby to on był głodny.

— Siostro, proszę o tacę, najlepsze naczynia stołowe i czystą serwetę.

Nieśmiałość znikła, brat stoi pośrodku kuchni i wydaje rozkazy. To będzie coś w rodzaju małego bankietu i bratu aż oczy świecą z radości. Pod łachmanami i szorstką postacią żebraka widzi dostojną Osobę, która przyszła do niego z rewizytą.

— To wszystko dla naszego Pana, który czeka w rozmównicy. [3])

* * *

Życie — wiarą, miłość — życiem.

Świętość rodzi się w tajemnicy wiary i oddaje się w tajemnicy miłości.

Brat Antoni na pamiątkę swych ślubów wieczystych dostał od biskupa Grandin obrazek Serca Jezusa. Na odwrocie drżąca ręka świętego biskupa wypisała prostą wskazówkę:

„Drogiemu Bratu Kowalczykowi, O. M. I. Żyj i spalaj się dla Boga. Krocz zawsze w obecności Pańskiej, a będzie On dla ciebie wielką nagrodą. Vital, Bkp St. Albert, O. M. I.”

Z Serca, przez krzyż wzniesionego w górę, buchają płomienie, w których kowal Boży zanurza swą duszę, aby ją odmienić, przekształcić, przekuć, poświęcić.

---

3) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

— Żyj i spalaj się.

Brat żyje dla Boga i spala się dla Niego.

Wierność doskonała we wszystkich ćwiczeniach duchowych, w najdrobniejszych wymaganiach reguły zakonnej.

Wierność po wszystkie dni życia.

Jak pies wierny, węszy wszędzie obecność Boga i idzie przy nodze swego Pana, na ślepo, bez wahania i skomlenia, nie odstępuje od Jego stóp. Dar zupełny i heroiczny.

Brat za wszystko płaci całym sobą. Oddaje się ciężkiej pracy kowala, oddaje się Indianom, młodzieży szkolnej i braciom, oddaje się bez reszty piecom, miotle, ogrodowi, kurom, ale przede wszystkim i nade wszystko oddaje się Bogu.

— Żyj i spalaj się dla Boga.

Miłość do Boga jest tajemnicą jego życia, tajemnicą jego heroizmu. Należy do tych apostołów, dla których świat nie jest za obszerny. Krokiem olbrzyma przemierza morza i góry, ściga dusze w dżunglach i w śniegowych pustaciach, wszędzie głosząc wielmożne imię Boże. Wszechświat dla brata to trawnik w kącie miasta, mała zagroda i kaplica, to również jego dusza. Wtedy gdy inni przebiegają kulę ziemską jak błyskawica ognia, on spala się na miejscu, tam gdzie postawiła go Opatrzność.

W pracy, w modlitwie, w miłości żyje, spala się dla Boga.

W cieniu za swoim filarem w zacisznym kąciku kaplicy bezręki brat przemodlił połowę swego życia. Pokorny, gorejący.

Kaplica oddycha ciszą. Brat z różańcem w lewym ręku przychodzi włócząc nogami. Kierując się na światełko wiecznej lampki, tej jego gwiazdy Betlejemskiej, idzie wprost do tabernakulum i pada u stóp Mistrza.

Przyszedł kowal i roznieci większy ogień. Sztywniejącymi palcami rozpali iskry gwiazd. Obchodząc ołtarz ledwie dosięga zreumatyzowaną ręką świec, stojących rzędem, pomaga sobie, podrzucając prawym kikutem. Świece zapalają się stopniowo, migocą wesoło, szczęśliwe nowym życiem, intonując hymn ognia dookoła tabernakulum. Do końca życia zachowa brat Antoni dla siebie tę ważną czynność. Iskry, z których powstaje płomień życia, gwiazdy rodzące światło, cześć i chwałę należną Stwórcy.

Według św. Tomasza doskonałość polega głównie na miłości. Miłość jest to stanowcza wola całkowitego oddawania się i poświęcania się dla Boga. Brat Antoni nie znał innej doskonałości.

Jego świętość jest świętością na miarę człowieka. Brat nie porywa się na przenoszenie gór, chociaż, w rezultacie, jego modlitwy sprowadzają czasem to, co bracia nazywają „cudownymi figlami”. Cudotwórczość nie jest koniecznie potrzebna do doskonałości.

Brat o tym wie i jej nie pragnie. Pragnie przede wszystkim doskonałości. Nic w nim nie ma nienaturalnego; nie ma w nim ckliwości, wywróconych oczu, tego wyrazu, co krzyczy: „Patrzcie, jestem święty!” Ani też przesady, ani tego smutku, szukającego wszędzie cierni i omijającego kwiaty, bo w ich Boskim zapachu może czaić się grzech.

„Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie działa obłudnie, nie nadyma się, nie łaknie czci, nie szuka swego, nie wpada w gniew, nie pamięta urazy, nie cieszy się z niesprawiedliwości, ale współweseli się z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma...”

Ten zakon Pawłowy (z I Listu do Koryntian) jest w duszy brata. Miłość — istota i zasada doskonałości — pali się w nim i pochłania go. Ogień ze swej natury pożera wszystko, co spotka na drodze, przyczaja się, wybucha, rozprzestrzenia się. Brat Antoni postępuje podobnie. Każdy jego czyn jest węglem żarzącym, zarzewiem na nowy akt poświęcenia się, na nową ofiarę. To dla Boga modli się, pracuje, opiekuje się, zapala świece i sieje Zdrowaśki. A płomień podsycany bucha ze stosu ofiarnego i wznosi się wyżej i wyżej.

Apostoł modlitwy. Wciąż powtarza braciom i uczniom:

— To wy macie się modlić, odmawiać Zdro-

waśki... Idźcie do kaplicy. Wy się nie modlicie, wy nie macie ufności w Bogu...

I popierając nieudolne słowa przykładem, klęczy i modli się na każdym miejscu, u siebie w pokoju, przy pracy. na środku podwórza, w korytarzu, w ogrodzie.

Akty wiary, nadziei i miłości. Posłuszeństwa i oddania się bez reszty.



Niedziela. Śliczny poranek świąteczny utkany z lazuru i świeżości jesieni. Słońce sieje złotem. Ulicami miasta idzie zakonnik krokiem rzeźkim, z prawą ręką mocno przyciśniętą do boku... Jest czymś głęboko przejęty. Na nic nie zwraca uwagi, nic go nie obchodzą przechodnie ani gwar budzącego się miasta. Zna dobrze drogę. W pół godziny potem klęczy przed głównym ołtarzem w starym parafialnym kościele. Doskonale pobożny i skupiony. podobny do Świętych Pańskich, nadaje się do umieszczenia w jednym z witraży.

Uroczysta Msza św. w kościele św. Joachima; wiele razy pozwalał sobie brat Antoni na tę wielką przyjemność i rozmaitość w swym jednostajnym życiu. Tak dobrze się modlić w tym kościele. Piękna nawa, kolorowe szkła o gorących barwach, rozgrzanych promieniami słońca, sklepienie o spokojnych liniach; nic nie mąci skupienia z wyjątkiem paru Świętych, czekających w swych niszach

na pacierze wiernych. I Chrystus wysoko na krzyżu, umęczony, zsiniały.

„Introibo ad altare Dei...” Nieruchomy z mszałem w ręku przeżywa Mszę św. Głuchy na głosy ziemskie widzi Chrystusa. Widzi, jak idzie. Dokąd skieruje swe kroki? Do ołtarza, czy na Golgotę? Nie potrafi powiedzieć, lecz to na pewno On się ugina pod ciężarem krzyża. Poznał Go przecie. Panie, zmiłuj się nade mną! Kyrie, eleison!

Bądź miłościw mnie grzesznemu! Niczym jestem, szmatą, zarozumialcem. Ach, gdybym mógł podejść i pomóc nieść krzyż, jak Cyrenejczyk, gdybym mógł...

„To jest bowiem Ciało moje.”

Ręce unoszą się w górę. Palce kapłana trzymają Hostię. Chwila i punkt, w którym niebo się styka z ziemią. Tajemnica wiary. Jezus!

Wzrok brata Antoniego płonie zachwytem. Widzi Go! Chrystusa żywego, idącego na śmierć krzyżową dla odkupienia i zbawienia wszystkich ludzi, a więc i brata Antoniego. Nieszczęsny kaleka wpatruje się w swego Zbawiciela. Ciało sine od uderzeń biczowania, napiętnowane otwartymi ranami; ręce i nogi skręcone i rozdarte gwoździami; a nade wszystko ten otwór pod Sercem, skąd płynie Krew, Krew Boga.

„To jest bowiem Kielich Krwi mojej.”

Kapłan podnosi kielich. Biała starcza głowa pochyla się w adoracji.

Kapłan śpiewa: „Ite, Missa est”. Ofiara skończona. Tłum powoli wypływa z kościoła. Dom Boży wypełnia cisza.

W półmroku blisko ołtarza brat Antoni wciąż klęczy. Ani drgnie. Rzekłbyś, świątek rzeźbiony w drzewie lipowym zszedł z wnęki i modli się. Postać pełna spokoju i żarliwości.

Świątynię owinęła cisza; nic jej nie mąci prócz szmeru sekund, które zegar roni kropla po kropli w głębinę wieczności.

Pogrążony w sobie brat zatopił się w niemej modlitwie. Plamy kolorowe słonecznych promieni gasną, napływają na ich miejsce długie cienie.

Jest czwarta godzina po południu. Słychać jakiś ostrożny szelest za ołtarzem; wyłania się zakrystian. Zatrzymuje się zdumiony i mówi szeptem:

— Bracie Antoni...

Braciszek podnosi oczy; jest bardzo zawstydzony, zmieszany. Czwarta godzina? Kto by to pomyślał? Za długo się modlił i odkryli niepotrzebnie jego obecność w kościele. Co będzie z obiadem? Nic przecie nie jadł i głodu nie czuje. Po co jeść, gdy człowiek głodu nie czuje? Pod bacznym okiem zakrystiana idzie jak potulny baranek na posiłek do jadalni. [4])

4) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Biedny brat Antoni. Odkryto cel jego niedzielnych wędrówek, a tak dobrze było modlić się pod ciemnym sklepieniem świątyni św. Joachima i tak blisko tabernakulum. Modlitwa dla brata jest jego powietrzem, napojem, płomieniem wewnętrznym; jakże żyć bez niej? To nie on, to czasami inni braciszkowie opuszczają ćwiczenia, zaniedbują pacierzy, spóźniają się i tłumaczą, przedstawiając niepoważne racje. Brata ciągnie magnes serdeczny do kaplicy. Potrzeba modlitwy towarzyszy mu jak cień. Czasami pogrąża się w niej w godzinach pracy; odwiedzając chorych w szpitalu, zawsze pyta, o której godzinie odbywa się błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem; wszystkie wolne chwile za wiedzą przełożonych spędza za swym filarem w kaplicy. Osobom zbudowanym jego wielką pobożnością wyjaśnia:

— Przecież nikt się nigdy nie nudzi w towarzystwie Pana Boga.

A to tak wygodnie jest mieć Pana Boga przy sobie i przyjemnie utrzymywać z Nim dobre stosunki. Ze Świętymi też. Szczególnie, gdy potrzebujemy ich pomocy. „Proście, a będzie wam dano."

Brat zna moc modlitwy i ciągle się do niej ucieka i nigdy nie wątpi w jej skuteczność.

Pewnego zimowego dnia do warsztatu przychodzi uczeń i przynosi łyżwy do naostrzenia. Brat Antoni wyjmuje potrzebne narzędzia i siada

przy toczydle. Gdy wszystko już gotowe, włącza prąd. Cisza, nic się nie porusza. Brat upewnia się, czy wszystko jest w porządku, ogląda motor, stuka, puka, nic!

— Ano, mój mały, teraz na kolana.

Dla brata Antoniego jest to jedyny sposób rozwiązania trudności. Zdrowaś Maryja... Zaledwie skończyli trzecią Zdrowaśkę, motor ożył i zaczyna posapywać. Brat zabiera się do łyżew.

Innym razem kilku uczni wstawiało podwójne okna. Co za ciężka i trudna praca. Szczególnie jedno okno okazało się oporne. Popychają, tłuką w ramę pięścią, poruszają, kantują, nic z tego. W tejże chwili brat Antoni przechodzi obok i widzi kłopot swych młodych przyjaciół.

— Poczekajcie — woła — zejdźcie na dół. Na pewno źleście się modlili dziś rano.

Po czym chwyta okno lewą ręką i swym szydełkiem, wspina się i po chwili wszystko jest na miejscu.

* * *

Ogień, siła dziwna, tajemnicza, potrzebuje pożywienia podobnie jak rośliny, zwierzęta, jak człowiek. Podsycony płomieniem nabiera sił, tańczy radośnie, świeci, grzeje, połyka wszystko czego dotknie. Podobnie jest ze świętością i kowal Boży dobrze wie o tym. Dokłada wielu starań w ciągu całego swego życia, aby żar wewnętrznego ogniska

utrzymać na coraz wyższym poziomie, oddając się w pracy i modlitwie Najświętszemu Sercu Jezusa, Matce Bożej i Świętym. Niektórzy cieszą się szczególnymi względami: św. Antoni — patron; św. Józef — opiekun warzywnika i robót domowych; dusze cierpiące w czyśćcu. I święte Bambino z Pragi — „ukochane Dzieciątko Jezus”, ofiarowane bratu na wyjezdnym z Europy przez życzliwego ojca superiora. Żywi też gorące nabożeństwo do Gemmy Galgani i do ks. biskupa de Mazenod, założyciela zgromadzenia ojców oblatów.

Serce brata Antoniego w pewnych okolicznościach płonie jak stos ofiarny. W okresie Wielkiego Tygodnia można w nim było zauważyć dużą zmianę. Nie myślmy, że miewał wizje bolesne Męki Pańskiej. Nie dostawał też krwawych stygmatów. Krwawiło jego wierne serce i w duszy przeżywał całą Golgotę. Smutek przesłaniał pogodne zazwyczaj oblicze brata, a modlitwa jego stawała się jeszcze dłuższa i żarliwsza. „Brata-ciało” poddawał srogiej pokucie.

Dobry palacz podsyca żar serca codzienną Komunią św. Zwykle usuwa się w cień, ale gdy chodzi o przywilej służenia do Mszy św., brat jest nieustępliwy. O, co to, to nie! Jedna, dwie, nawet trzy Msze św., brat jest na miejscu, klęczy obok kapłana. Powtarza się krwawa Ofiara. Sam Chrystus jest Ofiarnikiem i Ofiarą. W sposób niewi-

dzialny, cudowny oddaje za nas swe Ciało, Krew, życie.

Brat Antoni nie ustąpi nikomu swego miejsca u stóp Krzyża. Każdemu księdzu powie swoje:

— To ty, Ojcze, i to ja, brat konwers; będę służył do Mszy św.

Duży znak krzyża wzywa Trójcę Przenajświętszą, po czym następują gorące modlitwy, żarliwe odpowiedzi, przyklękania, które są prawdziwym upadaniem na kolana... Brat całym sobą przeżywa Mszę św., jest jak Jan, uczeń umiłowany u stóp Krzyża. Zbliża się chwila Komunii św., najważniejszy, jedyny moment dnia. Dwie świece jaśnieją jak gwiazdy, odsuwa się zasłona, otwierają się drzwiczki tabernakulum, furtka do nieba, ukazuje się ludziom Bóg.

Zadrżała dusza brata Antoniego. Oczy zwilgotniały. Zewłok człowieczy u stóp wiecznej Doskonałości. Chciałby wyjść na spotkanie Pana, wybiec naprzeciw... a tu Bóg sam przychodzi do niego. Ogień, miłość, życie.

Nie, to już nie żyje brat Antoni, to Bóg w nim żyje. „Żyj i spalaj się dla Boga. Krocz zawsze w obecności Pańskiej, a będzie On dla ciebie wielką nagrodą.”

Oblacki brat konwers, pokorny, zwyczajny, podobny do kawałka żelaza, wyrzuconego na szmelc. Czegoż mamy oczekiwać od tego kaleki i nieuka? A jednak przecie on pracuje za czterech,

a jego dusza goreje świętym ogniem. Wierność, modlitwa, miłość... Żyje dla Boga. Więcej! on się spala na popiół, ściera na proch w Jego służbie i kroczy stale przed obliczem Boga.

Odziany w ubogie szaty, ciągnąc za sobą miotłę i swe narzędzia, brat Antoni krok za krokiem wspina się na szczyt doskonałości. Nadejdzie dzień nagrody: w duszy Bożego kowala wyraźnie zarysuje się wierne odbicie oblicza Boskiego Zbawiciela.

ROZDZIAŁ VIII

SZMATA — I NIC WIĘCEJ

Wrzesień. Radość panuje w kolegium św. Jana w Edmontonie. Dwaj dawni uczniowie, właśnie z tych, których brat Antoni nazywa „nasi mali": ojcowie Henryk Routhier i Antoni Jordan zostali biskupami. I oto dziś gości ich Alma Mater — stara szkoła. Święto rodzinne opromienia blask purpury w osobie kardynała Rodrigo Villeneuve, także oblata. Wspaniałość liturgii i towarzyska biesiada.

Cały personel kręci się dookoła stołów; nasz kaleka usuwa się w cień. Nic tu po nim, żadnego pożytku; aby nie tracić czasu, idzie do kaplicy. Zaczyna się modlić: to też niezawodny sposób pomagania innym. Odgłosy przyjemnej zabawy dochodzą do jego uszu. Brat również nie posiada się z radości. Jego dusza śpiewa hymn wesela. Pomyślcie tylko! Raptem, za jednym zamachem dwóch „małych" zostało biskupami! I kardynał przy tym cały w purpurze. Kolor płomienny, przypominający ogień miłości Najświętszego Serca! Brat Antoni za chwilę pójdzie, uklęknie, ucałuje

mu rękę i poprosi o błogosławieństwo. Kardynał... Człowiek bliski Ojcu Świętemu, z nim razem steruje Łodzią Piotrową. Naprawdę, jest to wielki dzień w życiu brata Antoniego.

Cała szkoła ustawiła się przy głównym wejściu do kolegium. Za filarem w kaplicy brat się modli. Zdąży jeszcze, podejdzie ostatni, ostatni w ostatnim rzędzie.

Głowy się odsłaniają, kolana uginają, wszyscy po kolei składają hołd Księciu Kościoła, kardynałowi Piusa XI („mio piccolo Cardinale"). Ostatni znak krzyża. Powóz dostojnego gościa odjeżdża i ginie za zakrętem drogi. Widać już tylko lekki obłok kurzu. Brat Antoni wchodzi na werandę.

Patrzy, rozgląda się. Oczom nie wierzy. Pusto...

— Kardynał odjechał?

— Tak, bracie. Śpieszył się. Miał w programie jeszcze jedną uroczystość.

Biedny brat Antoni! Runął domek z kart, sen się prześnił i co za przykre przebudzenie. Nie dane mu było zbliżyć się do Eminencji:

— Cóż? szmata jestem, niegodny; to dlatego Pan Bóg nie pozwolił mi zobaczyć kardynała. [1])

Pokorny kaleka raptem odsłonił swą duszę: „niegodny, szmata i nic więcej". Na wzór siostry

---

1) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Benigny Consolaty, nad której cnotami rozmyślał, ocenia sam siebie: „marność nad marnościami, pył grzeszny, niegodny, aby żyć w domu Bożym, brudna szmata nie warta dotknięcia czubkiem palca.” [2])

Każdy ma swe miejsce w wielkiej rodzinie Świętych... Z pokornymi jest miejsce dla brata kowala.

Pejzaże są różne, w kolorze, w rysunku. Zieloność mórz, pustynia słońcem spalona, siność śniegu i barwność tropikalnej flory; każdy pejzaż ma swe piękno indywidualne. „Inna jest jasność słońca, inna księżyca, a jeszcze inna jasność gwiazd. Bo gwiazda od gwiazdy różni się w jasności.” (I Kor. 15, 41)

Podobnie w świętej mozaice, każdy ma własne oblicze i świeci własnym blaskiem: Franciszek, poeta asyski, rycerz Pani Biedy; Ignacy, żołnierz o żelaznej dyscyplinie; Franciszek Salezy, łabędź Sabaudii o duszy słodkiej jak miód; „Mała Tereska” patronka misyj zamknięta w Karmelu... — wszystkich Świętych łączy ta sama miłość.

Pokorę według św. Bernarda można określić w dwóch słowach: prawdziwa znajomość siebie i gardzenie własną osobą. Przeglądając się w zwierciadle duszy, brat Antoni odkrywa swą ma-

---

2) Vade mecum dla dusz pobożnych, ex libris brata Antoniego.

łość. Robak, nędzny robak w oczach Boga. Powstał z niczego i wszedł w świat ze zmazą grzechu. Oblepiony błotem „brat-ciało" ciągnie go całym ciężarem do ziemi. Przywary, winy są w zasięgu ręki, zawsze możliwe. Czegóż więcej trzeba, aby rozpoznać swoją kruchość i nicość?

Ta myśl nie opuszcza brata. Podobnie jak inni myślą o szczęściu, o karierze, o przywilejach, brat rozmyśla nad własną nicością.

Na swym drewnianym stoliku w pokoju ma zawsze książkę lub rozmyślanie na temat pokory. Na zapytanie zakonnicy, dlaczego brat zajmuje się wyłącznie tą cnotą, brat ze smutkiem odpowiada:

— Brat Antoni zanadto zarozumiały; zawsze jakieś usprawiedliwienia, niedobrze, bardzo niedobrze, proszę modlić się za niego...

Spotyka się czasami ludzi fałszywie pokornych, którzy w swym zakłamaniu znieważają Boga, nie widząc Jego darów. Zapominają, że są jednością duszy i ciała i że mają do swej dyspozycji środki nadprzyrodzone. Pokora nie każe o tym zapominać, ani tym pogardzać. „Kiedy podziwiamy obraz, nasza pochwała dotyczy artysty, a nie płótna; podobnie, gdy zachwycamy się darami i łaskami, którymi nas Bóg obsypuje, podziwiamy nie siebie samych, lecz Boga." [3])

---

3) Precis de théologie, Tanquerey, wyd. VIII.

W głębi duszy brat Antoni jest głęboko przekonany o swej nicości. Widzi i rumieni się ze wstydu. Nie ma w tym ani przesady, ani fałszu. Pokorny fiołek naumyślnie nie chowa się w błocie; pozostaje ślicznym miłym kwiatkiem o subtelnym zapachu i aksamitnych płatkach. Pokora brata Antoniego nie umniejsza jego duchowej piękności.

Popatrzcie na tego zakonnika skromnie odzianego. Z bliska zobaczycie części ubrania, łaty, ale nie doszukacie się skrzydeł. Nikt też nie mówi o wizjach, ekstazach. Naprawdę, brat nie robi nic nadzwyczajnego. Idzie sobie swoją drogą, nie oglądając się ani w prawo ani w lewo. Zajęty, zapracowany, w ruchach trochę nerwowy. Powiedziałbyś, opanowany pasją życia. A jednak zawsze skupiony i jakże prosty w obejściu. Właściwie czymże on się różni od innych braci? może właśnie tą prostotą i łagodnością, tą powściągliwością w mowie — istne uosobienie milczenia. Za chwilę ujrzycie go w roboczej niebieskiej bluzie, nogi owinięte gałganami, stary kapelusz na głowie, każdy powie: „strach na wróble". Lecz pod rondem zrudziałego kapelusza zobaczycie tę dobrą twarz, opromienioną słodyczą i pokojem. Wzór pokory. To właśnie on, brat Antoni.

Święty Benedykt, wyliczając cechy zewnętrzne pokory, wymienia powściągliwość w mowie i w śmiechu, spokój i skromność. „Wielka to bieda

— powiada La Bruyère — jeśli się nie ma dość rozumu, aby dobrze mówić, ani też rozsądku, aby milczeć. Niegrzeczność tym się odznacza."

„Talent rozmowy polega na tym, aby go mieć samemu i umieć odkrywać u innych." (Charaktery, rozdz. IV)

Milczeć. Nie odpowiadać, gdy nie trzeba. Małomówność była zasadą życia brata Antoniego. Od chwili jego wejścia do zgromadzenia, współbracia jego znaleźli się w obliczu uśmiechniętego, uprzejmego sfinksa. Skąd przybył? Gdzie mieszka jego rodzina? Czym się zajmował we wczesnej młodości? Jakże trudno otrzymać odpowiedź; brat na wszystkie pytania ma tę jedną: „Jestem Polakiem i nie umiem dobrze się wysławiać".

Wymówka osłodzona lekkim uśmieszkiem i brat powraca do roli uprzejmego słuchacza. Powściągliwość, której nie można nic zarzucić. Wręcz przeciwnie, wszyscy bardzo lubią brata Antoniego. Co za miły towarzysz! Można się podroczyć, pobawić jego kosztem. Rozumie się na żartach i śmieje się pierwszy, natomiast nie daje się wciągnąć do dyskusji, zasłaniając się brakiem nauki: „Nie jestem teologiem, lepiej to wiecie ode mnie".

Pewnego dnia rozmowa przybiera charakter polityczny: Niemcy, Rosja, a Polska. Wobec gwałtownego ataku na zaborczość niemiecką brat staje w obronie wrogów swej ojczyzny. „To wo-

dzowie są wszystkiemu winni, przywódcy, ich trzeba piętnować, naród jest dobry, czasami nawet szlachetny, nie umiem ich nienawidzić." Co za wielkoduszność! Trzeba brata wyprowadzić z równowagi. Ktoś więc robi złośliwą uwagę: „Polacy nie są dobrzy i Bóg ich za to karze".

Brat Antoni, dotknięty do żywego, wybucha: „To nieprawda. Rosjanie są źli!" — Zaledwie to powiedział, już żałuje i okazuje swą skruchę, prosząc o przebaczenie. [4])

Skromny w mowie, brat Antoni jest również powściągliwy w okazywaniu radości, w spojrzeniu, w całym sposobie bycia. Umie się śmiać z całego serca, jak dziecko, przesłania jednak sobie usta, gdyż sam nie lubi głośnych wybuchów, przypominających ryk dzikich zwierząt. Promieniuje spokojem i opanowaniem.

Tak głębokiej pokory nic nie potrafi zmącić. Brat podejmuje się wszelkich zajęć bez sprzeciwu, a nawet z chęcią, chociaż zdarzały się odrażające. Ogrzewanie i utrzymanie w czystości domu, robota w ogrodzie, och, to była dobra praca, ale też czasami bywała wstrętna, przyprawiająca o mdłości. Do brata bowiem należało wypróżnianie dołów kloacznych i porządki w ubikacjach. Dla innych są takie przyjemności jak hodowla kwiatów, zdo-

---

4) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

bienie ołtarzy, stolarka; dla brata cuchnące pomyje z kuchni, którymi żywi swą chlewnię, dla brata czyszczenie klozetów. Co rana te same ubikacje, ten cement zawsze zabrudzony przez niesfornych malców. Na kolanach, powłócząc kikutem, brat usuwa brud, zmywa, wyciera... i milczy. To jest właśnie praca odpowiednia dla niego. Czyż nie jest szmatą do wycierania wszystkich kątów zgromadzenia?

Pokora brata rośnie na żyznym gruncie. Przelewa się aż na zewnątrz, znać, że ukochał Panią Biedę. Odzież stara i łatana, bielizna nieświeża, buty zniszczone, obcasy wykrzywione. Celka klasztorna gdzieś w kącie sutereny, gołe ściany, podłoga cementowa, za całe umeblowanie starczą łóżko i stolik. Przez dłuższy czas nie miał nawet krzesła. Był szczerze zmartwiony, gdy mu ojciec superior sprawił nową sutannę. Narzekał na tak duży wydatek, powtarzając: „Nie jestem godzien. Po co to? O wiele za piękne dla mnie."

Podobnie było z pieniędzmi. Wyruszając na miasto, korzystał z tramwaju w jedną tylko stronę. Ze wszystkich sum powierzonych na zakupy wyliczał się skrupulatnie. Po śmierci, w starej, wytartej portmonetce całego majątku znaleziono trzydzieści dwa grosze.

* * *

Doskonała pokora wypełnia całą osobowość, przenika umysł i serce. Człowiek pokorny jest łagodny, spokojny, posłuszny. „Prochu, naucz się posłuszeństwa, naucz się pokory. Ziemia i muł, pyłem będziesz pod nogami innych. Naucz się łamać twą wolę i nie cofaj się przed zależnością...”

Boski Zbawiciel pewnego dnia powiedział siostrze Benignie Consolacie:

„Kiedy spotykam pokorę — daję, kiedy znajduję jej więcej — daję więcej, a kiedy widzę duszę żyjącą pokorą i pożądającą upokorzenia, pociąga ona Mnie do siebie. Daję jej wtedy taki głód i pragnienie posłuszeństwa, że nie oddycha inaczej jak dla posłuszeństwa. To jest również drogocenny owoc miłości: posłuszeństwo jest siostrą pokory”. [5])

Brat Antoni — licha szmata, ścierka zgromadzenia we własnym mniemaniu, doprowadza swą pokorę do tego, aby unicestwić wolę w najdrobniejszych rzeczach. Staje się posłuszny aż do heroizmu.

Było to jesienią 1918 roku, jak sobie przypominam. Huragan zwalił ogrodzenie placu do gry w piłkę; dobry kawał około pięćdziesięciu stóp długości i dwadzieścia pięć szerokości. Uczniowie przy pomocy lin próbują dźwignąć je w całości.

---

5) Vade mecum dla dusz pobożnych, ex libris brata Antoniego.

Zamierzenia znakomite, każdy to oceni... Ciągną, powolutku ściana się podnosi. Lecz tu raptem jakaś przeszkoda. Pod olbrzymim, ciężkim blokiem coś zawadza. Co to może być? Co robić? Uczniowie patrzą na siebie niezdecydowani. Po paru chwilach narady ojciec superior posyła brata Antoniego, aby zbadał i usunął przeszkodę. Zadanie jak najbardziej ryzykowne. W każdym momencie któraś z lin może pęknąć lub wymknąć się z rąk, albo też ściana ledwie ruszona z miejsca może osunąć się z powrotem. A wtedy nieszczęsna ofiara zostanie zgnieciona na śmierć.

Rozkaz rozkazem, brat przyjmuje go bez wahania. Żegna się dużym znakiem krzyża, uśmiecha się pogodnie i znika pod ciężką masą. Śmiertelna cisza zapanowała dokoła, niepokój na wszystkich obliczach. Zgromadzeni wstrzymują oddech i czekają. Na koniec ukazuje się „szydełko" i braciszek wysuwa się jak robak z ziemi. Uczniowie milczą, nikt nie może wydobyć głosu pod wrażeniem — czego? Podziwu czy obawy? Brat Antoni uniknął śmierci. [6])

Innym razem, wiosną, w jasny dzień słoneczny wieje mocny wiatr i niesie posuchę. Brat Antoni przesuwa się cicho, lecz widać głębokie zaaferowanie na jego twarzy.

---

6) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

— Bracie, dokąd brat idzie? Jakieś nowe niepowodzenie?

— Ależ nie, muszę tylko wszystko przygotować odpowiednio, ojciec superior kazał wypalić trawę na podwórzu.

— Bracie, dziś? Przy takiej pogodzie? Czy widziałeś pożar prerii i walczyłeś z ogniem?

— Tak, coś niecoś wiem o tym.

— Przecież ten wiatr dmie mocno, a trawa jest bardzo sucha. Ogień przerzuci się przez drogę i zagrozi domowi.

— Tak, wiem o tym, ale ojciec superior kazał mi spalić trawnik, ojciec lepiej się na tym zna ode mnie.

Po upływie godziny alarm generalny. Gęsty dym unosi się w górę kłębami. Wicher dmie, a trawa aż chrzęści w ogniu. Płomienie zbliżają się do zabudowań. Widać biegnących uczni; jedni pędzą z łopatami, inni mają w ręku stare ubrania i znoszone swetry. Walczą z pożarem. Tłumią, gaszą płomienie, a tu wybuchają coraz to nowe ogniska, iskry i płomyki przerzucają się z miejsca na miejsce. Po godzinie opanowano sytuację.

— No, cóż, bracie? Czy ci nie mówiłem?

— Tak, wiem o tym.

I nic więcej. Brat Antoni milczy, nie odpowiada na zarzuty. Nie tłumaczy się. Nie może przecie kwestionować zarządzeń władzy ani też krytykować superiora. A przy tym, gdyby rzeczywiście

było jakieś niebezpieczeństwo, to Opatrzność i Matka Boska wiedzieliby o tym pierwsi. [7])

Nasz kowal nie ma ani krzty litości nad tym kawałkiem żelaza, który chce przekuć na arcydzieło. Hartuje, rozgrzewa, ugniata, piłuje. Chociaż natura czasem się broni, brat na nic nie zważa, miażdży serce, duszę, całego siebie. Łamie wolę, poddaje się surowej dyscyplinie, odmawia sobie wszystkiego. I nie myślmy, że przychodzi mu to łatwo; jest to typowy Polak o gorącej krwi, drażliwy i wrażliwy. Mniej przyjemna uwaga ojca superiora, bardziej gruby żart ze strony kolegów, przez twarz brata przelatuje cień, zaciskają się wargi, w oczach zapalają się błyski. Gdzieś tam w głębi duszy rozgrywa się dramat.

Któregoś dnia jesienią uczniowie pod kierunkiem prefekta przygotowują plac do ślizgawki. W pobliżu brat Antoni z grupką ochotników pracuje w ogrodzie, zbierają plony. Dwa obozy. Dla młodych urwisów sposobność sprzyjająca do zaczepek. Popychają się, szamocą przy każdym spotkaniu. Kilku dorwało się do słodkich marchewek i chrupią, aż miło! Znakomite są te marchewki brata Antoniego. Marnotrawstwo czasu i zbiorów naszego ogrodnika rośnie z każdą chwilą. Mało kto myśli o zadanej pracy. Wytrącony z równowagi brat Antoni idzie do prefekta. Pre-

---

7) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

fekt oczywiście obiecuje wglądnąć w całą tę sprawę i... zapomina. Na drugi dzień o tejże godzinie harce rozpoczynają się na nowo. Wzajemne przedrzeźnianie się i rabunek warzywnika. Wszelkie żarty mają jednak pewną granicę. Brat idzie ponownie do prefekta. Mocno zirytowany, w ciągu kilku sekund bełkoce coś niezrozumiale o braku dyscypliny, po czym z miejsca zawraca i odchodzi.

Nie ma brata Antoniego w kaplicy. Fakt niebywały. Za chwilę rozpoczną się modły. Jeden z braci biegnie zaniepokojony do jego celki i znajduje naszego ogrodnika w stanie opłakanym. Wzruszenie? Wstrząs z powodu ostrego oburzenia? Biedny zakonnik stracił chyba pamięć. Musiał nastąpić wylew krwi na mózg. Aż litość bierze patrzeć na taki stan chorego. Odwożą brata do szpitala, gdzie w ciągu trzech dni pod opieką lekarza przychodzi do zdrowia.

Pierwszą czynnością po powrocie była wizyta u prefekta. Brat Antoni rzuca się na kolana i błaga o przebaczenie. Nie może sobie wybaczyć swego wystąpienia na temat dyscypliny; jakże on sam był wtedy niegrzeczny i sam niezdyscyplinowany w stosunku do swego przełożonego; okazał brak należnego uszanowania i koniecznej pokory. [8])

Z natury żywy i porywczy musi brat Antoni

---

8) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

wciąż kiełzać swe usposobienie. Szorstka nagana ojca superiora i już brat blednie z gniewu; mniej więcej bezsensowne wymagania ekonoma i brat zagryza wagi, aby po wysłuchaniu powiedzieć spokojnie:

— Tobie, ojcze, rozkazywać. Mnie wykonywać.

Pewnego dnia pada brat ofiarą grubego żartu młodego nicponia. Hultaj pozbawiony rozumu i serca przyszedł pomagać w pralni. Po skończeniu prania brat pochylił się i wyjmował czystą bieliznę. Niecny pomocnik, widząc go w tej pozycji, podskoczył z tyłu, schwycił brutalnie za nogi i wrzucił do kadzi. Ktoś równie poszkodowany dałby upust gniewowi i słusznemu oburzeniu; brat po prostu powiedział:

— Nie trzeba tak robić. To nieładnie.

Pytany następnie na temat tego wypadku brat Antoni kręcił głową i tłumaczył winnego:

— On jest niemądry, nieodpowiedzialny. [9])

Nic nie potrafiło zmącić w bracie Antonim głębokiej równowagi ducha, właściwej ludziom pokornym.

Odbywała się jedna z wielu konferencji o życiu wewnętrznym dla zakonnic obsługujących szkołę. Superior mówiąc na temat cnoty pokory, rysował różne jej oblicza i w końcu powiedział:

9) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

— Zaraz pokażę model żywy i doskonały pokornego zakonnika.

Zadzwonił i kazał wezwać brata Antoniego jak zwykle zatrudnionego o tej porze. Po kilku minutach ukazał się zakonnik w roboczej bluzie, z czapką w ręku. Zanim otworzył usta, ojciec superior odezwał się sucho:

— Po coś tu przyszedł, bracie Antoni?

— Wydało mi się, że jestem wezwany.

— Wydało ci się? Wracaj natychmiast do roboty. Oto jak umiesz się urządzić, aby tracić czas.

Kaleka głęboko pochyla głowę, przeprasza i spokojnie odchodzi.

Przykład cnoty pokory udał się superiorowi.

„Uczcie się ode Mnie, żem jest cichy i pokornego Serca.” Nasz Zbawiciel łączy w sobie te dwa nierozdzielne stany duszy: pokora i łagodność. Brat Antoni, wierny uczeń, we wszystkim naśladuje Mistrza i doprowadza cnotę pokory do jej ostatecznych granic. „Humiliavit semetipsum... — Uniżył samego Siebie.” (Fil. 2, 8)

A była to przecież natura bogata, usposobienie żywe, charakter mocny, serce czułe, nie jakaś niezguła, czy niezdara. Jego osobiste zalety mogły mu zapewnić w świecie stanowisko godne zazdrości. Lecz zamiast górować nad innymi, wolał podporządkować sobie — siebie samego.

Bój długi i srogi, walka całego życia. W świetle wiary ujrzał swą nicość i zdobył pokorę.

Ubogie ubranie, jak najbardziej poniżające zajęcia, miejsce na szarym końcu, wszystko to zdawało się być bardzo łatwe dzięki żelaznej sile woli. Ale dotknięty do żywego, przeżywał w sobie całą gorycz buntu i tłumił go przy pomocy środków nadprzyrodzonych. Zwycięstwo łaski nad naturą. Brat Antoni zachowuje łagodny spokój przy wszystkich niepowodzeniach. Jest skromny, cichy, życzliwie uprzejmy. Kowal pokonał żelazo. Zmiękczył, poskromił, przekuł.

W głębokiej pokorze brat rozciągnął się na krzyżu ofiarowanym mu przez Boga. „Oboediens usque ad mortem crucis...” — Posłuszny aż do śmierci krzyżowej.

ROZDZIAŁ IX

U STÓP KRZYŻA

„Człowiek jest uczniem, mistrzem — cierpienie.”

„I nie zna ten siebie, kto nie zaznał cierpienia.”

To powiedzenie poety francuskiego Alfreda de Musset jest dalekim echem gorącego wyznania świętego Pawła:

„I oto teraz raduję się w cierpieniach za was i dopełniam na ciele własnym tego, czego niedostaje cierpieniom Chrystusowym. Za Ciało Jego, którym jest Kościół, a którego sługą stałem się w zleconym mi włodarstwie pośród was, abym wypełniał słowo Boże.” (Kolos. 1, 24-25.)

Być człowiekiem — uczymy się we łzach i to przez łzy podnosimy się do Boga. „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni.” (Mat. 5, 5.)

Cierpieć i cierpieć dla Boga: dziedzictwo człowiecze i powołanie chrześcijanina.

Pewnego dnia brat Antoni wiezie ks. biskupa Legala na uroczystość Bierzmowania. Powóz na drodze pełnej głazów i niewykarczowanych pni

podskakuje i trzęsie niemiłosiernie. Dobroduszny biskup podżartowuje sobie z brata:

— Uwaga, oto dziura, proszę jej aby nie ominąć.

— Ekscelencjo, każdy z nas niesie swój krzyż. Ciągnę swój jak mogę poprzez wykroty i dziury w błocie... na chwałę Bożą.

Przez całe życie brat godnie dźwiga krzyże, wcale ich nie wlecze za sobą. Bóg mu ich nie szczędził: i fizycznych i duchowych.

Bez słowa skargi, z niesłychaną cierpliwością brat Antoni przyjmuje tysiące krzyżyków, którymi Bóg zasiewa jego drogę: katary, niedyspozycje, choroby, zmęczenie... Dla brata to są jego kwiaty zrywane w przejściu. A właściwie nie kwiaty, lecz ostre cięcia nożem, którym Boski Artysta rzeźbi w jego duszy swój obraz. Skarżyć się? Po co?!

Przy pracy nie trudno o skaleczenie ręki. Dobra zakonnica śpieszy z opatrunkiem. Brat się otrząsa z oburzeniem:

— To nic nie jest. Od tego się nie umiera. Trzeba umieć składać ofiary. Jezus przecie za mnie umarł na krzyżu...

Przychodzi ciężka grypa. Brat nie chce się leczyć:

— To niedobrze, jeśli zakonnik nie cieszy się chorobą. Trzeba umieć cierpieć.

A ten reumatyzm brata Antoniego! Było to w czasie ostrej zimy. Na skutek fali mrozów zatkały się zamarznięte kanały. Ojciec superior

zleca bratu oczyszczenie ścieków i uruchomienie instalacji wodnej. Praca ciężka i wytężona, tym bardziej dla kaleki o jednej tylko ręce. Grzebie się w lodowatej wodzie, sinieje z zimna, palce grabieją, chłód przenika do szpiku kości. Biedny kaleka pracuje wytrwale trzy dni bez przerwy. Osiąga w końcu pomyślny wynik, ale w nocy budzą go straszne bóle.

Złe samopoczucie, kłucie, sztywnienie stawów, nerwy naprężone jak druty stalowe. Przy najmniejszym poruszeniu się nowa tortura. Reumatyzm wszczepił się w jego ciało i ssie jak polip. Próżno nasz zakonnik przez długie godziny wygląda snu jak zbawienia. Rankiem wstaje i dalej przeżywa swoją mękę. Zgięcie kolan przy klękaniu, podnoszenie nóg przy chodzeniu, każdy ruch jest źródłem bólu. Kości przeszywa cierpienie.

Ktoś inny wołałby: łaski! Ktoś inny — ale nie brat. Żelazna wola nie pozwala bratu Antoniemu na opieszałość w pełnieniu obowiązków. Jak zawsze będzie statecznie klęczał przy modlitwie i będzie nadal wykonywał mnóstwo zajęć. Będzie zmywał chropowate podłogi, zgarbiony na kolanach, będzie wymiatać, froterować, ciągnąć swe obolałe kości bez jęku, bez skargi. Cierpienie zamknął w sobie.

Pewnego dnia czuje się jednak bardziej zmęczony. Porusza się wolniej, trudniej. Wyczerpany do ostatka wlecze się z wysiłkiem do swojego

pokoiku. Zaniepokojony współbrat idzie go odwiedzić:

— Bracie Antoni, potrzebujesz pomocy. Czy jesteś chory?

Zamiast odpowiedzi biedny kaleka zdejmuje obuwie i pokazuje nabrzmiałe, opuchnięte nogi. Dwie sine kłody, które od kilku tygodni służą mu do chodzenia. [1])

Cierpliwość i rezygnacja. Brat we wszystkim dopatruje się ręki Opatrzności. Na wzór Hioba przyjmuje z Jej dłoni choroby, doświadczenia i krzyże. Wita je i żegna jednym słowem: „Bóg tak chce". A Bóg uderza w niego czasami równie mocno jak w Hioba. Urwana ręka... Pomimo kalectwa brat się uśmiecha. To okropne okaleczenie zbliża go do Jezusa Ukrzyżowanego, uważa je za odznakę, za stygmat.

Pralnia nie jest dobrym miejscem dla kaleki, kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Któregoś dnia znajdują brata rozciągniętego na podłodze w stanie zupełnego zamroczenia. Z głowy sączy się krew. Prawdopodobnie musiał upaść z dużej wysokości i stracił przytomność. W kilka lat później w tymże miejscu zawieszony na drabinie oliwił metalowe łożyska pasów. Jeden nieodpowiedni ruch i brat znów ląduje na podłodze. Pęknięcie żeber, złamanie kikuta, sińce. Podnoszą go, ratują, aż litość bierze patrzeć na tę całą

1) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

biedę ludzką. Brat nawet nie jęknie. Po co się skarżyć? Po co lamentować? Przecież to Bóg dał mu znać o Sobie. Pokorny zakonnik z radością wita ten nowy krzyż.

Nie tylko wita radośnie, brat biegnie mu naprzeciw, wznosi się po krzyże zachowane dla niego przez Opatrzność. Umartwiony, pokutujący, jest prawdziwie na wzór Świętych miłośnikiem Krzyża. U jego stóp czeka na ukrzyżowanie.

Człowiek, jak się to mówi, jest naprawdę wielki, gdy klęczy. Postawa pokory, samounicestwienia, ofiary. Męczennicy klęcząc łożą swe głowy pod topór kata. W ciszy mrocznych pieczar pustelnicy padają na twarz, wznosząc modły. Głowy w koronie chyliły się przed Następcami Chrystusa. Brat Antoni, uczeń duchowy świętych pokutników, upodobał sobie klęczenie. Na kolanach przed swym stolikiem czytał książki pobożne i oddawał się medytacjom. Przez niedopatrzenie w ciągu kilku lat nie miał krzesła w pokoju i nigdy się nie upomniał. Pisanie listów, co prawda bardzo rzadkie, odbywało się w ten sposób, że brat znalazłszy pomoc któregoś z ojców, klękał przy jego biurku i dyktował mu swoje posłanie. Lecz najwierniejszy i najprawdziwszy wizerunek brata Antoniego, zachowany w pamięci jego dawnych współtowarzyszy, przedstawiał go klęczącego za filarem w kaplicy w pokorze i głębokim skupieniu. Ileż to godzin brat tak spędził

na modlitwie, nie opierając się nigdy o klęcznik, Bóg to zliczył.

„Krzyż — jak pisze o. Yenveux, oblat — podobny jest olejkowi drogocennemu; traci na wartości, gdy zwietrzeje... nie mówmy o nim". Brat o tym dobrze wie; wszystkie swe umartwienia okrywa głębokim milczeniem. Żywot jego jest surowy. Nie używa masła, cukru, przysmaków, chłodzących napoi. Kiedyś w czasie wyprawy do Saint Albert, gdy mu zaproponowano coś niecoś do przegryzienia, brat czym prędzej wybrał najmniejsze jabłuszko. Przy stole zostawiał dla innych najsmaczniejsze kąski. W czasie świąt, kiedy podawano wystawniejsze potrawy, brat dziwnie tracił apetyt. Wymyślał różne posunięcia strategiczne dla osłonięcia swych umartwień; wstawał od stołu, podawał innym, nalewał kawę, zmieniał talerze.

W podeszłym wieku nigdy nie chciał korzystać z dyspensy przysługującej mu w jedzeniu, jak też w pełnieniu lżejszej pracy. Był nieugięty, ostro przestrzegał postu i ciężko pracował. Jeszcze kiedy był w misji St. Paul des Métis, wysłano go wraz z robotnikami do lasu na zrobienie stoczni. Była to ciężka robota i wszystkich zwolniono z piątkowego postu. Brat z tego przywileju nie skorzystał. „Po co mam jeść mięso, gdy mam tuż pod bokiem jezioro pełne smakowitych ryb?" I, rzeczywiście, co tygodnia zaopatrywał się w dostateczną ich ilość. Nie, to nie dla brata wszelkie

ułatwienia i udogodnienia; nie dla niego dyspensy i przywileje; wręcz przeciwnie, lubuje się w wynajdywaniu umartwień dodatkowych.

Wierność całkowita, zupełna wierność przepisom zakonnym, w każdej chwili, każdego dnia, przez całe życie — czyż to nie jest całopalna ofiara, systematyczne powolne męczeństwo, nie dostrzegane przez innych ludzi? Brat Antoni bez odchyleń i bez przerwy doskonali się w wierności. Przestrzeganie reguły zakonnej, ubóstwo, skromność, milczenie oraz inne przepisy, znał je wszystkie, praktykował, strzegł, miłował. Czyż nie był zawsze dokładny? Czy był niedokładny choć przez chwilę, choć raz w życiu? Podobnie jak św. Franciszek z Asyżu był uosobieniem ubóstwa, nasz brat Antoni był uosobieniem reguły zakonnej.

Dobrowolny męczennik. Cała droga krzyżowa do osiągnięcia zamierzonego celu. Cóż za męka dla takiego syna być w niezgodzie z ojcem, z całą rodziną, martwić matkę?! Jakiż cios zadał jej w samo serce, opuszczając dom na zawsze.

Po strasznym wypadku przyszły godziny krzyżowe cierpień duchowych. Czy pozwolą kalece złożyć śluby wieczyste? Czy będzie mógł całkowicie poświęcić się Bogu? A może będzie musiał wieść nędzny żywot upośledzonego, bezrękiego wyrobnika? Wątpliwości i najgorsze ze wszystkiego zwątpienie gryzły go w ciągu długich miesięcy.

Później w stanie zakonnym gnębił brata czę-

sty brak zrozumienia ze strony przełożonych. Zajęcia ponad siły, trudne, liczne, czasami odrażające przyjmuje brat Antoni i znosi bez skargi, podobnie jak bezpodstawne wymówki, szorstkie odprawy i upokorzenia. Czyż nie doszło do tego, że ktoś mniej cierpliwy rzucił w brata butem? Łagodność brata Antoniego pomimo wszystko pozostała niezmącona.

W pewne dni spadają na brata przejmujące ciosy, jak jastrząb na upatrzoną ofiarę, szarpią mu serce i ranią głęboko. Myślę jednak, że najcięższym przeżyciem było dla brata pozbawienie go codziennej Komunii świętej. W ciągu trzech miesięcy co rana brat płacze, jego dusza krwawi, czuje się zapomniany, opuszczony, podobnie jak Chrystus w Ogrodzie Oliwnym. „Ojcze mój, jeżeli kielich ten nie może odejść ode Mnie, jeno, abym go pił, niech się stanie wola Twoja." (Mat. 26, 42.) I brat bez szemrania przyjmuje krzyż z ręki ojca superiora.

„Jeśli zakonnik nie pragnie cierpieć — to niedobrze. Muszę poświęcać się. Jezus za mnie poniósł śmierć krzyżową." [2])

Ofiara całkowita i dobrowolna. Brat staje w szeregu uczni Pawłowych: „Proszę was tedy, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście składali ciała wasze na ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu, na duchową służbę waszą. A nie upodabniajcie

2) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

się do tego świata, ale się przemieńcie przez odnowę waszego ducha, abyście doświadczyli, jaka jest wola Boga: co (według niej) jest dobre, co miłe, a co doskonałe." (Rzym. 12, 1-2.)

Błędne byłoby mniemanie, że świętości trzeba szukać tylko w ascezie; droga do doskonałości wiedzie nie tylko przez włosiennice, biczowanie i inne umartwianie ciała. Umartwienia fizyczne są konieczne, ale muszą być regulowane roztropnością i posłuszeństwem, a przede wszystkim iść w parze z odnową wewnętrzną, z ćwiczeniami duchowymi. Trzeba bowiem pamiętać, że umartwianie się nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem do osiągnięcia celu ostatecznego, jakim jest oglądanie twarzą w twarz Boga.

„Nic nie umiem, nic nie wiem, nie jestem jak wy, teologiem." A jednak brat Antoni, wiedziony niezawodną intuicją, doskonale pojmuje i przyjmuje Pawłową naukę krzyża. Stał się równie wzorowym zakonnikiem, jak był mistrzem w rzemiośle kowalskim. Dzięki stałym ćwiczeniom nieuk osiągnął poziom umysłowości doświadczonego teologa.

Kowal nie bawi się żelazem jak dziecko, radujące się stukiem młotów, zmianą barwy i kształtu. Jego celem jest dzieło tworzenia z metalu rzeczy nowych. Podobnie chrześcijanin, a przede wszystkim zakonnik; jego dziełem jest przemiana duszy na obraz Chrystusowy.

„Sacerdos et victima — kapłan i ofiara."

Przez chrzest stał się brat Antoni członkiem Ciała Mistycznego Chrystusa i chciał jak Chrystus być jednocześnie kapłanem i ofiarą. Życie dla brata było ołtarzem, na którym składał Bogu siebie w żywej ofierze.

Choroby, cierpienia fizyczne, męki duchowe, przeróżne próby zsyłane przez Boga, brat przyjmował mężnie. Co więcej, on je kochał. Dusza ofiarna cierpi z Jezusem i dla Jezusa. Czy to umiłowanie krzyża odsłania przed oczami otoczenia? Nie. Pokora, godność osobista i cisza wewnętrzna nakazują milczenie. Serce brata jest księgą zamkniętą. Nigdy nikomu nic o sobie. Ledwie z dużym wysiłkiem można niekiedy wyciągnąć jakieś skąpe zwierzenia. Mnich, pustelnik, zasłonięty szczelnie opończą z kapturem; takim był naprawdę ten prosty brat. W milczeniu dopomagał sobie brakiem znajomości obcych języków; zasłaniał się wciąż nieumiejętnością mówienia po francusku, czy angielsku, powołując się na swe polskie pochodzenie.

Zdradzają go jednak nie tyle skąpe słowa, co całe postępowanie i praktyki religijne: Przenajświętszy Sakrament, Boskie Serce Jezusa, Męka Pańska — oto jakby tryptyk jego duszy ofiarnej.

Nadszedł już wieczór. Oddzwoniono na gaszenie światła. Brat przez wzgląd szczególny otrzymał zezwolenie na dłuższą modlitwę w kaplicy. Życzliwa samotność. Lampeczki, drgające

światełkiem, czuwają na ołtarzach. W półmroku widać przesuwający się cień. Brat Antoni odbywa Drogę Krzyżową. Z wysiłkiem idzie od stacji do stacji. Dzień był ciężki. Łamią go kości, może to reumatyczne bóle? Trudno jest klękać, a potem podnosić się. Brat chyli czoło aż do podłogi, po czym nieruchomieje. Pokorny braciszek pogrąża się w adoracji. Krok za krokiem posuwa się za swym Zbawicielem na górę Golgoty. Ciernie, plwanie, biczowanie, szyderstwo i pośmiewisko, wszystko przeżywa po kolei, a potem ugina się pod ciężarem krzyża. Udręka serca i ciała, smutek i całkowite wyczerpanie. A na samym szczycie Golgoty umęczony Bóg-Człowiek. Syn oddaje się Ojcu. Ramiona obejmują wszechświat. Pokora, pokuta, miłosierdzie. U stóp Krzyża kowal Boży łączy się duchowo ze swym Nauczycielem. Podobnie jak On składa swe życie w ofierze. W modlitwie myślnej każdego dnia brat Antoni odbywa Drogę Krzyżową. Bierze udział w wielkich tajemnicach Kościoła.

Weźmy dla przykładu Wielki Tydzień. Ołtarze ogołocone, fioletowe zasłony, wszędzie znaki żałoby, surowa liturgia wstrząsa głęboko. Brat dzień po dniu, godzina po godzinie przeżywa Mękę Pańską. Jakaż olbrzymia różnica między Wielkim Czwartkiem a Piątkiem.

Brat czuje się przepełniony nadprzyrodzoną radością. Wielki Czwartek jest rocznicą ustanowienia Sakramentów Ołtarza i Kapłaństwa. Na

„Gloria” grają organy i biją wszystkie dzwony. Ustanowiona w czasie Ostatniej Wieczerzy Eucharystia karmi nas po wsze czasy. W Introicie Mszy św. chlubimy się Krzyżem. W Lekcji i Ewangelii czytamy, że koniecznym warunkiem korzystania z daru Chrystusowego jest miłość bliźniego...

Wielki Piątek okrywa nas kirem. Dzień chłodny i szary, dzień żałoby dla chrześcijan. Klasztory przeżywają go w ciszy, powadze, w modlitwie. Brat chodzi jak błędny. Wszystko przed nim zamknięte. Dokąd to iść, ku czemu dążyć?! Tabernakulum puste, światła wygaszone, przez kaplicę powiało wichrem zgonu na Golgocie. „Vexilla Regis prodeunt.” Oto Krzyż, sztandar królewski.

Poruszony przeżyciami piątkowymi, brat Antoni nosi w sercu żałobę. Jakże to się nie smucić?! Przecież to dla niego, grzesznika, Chrystus skonał na Krzyżu. Oczy i uszy brata są zamknięte dla świata. Rad odmawia sobie wszelkich pokarmów, chyba, że ojciec superior mu tego zabroni. Unika zbliżenia z otoczeniem. Samotnie umiera z Chrystusem.

Bóle fizyczne, cierpienia moralne, próby, umartwienia przyjmuje i znosi jak mękę krzyżową. Kocha te wszystkie znaki, upodabniające go do Jezusa. „Sancta Mater, istud agas...” — O Maryjo Najświętsza, racz głęboko wyryć w mym sercu rany Chrystusa Ukrzyżowanego...

Oczyszczony w ogniu cierpienia, odnowiony

w Chrystusie, kowal Boży osiąga ze swym Nauczycielem szczyt Kalwarii. Krzyż stał się dla niego gwiazdą przewodnią, wzorem i jedyną nadzieją.

ROZDZIAŁ X

BRAT „ZDROWAŚ"

Brat Antoni nie stał sam u stóp Krzyża; była z nim razem jego Matka, Maryja. Kolebka brata w dalekim kraju ojczystym była przecie pod szczególną opieką Najświętszej Dziewicy. Czyż nie był ochrzczony w sanktuarium Maryjnym, w Lutogniewie? Serce czułe pokochało i przywiązało się do Niej na całe życie. A gdy wybiła godzina tułaczki, to do Niej wzniósł po raz ostatni swe oczy, żegnając Polskę. Od jutrzenki bowiem do zmierzchu Maryja była mu Matką.

Sama natura obdarzyła dziecko sercem kochającym swą rodzicielkę. Widzimy maleństwo w kolebce, nic jeszcze nie potrafi samo, jest bezradne. wzrokiem szuka pomocy i opieki matki; gdy ją zobaczy, drży z radości, wyciąga ramionka, czuje się bezpieczne. Ją pierwszą poznaje i kocha.

Antoni ma dla Maryi uczucia synowskie; postawę i bezpośredniość dziecięcia. Miłość radosna. szczera, naiwna rzuca go w Jej ramiona; Ona mu będzie Pośredniczką, Pocieszycielką, Wspomożycielką, Gwiazdą Zaranną.

Ciche wrześniowe dni. Mówią, że wrzesień jest najpiękniejszym miesiącem w Polsce. Młody

Kowalczyk pewnego popołudnia modli się w lutogniewskim kościele. Klęczy przed cudownym obrazem. Zbliża się godzina rozstania. Ostateczne pożegnanie tego wszystkiego, co tu ukochał. Rodzina, ojczyzna, Pani na Lutogniewie...

A przede wszystkim rozłąka z rodzoną matką, która go tak pobożnie wychowała, pieściła, pocieszała, dodawała odwagi od zarania dzieciństwa. Rozłąka na zawsze. Ciężki smutek przygniata mu serce, ściska za gardło. Zalane łzami oczy podnosi Antoni na Matkę Bożą.

„O Matko Boża, widzisz mój ból. Od trzech dni przeżywam mękę rozstania. Czy potrzebna jest ta ofiara? Chcę Ciebie kochać, chcę być Twoim synem. Chcę być niesplamiony żadnym brzydkim uczynkiem i umrzeć w Twoich ramionach. Ale mam tu matkę na ziemi. Jak ją zostawię samą? Samą na zawsze? Jest to prawie niemożliwe. I z tym walczy moje biedne serce.”

Do skołatanej głowy Antoniego spływają z cudownego obrazu wyraźne słowa: [1])

„Jeśli wszystkiego nie zostawisz, jeśli bardziej kochasz matkę ode Mnie, będziesz umierał samotnie.” Słyszy to wezwanie jak tamto dalekie, a zawsze bliskie: „Kto miłuje ojca albo matkę więcej niż Mnie, nie jest Mnie godzien; i kto miłuje syna albo córkę więcej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto nie bierze krzyża swego i nie

1) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

naśladuje Mnie, nie jest Mnie godzien..." (Mat. 10, 37-38).

Antoni mocno ściska skronie. Nie czas na wahania. Trzeba stłumić gorycz rozstania. Dwie łzy spływają wzdłuż policzków, po czym podnosi się i mówi mężnie swoje „Fiat": Tak, pojadę. Odtąd Matka Najświętsza będzie jego Matką.

„Et accepit eam discipulus in sua — I wziął Ją uczeń do siebie." (Jan 19, 27.)

Gdy nadeszła decydująca chwila wyboru zgromadzenia zakonnego, dobre natchnienie skierowało Antoniego Kowalczyka do Maryjnej rodziny. Misjonarze oblaci Maryi Niepokalanej. Będzie misjonarzem. Sam ubogi pielgrzym odda się na usługi jeszcze uboższych, jeszcze bardziej samotnych i opuszczonych. A przy tym sam wyraz „oblat" czyż nie oznacza dobrowolnej ofiary? I czyż oblaci, co jest najpiękniejsze, nie są synami Niepokalanej? „Ecce filius tuus — Oto syn Twój..."

Wstępując do zgromadzenia oblatów Maryi Niepokalanej młody kowal znajduje w tej nowej dla siebie rodzinie wszystko, czego pożąda: miano, ducha i dzieła, całe życie ofiarowane Maryi.

Synowie Maryi.. Będą misjonarzami we wszystkich stronach świata. Będą mieli szczególne nabożeństwo do Przenajsłodszej Maryi i będą Ją zawsze uważali za Matkę.[2]) To założyciel

2) Według woli założyciela, ks. biskupa de Mazenod.

zgromadzenia, ks. biskup de Mazenod zostawia im w swym duchowym testamencie ten zakon miłości. Nabożeństwo ściśle osobiste, wewnętrzna formacja Maryjna, apostolat miłości na zewnątrz, zakładanie i prowadzenie dzieł Bożych i cóż więcej? Duch Maryjny charakteryzuje przede wszystkim ojców oblatów, a nade wszystko nabożeństwo do Niepokalanej. Obszarem ich pracy są najuboższe dzielnice wielkich miast, jak również mieszkańcy dalekiej północy, lub ziemi spalonej słońcem. Oblaci wszędzie, gdzie są, wprowadzają kult Matki Bożej.

I któż wyliczy miejsca poświęcone Jej przemożnej opiece: Notre Dame du Laus, Notre Dame de la Garde, Pontmain, Fourvières... Notre Dame de Madou, Cejlon... Cap de la Madeleine, Kanada i wiele, wiele innych. Czyż nie znajduje się grota podobna do tej w Lourdes w kręgach polarnych Kanady, nad oceanem Lodowatym, Little Harbour? Oto na dalekim pustkowiu wśród wichrów i fal dają synowie Maryi świadectwo wiary i miłości.

Brat Antoni również jest jednym z synów Niepokalanej, jest oblatem. Sen się spełnił. Od pierwszej chwili życia w zgromadzeniu odczuwa radość, uniesienie, wdzięczność. Odtąd może całkowicie oddać się swemu dziełu: świętości. Każdy zakonnik stosownie do swego powołania i upodobania jest człowiekiem modlitwy, surowych przepisów i duchowej dyscypliny. Życie oblata jest

świecą, powoli spalającą się u nóg Maryi płomieniem gorącej miłości. Przed Nią, która karmiła świata Zbawienie, przed Matką Boga i wszystkich ludzi, Pośredniczką wszelkich łask, kłonią się ojcowie i bracia ze czcią i ufnością, z synowskim oddaniem się i miłością. Brat Antoni pojął to sercem. Słowo „matka" wyjaśnia całe jego życie w zgromadzeniu.

Nabożeństwo do Niepokalanej składa się z całego różańca Zdrowasiek, istny bukiet „Ave". Dla siebie, za usługi wyświadczone innym, nie chce podziękowań, prosi o „Ave".

— Podziękowanie mnie nie wzbogaci, proszę za mnie westchnąć do Niepokalanej.

Gdy brat Antoni kogoś spotka, lub gdy wchodzi do pokoju któregoś z ojców, zawsze pozdrawia imieniem Maryi. Obdarowuje też chorych, cierpiących, potrzebujących pomocy swymi modłami i aktami miłości do Niej. A szczególnie się cieszy, gdy może ojcu superiorowi dopomóc; śpieszy wtedy do kaplicy z różańcem. „Zdrowaś" jest lekarstwem na wszystkie niedomogi; bez tej modlitwy nie potrafi naprawić maszyny, ani otworzyć zepsutego zamka, napisać listu, słowem lek uniwersalny i balsam dla serca. „Zdrowaś" od rana do wieczora, przy pracy, przy posiłku i wypoczynku. Czyż jest to poza, ckliwa uczuciowość, zrutynowana pobożność, mechaniczne powtarzanie wciąż tych samych pacierzy? Nie, to jest właściwość usposobienia; kiedyś wpadło do serca ma-

lutkie nasionko, zakorzeniło się i rozrosło w gorejący krzak miłości.

Uczucie dziecka do matki. W domowym ognisku maleństwo bawi się pod okiem matki. Ustawia, przewraca, rysuje, zamazuje, nic nie mąci jego skupienia i zadowolenia. Po co ma się martwić lub niepokoić? Przecież matka jest przy nim. Może całkowicie oddać się swym zajęciom. Bawi się. Spotka je jakaś trudność, zepsuje się zabawka, runie domek z klocków, zaboli paluszek — biegnie do matki. Napotka je w nocy lęk dziecięcy, przyczai się choroba, w ramionach matki znajdzie ratunek i ukojenie. Miłość zwyczajna, codzienna, ufna, niewzruszona.

Taka jest też miłość brata Antoniego do Niepokalanej. Żyje pod Jej okiem jak małe dziecko. Ma Ją przy sobie, czuje Ją w pokoju, w kaplicy, przy pracy, wszędzie.

Mamy dzień 8 grudnia. Święto Niepokalanego Poczęcia. Żwawym krokiem brat przemierza podwórzec szkolny. Oblicze promienieje radością, uśmiech gości na ustach. Spotkało go jakieś wielkie szczęście.

— Bracie, co się stało? — pyta napotkany uczeń.

— Ach, mój mały, przecież dziś jest święto Maryi Panny, naszej Matki!

Czyż to nie wystarcza, aby serce rozpływało się w radości? Święto Matki!

Innym razem mały przyjaciel zwierza się

z pewnych trudności. Brat Antoni ma na to tylko jedną radę, ale za to niezawodną:

— Prosiłeś o pomoc Matkę Bożą?

— Nie.

— Jak to? nie powiedziałeś o tym swojej Matce? Ona ci pomoże. Będziemy Ją o to prosić razem.

I rzeczywiście, po cóż się martwić, kiedy się kocha i jest się kochanym. Ufność brata nie zna zwątpienia. Bez zastrzeżeń wierzy w dobroć i moc Maryi. Pewien braciszek, chcąc zażartować, skarży się, że jego modlitwy pozostają bez odpowiedzi. Wywołuje tym żywe oburzenie:

— Matka Boska umie słuchać, to ty nie umiesz modlić się.

Żartującemu ktoś inny przychodzi z pomocą i twierdzi, że Matka Boska nie jest skłonna do słuchania wszystkich ludzi. Pogodne oblicze brata Antoniego pokrywa się smutkiem. Nie myśli nawet, że na ten temat można żartować. Przygnębiony protestuje:

— Nie trzeba tak mówić. Najświętsza Panna jest dobra.

Proste słowa „jest dobra". Podobnie dziecko ujmuje i zamyka ogrom swej miłości do matki.

Lecz prawdziwej miłości nie można zamknąć na długo. Jak ogień rośnie, rozprzestrzenia się. Sypią się iskry, wyskakują płomyczki. Podobnie dzieje się z sercem brata Antoniego, jest gorejącym ogniskiem. Modlitwy, skąpe słowa, obfite

uczynki są jak płomienie ogarniające całe otoczenie.

Przyjrzyjmy się, jak wygląda dzień brata Antoniego. Rozpoczyna go różaniec, nić złota wiążąca z niebem, łańcuch więźnia miłości. Kiedy ranne wstają zorze, brat już klęczy u stóp Maryi i wita Ją słowami „Bądź pozdrowiona". Po czym rozpoczyna się życie codzienne szkoły. Zajęcia monotonne, często bardzo dla kaleki trudne, przykrości, zawody, gorycze, bunty wewnętrzne. Z tym wszystkim zwraca się zawsze do Maryi. Ona jest jego jedyną i wyłączną powiernicą. Jest przy nim wszędzie: nad parującym kotłem, przy kadziach z bielizną, przy paleniu w piecach, w warzywniku. Każda czynność rozpoczyna się padnięciem na kolana i wielkim znakiem krzyża.

Potem dopiero następuje obchód korytarzy, sprzątanie całego domu i inne zajęcia. Płyną one jak ziarna różańca odmawianego ciągle w myśli bez żadnego wysiłku, szemrzącego jak strumyczek, sączący się bez ustanku.

Ileż dziecięcej naiwności posiada pobożność brata, a przy tym jakże ścisłe przestrzeganie form dobrego wychowania. Brat Antoni nie przechodzi obojętnie koło wizerunków Matki Bożej. Przy każdym zawsze zatrzymuje się, kłania głęboko, odmawia krótką modlitwę w skupieniu i z powagą. „Bądź pozdrowiona" — przecież to zaszczyt nie lada swoimi zwykłymi ludzkimi wargami sławić Pannę Świętą Pozdrowieniem Anielskim. On sam

jest niczym: sługą i poddanym. Składa swej Królowej daninę w formie postów sobotnich i w wilie Jej świąt.

Ktoś powie, że to dziwactwo, zbytnia czułostkowość, bo brat bardzo lubi zaświecać lampki przed Matką Bożą. Najładniejszą modlitwą po Zdrowaśkach jest dla niego pełgający płomyczek u stóp Maryi. Zawsze czatuje na posterunku, aby zdobyć parę groszy na ten cel. Jeśli ktoś chce mu zapłacić za przysługę (naprawiony zegarek, wyostrzone łyżwy itp.), brat oblicza wysokość wynagrodzenia według ceny lampek:

— To będzie dla najlepszej Matki. Zrobimy Jej przyjemność.

Cóż dopiero, gdy przyjdzie czas egzaminów i drobne ofiarki uczni z tym związane. Ołtarz Maryi świeci się jak słońce. Zależnie od koloru szkła (brat bardzo starannie dobiera lampki) okrywa się drgającymi płomyczkami jak szatą barwy czerwonej, błękitnej lub niepokalanie białej. Piękny widok! Cóż za przyjemność dla Maryi i dla brata też.

U schyłku życia brat ma szczęście dać jeszcze jeden dowód swej synowskiej miłości. Świadectwo serca — hymn kamienny. Nie myślmy, że to będzie wspaniała katedra, niczym zabytek cenny średniowiecza, lub pomnik, dzieło sztuki; nie, to będzie zwyczajna skromna grota bez szczególnego wdzięku. Wzniesiona w kącie przed szkołą, o dwa kroki przed głównym wejściem, stoi jak cicha

żebraczka, czekając na łaskawy datek przechodnia. A jednak pomimo tak skromnych pozorów kryje w sobie przyciągającą siłę wielkiego uczucia. To brat Antoni Kowalczyk był tu głównym budowniczym.

Dzień 30 maja 1937, niedziela w oktawie Bożego Ciała. Piękny poranek, jasny i świeży. Chorągwie trzepocą na lekkim wietrze. Za chwilę wyruszy procesja. Ojciec superior pochyla się do ucha brata Antoniego:

— Bracie. przydałaby się nam tu grota; zakrzątnij się o pieniądze na ten cel. Kwestuj! Proś!

Brat promienieje. Grota? Już ma przed oczami tę w Lourdes.

— Powiedziane, zrobione. Będzie grota, mój ojcze.

I niezwłocznie po święcie zabiera się do dzieła. Tygodnie płyną, a brat Antoni sam lub w towarzystwie ochotników zbiera polne kamienie. Wzdłuż potoku, przepływającego całą posiadłość należącą do szkoły, bada najmniejsze wzniesienie terenu. Z największym wysiłkiem, zreumatyzowany, jednoręki, porusza powierzchnię ziemi; gdy tylko znajdzie większy kamień, wydłubuje go i układa na kopiec; w oczach błyski zadowolenia. Stopniowo rosną wzdłuż strumienia niewysokie stosy kamieni.

Do wybudowania groty są też, niestety, potrzebne pieniądze. Kwesta! W pierwszej chwili

entuzjazmu brat skwapliwie przyjął zlecenie superiora, lecz teraz myśl o zbiórce przejmuje go niechęcią. Pisze więc do jednego z dawnych uczni:

„Nie umiem poprawnie pisać i dlatego nie mam odwagi, lecz dziś uważam to za swój obowiązek, spełniam przyrzeczenie.” Opierając się na posłuszeństwie, pomimo trudności, brat śle listy we wszystkie strony. Do dawnych wychowanków szkoły, do przyjaciół, dobrodziejów, przygodnych gości, nie lekceważąc najmniejszej sposobności.

Otoczenie bawi się niejednokrotnie dyplomacją brata Antoniego, gdy on zaciąga sieci na grubszą rybę. Walcząc z wrodzoną nieśmiałością, pobudzany przez braci. upatruje ofiarę i w odpowiednim momencie rezolutnie prosi:

— Pan jest pewnie bardzo hojny i kocha Matkę Boską. Proszę o datek na wybudowanie groty...

Po paru latach stanie skromna grota, mówiąca wszystkim o pokorze i miłości synowskiej brata Antoniego Kowalczyka do Niepokalanej.



Piękne pomniki, świadczące o wielkości dzieła nie zawsze są wznoszone w pełnym dniu. W tym samym czasie, brat Antoni, budując grotę, pracuje nad wewnętrznym arcydziełem swego życia; chce je wykończyć przed śmiercią i złożyć Maryi na kształt drogiego klejnotu.

Kowal Boży znalazł ręce, w które złożył swą pracę, prosząc, aby ją wykończyły jak najpiękniej. Oddał swą duszę, swe życie wewnętrzne w ręce niewieście, w ręce Matki. Z Nią przebiegł wszystkie drogi wiodące do Boga. Czując ciągły niedosyt doskonałości, zapragnął całkowicie poświęcić się Maryi, zostać Jej niewolnikiem.

I oto dnia 15 sierpnia 1943 roku, na cztery lata przed śmiercią, brat Antoni wpisuje się do arcybractwa pod wezwaniem Maryi Królowej Serc. Po żarliwym przygotowaniu się rankiem w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny brat składa wyznanie nakreślone ręką błog. Grignion de Montfort [3]):

„W obecności całego dworu niebieskiego proszę Ciebie, abyś została moją Matką i Mistrzynią; oddaję Tobie i poświęcam jako niewolnik moje ciało i moją duszę, moje dobra zewnętrzne i wewnętrzne oraz dobre uczynki przeszłe, obecne i przyszłe, pozostawiając Tobie pełne prawo dysponowania moją osobą i tym wszystkim, co do mnie należy, bez wyjątku, zgodnie z Twoją wolą, na większą chwałę Bożą w czasie i w wieczności.”

Tymi oto słowy ukoronował brat Antoni całe swe życie. Zawsze od wczesnego dzieciństwa gorąco kochał Matkę Bożą. Jako oblat Niepokalanej szedł przy Niej krok za krokiem. Była mu Gwiaz-

---

3) Błog. Ludwik Maria Grignion de Montfort został kanonizowany w 1947 r.

dą na tułaczym szlaku, Wspomożeniem w próbach zsyłanych przez Opatrzność, Pocieszycielką i Matką. Zamiast kwiatów składał Jej żywe róże różańców. Był giermkiem, sługą, żebrakiem i niewolnikiem Maryi. Wiedział już, że na łożu śmierci nie będzie sam, że będzie mógł Jej powiedzieć: „Bądź pozdrowiona".

ROZDZIAŁ XI

„DZIEŃ SIĘ JUŻ NACHYLIŁ"

Starzeje się brat Antoni. Wzrok słabnie, nogi odmawiają posłuszeństwa, z pamięcią też coraz gorzej. Jeszcze niedawno tak silny i żwawy; obecnie ciągnie go do łóżka i nawet w dzień musi się położyć. Siły zawodzą. Paląca się lampka u stóp Niepokalanej gaśnie pomału.

Nic jednak nie mąci jego wewnętrznej pogody. W szpitalu miłym uśmiechem wita odwiedzających braci i wyciąga wychudłą rękę, owiniętą różańcem. A tuż obok przy wezgłowiu spoczywa jego krzyż oblacki.

— Ojcze, nie jestem już zdolny do pracy. Módlcie się o dobrą śmierć dla mnie... odmawiajcie Zdrowaśki. [1])

Po powrocie z lecznicy do szkoły — cóż za zmiana! Ojciec ekonom chciał jak najlepiej i umieścił brata w pokoju na parterze blisko kaplicy. I nie wyznaczył mu żadnych funkcji! Staruszek czuje się głęboko dotknięty. Dla brata przymusowy wypoczynek to próżniactwo, strata

---

1) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

czasu i energii. A przy tym wstyd i najgorsze zmartwienie.

— Nie pracuję, więc obciążam zgromadzenie. To drogo kosztuje. Ojcowie są stratni przeze mnie.

Brat martwi się, niepokoi, nie może znaleźć miejsca dla siebie. Czuje się wyrzucony poza obręb wspólnego życia szkoły. Wzdycha, skarży się i prosi o pracę. W końcu ojciec ekonom rezygnuje, przenosi brata do jego dawnej celi i zezwala na zajęcie się utrzymaniem domu w czystości. Brat Antoni promienieje; znów jest potrzebny i użyteczny. Wyciąga stare ubranie robocze, ścierki i kubły i rozpoczyna zwykły żywot brata. Pogoda znów gości na obliczu kaleki. Pracować dla innych, dla bliźnich, pracować dla Boga. Czegóż sobie jeszcze życzyć? Przecież największe szczęście polega na tym, aby móc z siebie dawać, hojnie dawać.

Niestety, brat Antoni jest już stary. Coraz gorzej z pamięcią. I oczy już nie te, co były; niedowidzą. I niemiło pytać:

— Ojcze, która godzina? Czy już czas iść do kaplicy?

Jak cień kogoś, kto przeszedł do wieczności, snuje się brat po korytarzach. I częściej jeszcze niż dawniej można go widzieć u stóp ołtarza. Szmer różańca, wzrok utkwiony w tabernakulum. Modli się, bez wątpienia. Ten biedny kaleka, biały jak gołąb, pokorny, pracowity, milczący — nie

jest jak inni ludzie... Pół wieku przebywa w zgromadzeniu, cieszy się opinią wzorowego zakonnika bez najmniejszej skazy. Wszyscy dobrze wiedzą, że to ciało okaleczałe, zniszczone, zreumatyzowane jest ziemską powłoką świętości.

Prowincjał ojców oblatów w Polsce w czasie swego pobytu w Kanadzie poznał rodaka i chciał tę perłę. ten klejnot prawdziwy, zabrać do ojczyzny.

„Czy możemy — pisał — mieć brata Kowalczyka dla naszej polskiej prowincji? Mamy bardzo ograniczoną liczbę wiekowych braci. Brat Kowalczyk byłby żywą tradycją i wzorem dla młodych braci..." [2])

Odnośne podanie kieruje na ręce superiora generalnego w Rzymie:

„Wobec podeszłego wieku i kalectwa brata (ma 59 lat i stracił rękę w Saint Paul des Métis), nie liczymy na wkład jego pracy, lecz na modlitwy i wpływ, jaki by wywierał na młodych braci przez swą pobożność i przywiązanie do powołania zakonnego, oraz do zgromadzenia. Miałby również sposobność zobaczenia swej rodziny po trzydziestu latach spędzonych na Północnym Zachodzie." [3])

W dwa lata później ojcowie polscy i niemiec-

---

2) List o. G. Kulawego O.M.I. do o. Blanchin, prowincjała Alberta-Saskatchewan, archiwa prowinc. O.M.I., Edmonton.
3) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

cy z Reginy w Saskatchewan zabiegają o brata,[4]) ale prowincja Alberta-Saskatchewan nie chce się rozstać ze swym skarbem.

I brat Antoni jak zawsze pokorny i posłuszny poddaje się woli przełożonych. Będzie tułaczem do grobowej deski.

Starzeje się stopniowo. Zmierzch dnia pełnego, zasłużonego i kojącego; „ma się ku wieczorowi" (por. Łuk. 24, 29).

Żartownisie podpatrują brata i śmieją się, gdy go przyłapią na drzemce w kościele:

— Bracie Antoni, ucinacie sobie chrapkę w kaplicy i kołyszecie się jak stara baba.

— A cóż, starość nie radość — uśmiecha się brat łagodnie.

* * *

13 grudnia 1942 roku. Dzień święta kolegium św. Jana. Głos organów i śpiew młodych unosi się w górę. Wesołość igra w powietrzu. Brat Antoni obchodzi pięćdziesięciolecie życia zakonnego. Uroczysta Msza święta. Wspólny obiad, zebranie towarzyskie dla uczczenia jubilata. Pokorny braciszek jest do głębi zawstydzony, zmieszany. Po cóż tyle względów dla nic nie znaczącego braciszka? Musi się jednak poddać woli superiora.

---

4) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Proszę tylko spojrzeć. Wieczorem brat Antoni siedzi na miejscu honorowym. Czerwony, spocony. Niczym zwierzę osaczone w czasie nagonki. Patrzy tylko, jakby uciec. Co za męka dla jego pokory. Zawsze taki pogodny, dziś nie może się zdobyć na uśmiech. Stara się nie widzieć zebranych gości. Z poddaniem się znosi nawałnicę pochlebnych słów. Wolałby już raczej stracić drugą rękę. Taka uroczystość jest ponad wytrzymałość skromnego kowala.

A jednak mało kto zasługuje tak w pełni na wyniesienie i podkreślenie zasług całego życia. W ciągu lat trzydziestu był filarem i piorunochronem kolegium. Dawny wychowanek szkoły opisał błogosławiony wpływ brata Antoniego na młodzież tymi słowy:

„To dziecię Boże i Niepokalanej z pokorną prostotą bezustannie tkało nić naszych żywotów, przyciągając coraz bliżej do Boga. Przed naszymi oczami mieliśmy ciągle żywy wzór do naśladowania. Patrząc na jego sposób modlenia się, na ten związek bezpośredni z Jezusem, na to wewnętrzne łączenie się z Bogiem, było nam samym łatwiej modlić się, naśladując brata w jego pobożności... Nade wszystko zaś jego wielkie mniemanie o stanie kapłańskim, cześć dla księży krzepiły nas i utwierdzały w powołaniu... Nigdy już potem nie mieliśmy lepszego przyjaciela. I kiedyśmy przekroczyli próg szkoły, brat nam

towarzyszył na drodze życia wytrwałą modlitwą." [5])

Koniec uroczystości powitał brat Antoni jak wyzwolenie. Nareszcie mógł się usunąć w cień.

* * *

Dusza pokorna, ofiarna, żarliwa pogłębiała wciąż swe życie wewnętrzne w Bogu.

Czy brat, podobnie jak niektóre dusze wybrane na szczytach doskonałości, doznawał szczególnych przeżyć mistycznych?

Nie wiemy... Wiemy natomiast, że cudowne zjawiska nie są cząstką integralną świętości.

Widzenia? Ekstazy? Nie. nic o nich nie wiemy, czy były w życiu brata Kowalczyka.

Pewne jednak powiedzenia mogły nasuwać myśl o łaskach wyjątkowych, którymi brat był obdarzony. Sam w to wierzył, że słyszał wyraźnie głos wewnętrzny przemawiający w ważniejszych wydarzeniach życia: „Idź do Mülheim nad Renem..." — „Jeśli nie rozstaniesz się ze swoją matką..." — „Powiedz swemu superiorowi..." Lecz brat Antoni jest milczkiem, pełnym niedomówień, nawet gdy go pociągnąć za język. Wszystko, co dotyczy jego życia, pokrywa zasłona pokornej dyskrecji.

---

5) Wyjątek z przemówienia o. Janssen, O.M.I.

Wyróżnienie szczególne?... Zjawiska nadprzyrodzone?... Prawdopodobnie były jego udziałem, lecz każde wyznanie trzeba by było wymuszać na bracie. I po co?

A jednak pewnego razu... Przy końcu życia była jakaś noc tajemnicza, okropna... Co się wtedy działo? Ściśle trudno odtworzyć. Rankiem 17 września 1945 roku zauważono go jeden tylko raz w korytarzu. Rzecz wprost niebywała, aby zakonnik tak wzorowy opuścił obowiązkowe ćwiczenia duchowe w kaplicy. W czasie południowego posiłku miejsce brata za stołem też świeciło pustką. Zaniepokojeni bracia zaczęli go szukać. Brat Antoni widocznie nie opuszczał swej celki, gdyż siedział na łóżku na pół przytomny, twarz obrzmiała, wzrok błędny.

— Cóż się stało, bracie? Co ci jest?

Wyczerpany, przybity, nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Parę nieokreślonych zdań. Parę poruszeń głową. Nie pamięta, czy nie chce mówić. Może jest ogłuszony.

Zaalarmowany ojciec superior każe brata natychmiast odwieźć do szpitala. Wypadek wydaje się tak poważny, że udzielają mu Ostatniego Namaszczenia. Po paru dniach brat poczuł się lepiej. Dowiedziawszy się, że pewna rodaczka bawi przejazdem w mieście, chciał się z nią zobaczyć. Była to jedna z bardzo nielicznych znajomych brata, którą lubił i cenił. Dobra żona

i matka miała też syna, ulubieńca brata Antoniego; mały Polak miał powołanie do stanu kapłańskiego, co czyniło go podwójnie drogim. W tej to rodzinie brat Antoni znajdował odpowiednie dla siebie towarzystwo, zrozumienie i wzmocnienie moralne.

Zacna niewiasta pośpieszyła do łoża chorego. Tak, on chciał ją zobaczyć, otworzyć przed nią serce, coś powiedzieć, poczynić zwierzenia:

— Módl się za mnie, moja matko, jestem bardzo biedny.

— Nie, bracie, nie jesteś wcale biedny. Ale któż cię tak zmaltretował? Czy masz wrogów?

Dobra niewiasta jest wstrząśnięta, nie może ukryć bolesnego zdumienia. Co się stało? Co za widok żałosny! Brat Antoni leży wyciągnięty, prawie nieruchomy. Twarz pokryta sińcami, ręka zmartwiała. Ramię, nogi, całe ciało pełne obrażeń tak, jakby ktoś go zbił, oćwiczył mocnym kijem.

— Nie, moja matko, nie mam wrogów.

— A więc któż cię doprowadził do takiego stanu?

— Ktoś... nie wiem kto. Nie wiem. To było po pacierzach wieczornych. Byłem jak zwykle sam. Myślę, że to przyszedł szatan... Znęcał się nade mną całą noc. Rzucał o podłogę...

— Trzeba było krzyczeć, wzywać pomocy.

— Nie mogłem.

Po powrocie ze szpitala brat przez jakiś czas lęka się. Lęka się nie nowego strasznego napadu, nie szatana, cóż go obchodzą siły nieczyste? Obawia się, że jego tajemnica, tak osobista, będzie odkryta. Pyta czasami brata z sąsiedniej celi:

— Czy wiesz, co to było?

Odpowiedź przecząca napawa brata zadowoleniem. Odchodzi cicho, pogodnie uśmiechnięty. Tajemnicę powierzył „swej dobrej matce". Nikt się jej nigdy nie dowie. [6])

Zdrowie brata Antoniego zostało jednak mocno nadwerężone; otrzymał tęgi cios. Czuje, jak dużymi krokami zbliża się śmierć. Nie boi się jej. Przeczucie zgonu nie mąci pogody ducha. Po cóż się bać? Czyż nie jest to tylko uchylenie zasłony? Nie jest to tylko zrzucenie ziemskich więzów? Wyzwolenie? „Vita mutatur, non tollitur — życie się zmienia, nie kończy." Nie, nikt mu nie zabierze życia... czeka go nowe. Dusza jak różany pączek rozkwitnie w słońcu miłości Bożej. Śmierć — świt wieczności.

Brat Antoni mówi o śmierci, nazywa swą dobrą przyjaciółką. Pozdrawia ją, słyszy jej głos. Jest już w drzwiach. Żegnając się z odjeżdżającym bratem powiada: „Mój stary przyjacielu, to już ostatni rok. Kiedy tu powrócisz, już mnie nie zastaniesz..."

6) Archiwa postul., akta brata Antoniego, Rzym.

Pokój, słodycz, uprzejmość widnieją wciąż na obliczu brata. W oczach odbija się blask wieczności. Zachodzi słońce w piękny wieczór jesienny. Życie nabiera barwy purpury i złota. Dusza nieśmiertelna odejdzie z tego świata.

Dni jak odmierzone krople pomału spadają. Brat Antoni urozmaica je niemęczącą pracą, lecz przede wszystkim modli się. Przychodzi lato, nastaje czas dorocznych rekolekcji. Ojciec superior zwolnił brata Antoniego ze wszystkich obowiązków z tym związanych. Ma lat 81 i trzeba oszczędzać jego siły. Lecz brat Antoni nie myśli zrezygnować z rekolekcji. Ostatnie popołudnie w szkole spędza w ogrodzie. Klęczy na trawniku w pełnym słońcu i piele chwasty. Nie, nikt nie powie o bracie, że oszukiwał, bądź okradał Pana Boga. Bezrobocie nie dla niego, jeszcze by ktoś mógł myśleć, że jest ciężarem dla zgromadzenia. I brat Antoni pracuje, krząta się, męczy do ostatniego tchu.

Nazajutrz jedzie do misji Saint Albert, położonej o kilka kilometrów od Edmontonu. Jest nad miarę szczęśliwy. Doroczne rekolekcje, dni nadprzyrodzonej radości, poufnych zwierzeń Bogu, najściślejszej z Nim jedności. Uczta dla duszy. Przeczucie jednak porusza mu serce. „To moje ostatnie rekolekcje” — zwierza się swym przyjaciołom.

Początek lipca, niebo bez chmurki, słońce leje

żar z wysoka. Bogate lato, zboże stoi gęste jak szczotka. Dobre będą plony. Lecz wzrok brata Antoniego sięga gdzieś dalej. Ogląda już inne żniwa. Jego dusza odczuwa przedsmak wieczności. Jakiż snop złoży u stóp swego Mistrza?

Tymczasem wózek się toczy. Już zakonnicy widzą zabudowania starej misji: dom ojców, kościół parafialny, klasztor sióstr i przytulona obok katedra biskupa Grandin. Co za wymarzone miejsce spokoju i wypoczynku. „Venite seorsum in desertum locum et requiescite pusillum — pójdźcie na ubocze, na miejsce pustynne, a spocznijcie nieco." (Mk. 6, 31.) Krajobraz pełen kojącej ciszy. Świeże zagajniki, w głębi widać grotę Niepokalanej. A jeszcze dalej za wysokim żywopłotem cmentarz. Samotność i wieczny odpoczynek.

Brat czuje się jak w przedsionku raju. I ten stary, kochany dom. Ileż wspomnień przemawia do serca. Przecież to tu przeszło pół wieku temu poświęcił się całkowicie Bogu. Tu odbył swoją praktykę jednorękiego kaleki. Tu przeżył tyle godzin szczęśliwych sam na sam z Bogiem. Ileż wspomnień kryją te mury. Nabierają życia dawno niewidziane, zmarłe twarze. Świątobliwa postać biskupa... Najbliżsi koledzy... Nieobecni... Niektórzy śpią tam za drzewami snem wiecznym... A on?

Brat całą duszą wiernego zakonnika pogrąża

się w skupieniu rekolekcyjnym. Ostatnie rekolekcje. Tak, może przyjść Dobry Pasterz po swoje jagnię. Brat Antoni nie zna strachu. Czuwa, czeka, ma nadzieję.

W ciągu dwóch dni rekolekcje odbywają się normalnie. Skupiony, skruszony, oczy przymknięte; brat Antoni słucha, rozmyśla. Wszystkie wolne chwile spędza u stóp tabernakulum. Spokój i radość nadprzyrodzona malują się na jego twarzy. Kowal Boży skończył swój męczący dzień pracy. Odłożył narzędzia. Czeka kiedy wybije godzina spoczynku.

Niedziela! Ileż radości w zgromadzeniu. Dzień Boga. Dzień adoracji i modłów. Lecz przy obiedzie już nie ma brata Antoniego. Krzesło stoi puste. Jeden z braci poruszył się żywo, przeczuł coś niezwykłego. Pośpiesza prędko i widzi brata Antoniego leżącego nieruchomo na łóżku, ubranego starannie, w sutannie, sparaliżowanego i pozbawionego daru mowy. „Pójdźcie na ubocze, na miejsce pustynne, a spocznijcie nieco."

Pospiesznie przewieziony do szpitala, otrzymuje nazajutrz Wiatyk. Nikt już nie ma złudzeń. Nadszedł koniec.

Krucyfiks. Olej Święty, kawałeczki waty. Kościół pochyla się nad swym dzieckiem ze słowami otuchy. Za rękę wprowadza je w bramy wieczności. Dookoła klęczą bracia. Modlą się. „Quam bonum et quam jucundum..." Jakże do-

brze w takich chwilach mieć przy sobie dusze bliskie, ich życzliwość i wspomożenie. Myli się gruntownie ten, kto myśli, że zakonnik jest opuszczonym samotnikiem. Wręcz przeciwnie, jest członkiem rodziny zakonnej, członkiem Kościoła powszechnego. I w godzinę śmierci ta rodzina jest przy nim, modli się. Cóż to za balsam kojący dla zamierającego serca.

Brat Antoni spoczywa nieruchomo. Oblicze pogodne, radość spokojna i uśmiech ten sam co zawsze, pełen radości. Kapłan namaszcza chorego. Po czym unosi w palcach Hostię Przenajświętszą. Brat Antoni otwiera oczy. Chce coś powiedzieć. Robi nadludzki wysiłek, lecz nadaremnie. Żaden dźwięk nie wypływa z jego ust. Wtedy w dobrych oczach brata rodzi się blask miłości. To on się oddaje, on poświęca. Ofiara się powtarza. „Oddaję duszę moją w ręce Twoje, Panie... Oddaję Ci ją, mój Boże, z całą miłością mego serca, bo Ciebie miłuję nade wszystko i ta miłość każe mi się oddawać, poświęcać bez miary, z nieograniczoną ufnością... boś Ty jest moim Ojcem."

Prędko już nastąpi koniec i brat Antoni wie o tym. Brat porusza zgrabiałymi palcami. Gładzi ziarna różańca. Uśmiecha się. To jego ostatnie Zdrowaśki.

W półśnie widzi całą drogę przebytą: Dzierżanów, polska wieś w kwitnących ogrodach i sadach... Lutogniew, miejsce święte kultu Matki

Bożej... Rodzinny dom i matka. A potem szlak tułaczy na obczyźnie. Ciężka praca, piekło fabryk, tortury serca... I ten głos, głos Boży wzywający do siebie. Ma być żniwiarzem na Bożej roli: apostołem, misjonarzem, oblatem Niepokalanej... Droga ciernista, życie pełne poświęceń, lecz bez wątpienia życie miłości, dobrowolnej ofiary, modlitwy, prawdziwy wstęp do wieczności.

Nie, to nie śmierć przychodzi po niego. To samo życie. „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi..." Maryja, dobra Matka, jest przy nim, zabierze go ze Sobą. Za chwilę spocznie w Jej ramionach... Na zawsze.

Po raz ostatni brat Antoni całuje swój krzyż oblacki, podany miłosierną ręką. Po czym zamyka oczy. Stopniowo pogrąża się w wieczność. W godzinach popołudniowych następuje zgon. Jeszcze parę uderzeń serca, które tak gorąco umiało kochać Boga i bliźniego, ciche westchnienie — i już nic więcej.

Kowal Boży zakończył swój dzień pracy.

Zmarł brat Antoni.

Z dzwonnicy kościoła św. Joachima rozlega się głos na „Anioł Pański".



To były bardzo proste obrzędy. W kaplicy tak pełnej modlitw brata Antoniego zebrało się

teraz ze sto osób: ojców oblatów, zakonnic, dawnych uczni i przyjaciół.

Uroczystość surowa i poważna, pozbawiona zewnętrznych ozdób. We wszystkim, w życiu i śmierci, brat Antoni głosił pokorę.

Rozlegają się śpiewy modłów liturgicznych. Nie ma w nich smutku i łzawych zawodzeń, to hymn pełen siły bije w niebiosa, pieśń wyzwolenia:

„In paradisum deducant te Angeli... — niech cię Aniołowie zaprowadzą do nieba..."

Skupienie, godna postawa, zapał. Przed tą trumną tak ubogą przenika duszę cześć głęboka. Lecz czyż jest to trumna? A może to raczej skarbiec zamykający klejnot prawdziwy? Relikwie?

W wiejskim bogactwie lata, w czas żniwny konwój pogrzebowy wyrusza do Saint-Albert... Jest gorące lipcowe popołudnie... Cmentarz o prostych jasnych dróżkach wypełnia cisza. Miejsce odpoczynku. Orszak poprzedzony krzyżem posuwa się wolno. Słychać tylko szmer kroków zbliżających się po kamienistym gruncie, szmer ten ma głos skargi...

W głębi cichego zakątka grób otwarty... Wydłużona linia orszaku załamuje się, zaokrągla i tworzy koło; odsłaniają się głowy... Podnosi się niewyraźny pomruk modlitwy... „De profundis clamavi... — z głębokości wołam do Ciebie, Panie..."

Szelest skrzydeł w krzaku, krzyk odlatującego ptaka... I wszystko pogrąża się w ciszy.

Obejmując trumnę długim spojrzeniem, obecni po raz ostatni oglądają swego starego przyjaciela. Patrzą jakby chcieli mocniej zachować jego postać w pamięci. Twarz wymizerowana, oczy głęboko zamknięte, na piersi złożona jedna ręka, trzymająca różaniec... Jakaż słodycz promieniuje z tego oblicza! Jakaż uśmiechnięta łagodnie cisza! Spokój!... Skończyła się ciężka praca kowala, bolesne doświadczenia... walka całego życia. Skończyło się długie wygnanie.

Zamyka się ziemia... Zabiera swe dziecko w macierzyńskim uścisku.

Z nieopisaną radością brat Antoni rzuca się w objęcia swej Matki, wołając: Zdrowaś!

Tak umierają wybrańcy łaski.

EPILOG

Prosty, zwyczajny krzyż. Wapnem bielony, kamienny. Krzyż podobny do setki innych, stojących w czterech rzędach.

Ustawione jak łóżka w sypialni internatu szkolnego, równiutko, jednakowiusieńkie.

Miejsce wiecznego snu.

Brat Antoni śpi teraz ramię przy ramieniu z towarzyszami broni...

Starzy misjonarze. Pierwsi, którzy przynieśli Dobrą Nowinę temu krajowi i zdobyli dla Kościoła Kanadę.

Niektórzy zmarli w kwiecie wieku.

Ojcowie oraz pokorni braciszkowie.

Na tym zwyczajnym kamiennym krzyżu kilka zwyczajnych wyrazów nakreślonych czarnymi literami: „Brat Antoni Kowalczyk zmarł 10 lipca 1947 roku, przeżył 81 lat."

Przyszedłem pomodlić się przy tym grobie. I gdy tak rozmyślałem nad tą świeżo skopaną ziemią, inny krzyż zarysował mi się w myśli.

Krzyż na Kalwarii, światło świata, obejmujące i przyciągające do siebie wszechświat cały.

Krzyż oblacki, przypomnienie i po wieki wieków „nauka pokory, cierpliwości i miłości...”[1]).

Krzyż mistyczny wyryty w głębi duszy.

---

1) Skład zasad i przepisów oblatów Maryi Niepokalanej.

PROCES BEATYFIKACYJNY

Kościół katolicki wzorem swego Boskiego Założyciela raduje się, ukazując chwałę pokornych: „Et exaltavit humiles — wywyższył pokornych" (Łuk. 1, 52).

Dla Kościoła prawdziwa wielkość nie rzuca się w oczy; piękno jej jest wewnętrzne i nadprzyrodzone, otaczające aureolą dusze świętych.

Dlatego z macierzyńską czułością pochyla się nad cichymi i pokornymi: dusze wybranych Kościół wychowuje i wynosi na swych ramionach wysoko, stawiając za wzór innym.

Zgromadzenie misjonarzy oblatów Maryi Niepokalanej, stosunkowo jeszcze tak młode, może się już poszczycić swoimi członkami, którzy odeszli z tego świata w opinii świętości. Do nich należą: ks. biskup de Mazenod, założyciel zgromadzenia; obaj księża biskupi Grandin i Charlebois; dwaj apostołowie — ojciec Albini i ojciec Gerard. Ich procesy beatyfikacyjne są w toku.

W dniu 7 kwietnia 1952 roku przybył do Edmontonu wice-postulator, o. Józef Morabito, O. M. I., celem podjęcia pierwszych kroków w sprawie beatyfikacji śp. brata Antoniego Ko-

walczyka. Został powołany trybunał diecezjalny w następującym składzie: o. Jozafat Jean, O.S.B.M. — przewodniczący; księża J.E. Lapointe i M. Schnitzler — sędziowie; o. Józef, salezjanin — promotor; ks. R. Ketchen — jego asystent; ks. J.A. Normandeau — sekretarz.

Otwarcie procesu diecezjalnego miało miejsce 14 kwietnia w pałacu biskupim pod przewodnictwem J.E. MacDonalda, arcybiskupa Edmontonu. Po czym trybunał przeniósł się do kolegium Saint Jean, gdzie się odbywały dalsze posiedzenia. Czterdziestu świadków składało zeznania, a wśród nich ks. biskup H. Routhier, O.M.I., księża, zakonnicy, superiorzy, dawni uczniowie, ludzie świeccy, towarzysze pracy itd.

Jedni znali brata Antoniego z okresu jego życia w kolegium, inni z pobytu w misjach Lac la Biche i Saint Paul des Métis. Przyjechał nawet towarzysz młodości o. Schumacher, który razem z nim przebywał w roku 1891 w Holandii, w nowicjacie Saint Gerlach.

Nie upłynęło nawet pięć lat od śmierci pokornego brata, a już podjęto pierwsze kroki w celu jego beatyfikacji. Nie powinno to nikogo dziwić. Życie brata Antoniego od najwcześniejszej młodości odbiegało daleko od życia przeciętnych ludzi. Cieszył się zawsze zupełnie wyjątkową opinią. Wszystkie świadectwa osób zeznających były doskonałe i jednomyślne. Najlepszym też

świadectwem była trumna zaledwie zamknięta. Grób brata Antoniego stał się ośrodkiem wielu modlitw. Zdawałoby się, że szczególne łaski spływają na proszących dzięki temu nowemu orędownikowi. Powszechna opinia o jego świętości zatacza coraz szersze kręgi.

Dnia 13 czerwca członkowie trybunału w czasie sześćdziesiątego trzeciego posiedzenia przesłuchali ostatniego świadka. W kilka tygodni potem zamknięto oficjalnie pierwszy proces kanoniczny. Jakiż będzie rezultat jego pracy?

Ostatnie słowo wypowie Rzym.

KONIEC

SPIS RZECZY

Książkę O. E. Bretona, O.M.I. „**Kowal Boży**" w przekładzie z francuskiego Miry Małachowskiej, wydano w pięciu tysiącach egzemplarzy na papierze „B.M.W." — Antique Wove, Double Crown, 20" X 30", 35 lbs. Wkładki ilustrowane drukowano na papierze No. 2 Coated Ptg., 20" X 30", Double Crown, 44 lbs. Tekst złożono czcionką „Ionic" nr. 5 (10 pkt.). Składał linotypista: Stefan Wojtowicz. Metrampaż: Stanisław Habas. Tłoczył: Stanisław Pawłowski Wykonano w drukarni Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w Londynie pod zarządem Zygmunta Kotkowskiego. Druk ukończono w październiku 1961 roku.

Drukarnia Katolickiego
Ośrodka Wydawniczego
„VERITAS"
12 Praed Mews,
London, W. 2.
Anglia